

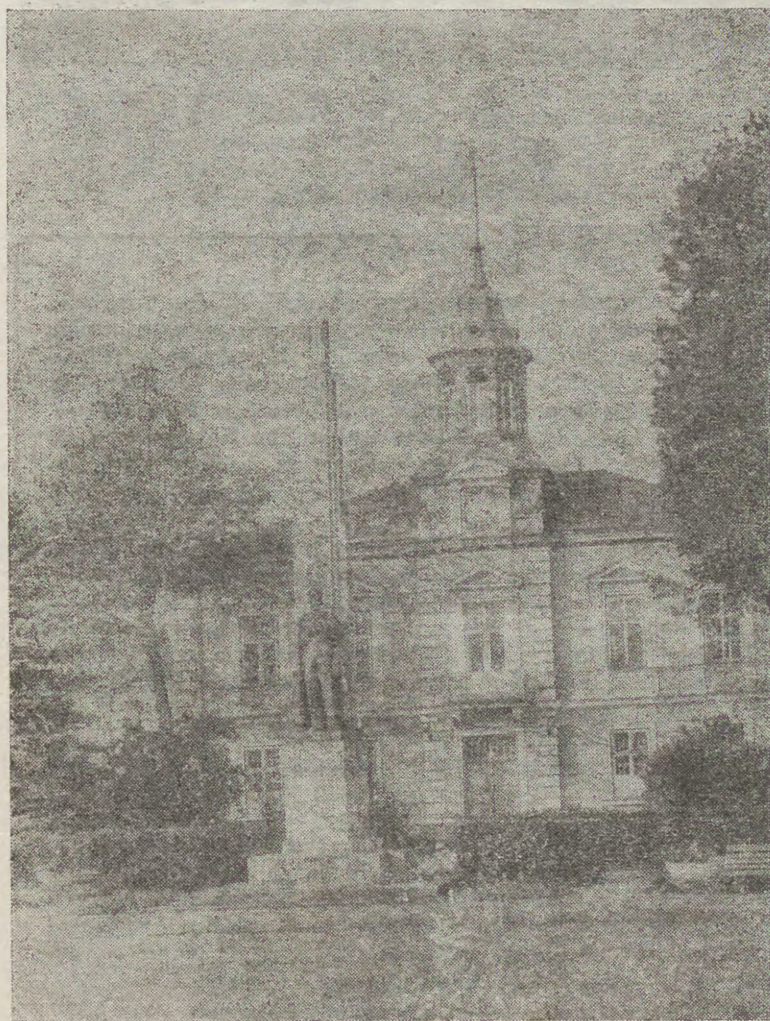
# PODHALANKA

PISMO ZWIĄZKU PODHALAN

Rok IV

Ludźmierz

Nr 1 (11) 1985



Pomnik Władysława Orkana na tle zabytkowego ratusza w Nowym Targu.  
(Fot. B. Sulech, 1985 r.).

*Psuje się stara  
kultura Podhalan.  
Tworzą się w niej  
szczyrby i szczeliny,  
którymi sączy się w dusze  
nieumocnione oporem,  
niwel rozkładu.  
Niwelacyjny szablon  
przenika warstwy dusz  
góralskich,  
rozpuszcza ich właściwości  
rasowe (...)  
Na takim nijakim podłożu  
krzewi się bezcharakterność.  
Winien powstać odpór  
przeciw temu,  
co atakuje mateczniki  
kultury rodzimej (...)  
Winien być wywartany nacisk  
na przywrót obyczaju dawnego  
w wyższej formie, zastosowanej  
do współczesnych wymagań tak,  
by kultura obyczaju stała się  
wspólną  
wszystkim Podhalanom.*

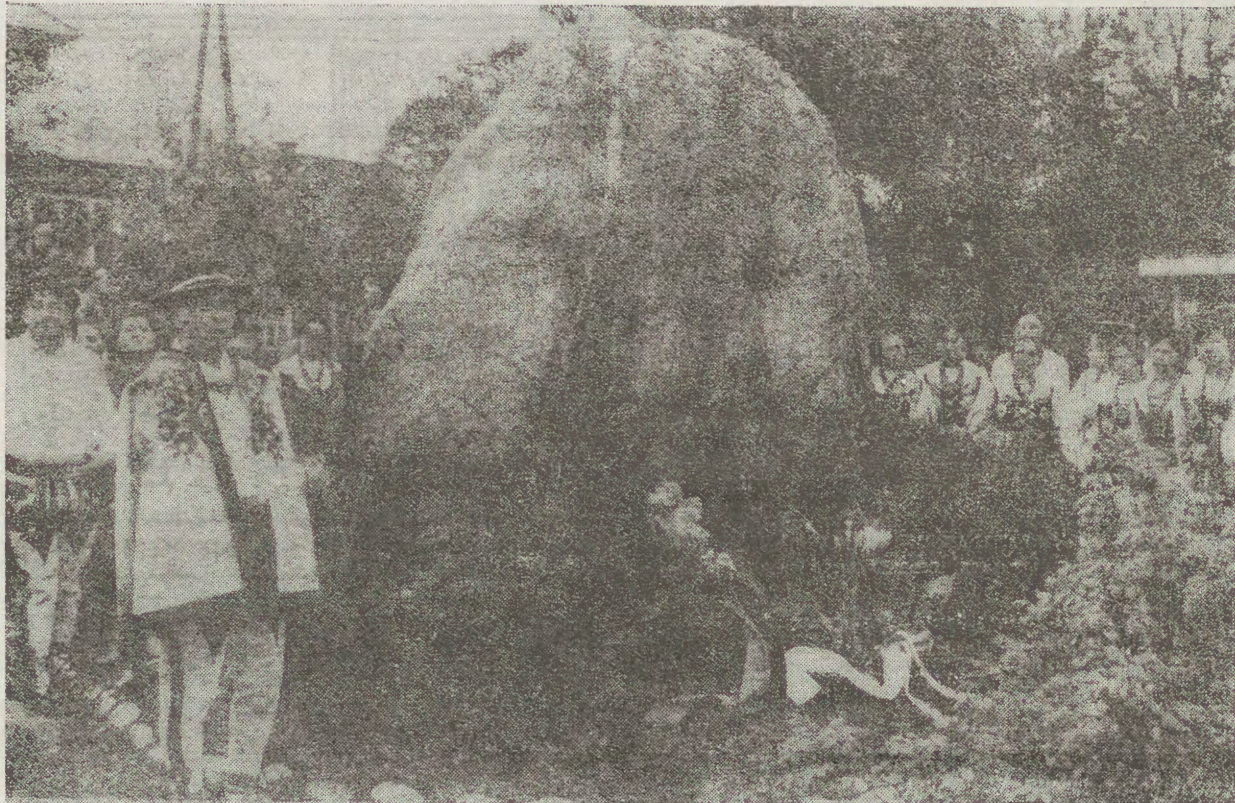
WŁADYSŁAW ORKAN

(Z przemówienia wygłoszonego  
na II Zjeździe Podhalan  
w Czarnym Dunajcu w 1913 roku)

(Cytaty wybrane z tomu  
„Listy ze wsi”, WL Kraków 1970,  
s. 360, 363)

**ZWIĄZEK PODHALAN**  
Zarząd Oddziału w Ludźmierzu  
DOM PODHALAŃSKI

*Kul. Przewodni Borkowie  
Kucolaci koci z podkraj koci  
za miazgiat w redakcji  
i podhalanki*



Głaz tatrzański postawiony przez Związek Podhalań w Ludźmierzu na 100-lecie urodzin Kazimierza Przerwy-Tetmajera.  
(Fot. Henryk Zachwieja 19. X. 1975.).

## SŁOWO DO CZYTELNIKÓW

Tym razem nie podajemy na pierwszej stronie niniejszej „Podhalanki”, jakim sprawom i ludziom jest ona poświęcona. Czynimy tak nie tylko dlatego, że w zasadzie taką uroczystą dedykację wypisywać można z okazji wyjątkowych spraw, ale również dlatego, że rok 1985 obfituje w rocznice związane z życiem wielu luminarzy Podhala: 120 rocznicę urodzin Kazimierza Przerwy-Tetmajera, 110 Władysława Orkana, 100 Stanisława Ignacego Witkiewicza, 100 Feliksa Gwiżdża, 80 Jana Władysława Gromady, 70 Włodzimierza Wnuka, a także 70 rocznicę zgonu Stanisława Witkiewicza, ojca Witkacego i 20 rocznicę zgonu Juliusza Zborowskiego. Do tych rocznic przydać jeszcze trzeba 40 rocznicę przegrania z naszych ziem okupanta hitlerowskiego.

Jest to więc wiele rocznic, wiele spraw i zdarzeń. W niniejszym numerze pisma podejmuje sporo z tej tematyki; będziemy ją kontynuować w następnej tegorocznej „Podhalance”. Ukaże się ona — miejmy nadzieję — przy końcu roku 1985.

Wiele przyczyn składa się na znaczne opóźnienia w ukazywaniu się czasopisma. Są to w dużej mierze przyczyny od nas niezależne. Przy okazji kierujemy kilka myśli do tych spośród naszych Czytelników, którzy nawołują nas do rychłego przekształcenia „Podhalanki” w miesięcznik. Niestety, w obecnej fazie rozwoju i jego warunkach zewnętrznych nie jest to możliwe. Ale mamy tę konieczność w naszej stałej uwadze. Sądzymy, że po złagodzeniu ogólnego kryzysu gospodarczego, przy równoczesnej pomocy naszego Związku, wszystkich jego oddziałów i ogniw, będzie można podjąć ten trud, a zarazem tę powinność wobec Podhala.

Tymczasem, zanim nadejdzie ów upragniony czas, jednoczmy się wszyscy w pracy dla naszego Związku.

I jeszcze jeden miły nasz redakcyjny obowiązek. Bardzo serdecznie dziękujemy wszystkim Autorom prac naukowych, esejów, artykułów, wierszy i opowiadań za ich nie honorowaną należnościami autorskimi pracę. To społeczne, jakże ohotne i regularne współredagowanie pisma cenimy sobie najwyżej.

Wszystkim zaś Miłym Czytelnikom życzymy przyjemnej, pożytecznej lektury.

Redakcja

# Wiersze tatrzańskie i podhalańskie Kazimierza Przerwy-Tetmajera

Główny fundament sławy Kazimierza Tetmajera w czasach, gdy żył, stanowiła jego poezja. Autor „*Hymnu do miłości*” urodził się lirykiem i choć dziś najbardziej żywotną pozostała raczej część jego prozy, związana z Tatrami i Podhalem, był przede wszystkim poetą. Zanim stał się nieśmiertelnym twórcą „*Skalnego Podhala*” i „*Legendy Tatr*”, zasłynął przede wszystkim jako autor wierszy lirycznych o wysokim kunście artystycznym. Twórczość poetycka była dla niego najgłębszą potrzebą duchową, koniecznością życiową, sensem istnienia. Poezja kształtowała jego stosunek do świata, do ludzi, do natury, do różnych zjawisk. Poezja — jak sam określał — była dla niego „przyczyną, podstawą i koroną wszelkich sztuk”.

Kazimierz Tetmajer był najpopularniejszym poetą w Polsce w schyłku dziewiętnastego i na początku dwudziestego wieku. Kiedy w r. 1894 wydał drugi tomik swoich wierszy, spotkał się z tak gorącym przyjęciem u czytelników i krytyków, że niewiele podobnych przykładów można by znaleźć w historii naszej poezji. Świadek młodzieńczych sukcesów Tetmajera i jego bliski krewny, Tadeusz Boy-Żeleński, pisał w r. 1939 we wstępie do wyboru wierszy *Młodej Polski*: „*Druga seria Poezji (1894)* zyskała mu sukces dający się porównać, mimo różnicy obiektów, chyba z sukcesem *Trylogii* Sienkiewicza. Jego wiersze, preludia, hymny, szepty i krzyki miłosne były na ustach wszystkich”.

Największą popularność u schyłku wieku XIX przyniosły Tetmajerowi wiersze erotyczne. One właśnie zjednały mu rzeszę czytelników, a zwłaszcza czytelniczek. Tetmajerowskie manifesty seksu, śmiałe wyznania o miłosnym głodzie ciała zdobyły niesłychany rozgłos, rzadko notowany w tym stopniu w dziejach poezji polskiej. A przeciw erotyzm, który tak mocno zabrzmiął w wierszach Tetmajera, nie był nowością w naszej liryce. Pisano u nas już przed autorem *Hymnu do miłości* erotyki o takiej samej, a może nawet większej wartości artystycznej. Struna erotyczna przez kilka wieków brzmiała różnymi tonami na lutni polskiej. Ale przed Tetmajerem nie pisano u nas erotyków tak zmysłowych, tak śmiałych w swej zmysłowości. Wiersze jego zadrgały namiętnością, buchnęły łuną cielesnego pożądania, ukazały bujny, namiętny temperament poety, dla którego żądza miłosna jest rozkoszą i piekłem, który rozkoszuje się kształtem ciała kobiecego, każdą linią, każdym zgłębieniem i czyni to z najszczerzym zachwytem.

Ale dziś, po kilkudziesięciu latach od powstania tych wierszy, po wielkich przemianach społecznych, obyczajowych i kulturalnych, erotyki Tetmajera, podobnie jak jego liryka schyłkowo-refleksyjna, symbolistyczno-nastrojowa, straciły swe znaczenie, wyblakły, nie wywołują już żywszego oddźwięku, szerszego zainteresowania. Czas obszedł się z nimi na ogół bezlitośnie. Pozostały tylko jako przedmiot badań dla historyków literatury, interesujące są tylko jako

wyraz nastrojów i gustów zamkniętej, odległej już epoki. Nieliczne tylko znane są szerzej (np. *Kontekst wieku, Na Anioł Pański biją dzwony*).

Natomiast bronią się przed zapomnieniem i — jak wolno mniemać — będą bronić się nadal „*rzeczy góralskie*” Tetmajera, jego liryka tatrzańska. Żyje w niej niezwykle piękno przyrody górskiej, ukazane z niezwykłym mistrzostwem. Tetmajer okazał się najbardziej utalentowanym piewcą Tatr, artystą wysokiej miary, jednym z największych w swoim pokoleniu. Twórczość o tematyce tatrzańskiej stanowi jego najwyższe osiągnięcie poetyckie.

Wprowadzając krajobrazy tatrzańskie do poezji, Tetmajer nie był w tej dziedzinie nowatorem. Pisali już przed nim i współcześnie z nim wiersze o urokach Tatr zachwyceni nimi poeci. Wymienić tu trzeba Jakuba Kazimierza Haura, Wincentego Reklewskiego, Józefa Tetmajera, Seweryna Gończyńskiego, Wincentego Pola, Adama Asnyka, Franciszka Nowickiego, Jana Kasprowicza. Ale Kazimierz Tetmajer najpełniej i najwszechstronniej wydobyl z Tatr całe ich piękno, ukazał góry w całej pełni ich uroku, potęgi i majestatu. Przewyższa swych poprzedników, rówieśników i następców ze „szkoły tatrzańskiej” skalą napięcia uczuciowego w obcowaniu z pięknem Tatr, głębią przenikania przyrody, bezpośredniością i szlachetnością tonu w ukazywaniu jej uroków, bogactwem palety malarskiej, nowatorstwem środków poetyckich.

W cichej kontemplacji gór spędził poeta najlepsze swe godziny, godziny jedyne, w których tonął całą duszą w pięknie i majestacie przyrody. Wpatrzył się, wzył się w ich kształty i barwy. Tatry, nasycając oczy i serce poety niezwykłymi i jakże różnymi urokami, wydoskonalily jego wrażliwość, wysubtelniły i zwielokrotnily ją, dały mu zrozumienie wielkości i piękna natury. Tetmajer znalazł w Tatrach istotny żywioł swej poezji.

Wtopiony całym sobą w ciszę gór, w przestrzeń, poeta żyje w Tatrach i z Tatrami w jakimś panteistycznym braterstwie. Tęskni melancholijnie razem z zadurnianą smutnie limbą, wzlataje nad ziemię razem z orłami skalnymi. Woła do wiatru górskiego: „*Kocham cię, wietrze górski i zawsze kochałem!*”.

Ponad pół setki liryków poświęcił Tetmajer Tatom. Jest to bardzo liczna grupa wśród jego utworów poetyckich, bogatsza ilościowo od wierszy schyłkowo-refleksyjnych. Widać, że poeta kładł szczególny akcent na utwory tatrzańskie, w niektórych seriach (np. w drugiej, piątej, siódmej) łączył te wiersze w osobne cykle.

Najwyżej trzeba postawić liryki tatrzańskie zamierzczone w sławnej drugiej serii. Jest tam impresjonistyczny, czarujący grą barw, nastrojowy *Widok ze Świnicy do Doliny Wierchcichej*. Jest tam barwny wiersz *W lesie*, charakterystyczny dla Tetmajerowskiej techniki opisów przyrody. Jest tam arcydzieło o najdelikatniejszym wyrazie, o trudnym do opisa-

nia wdzięku, powstała w najszcześniejszej godzinie talentu poety — *Melodia mgieł nocnych*.

Wiersze tatrzańskie Tetmajera charakteryzują się bogactwem tematycznym. Pod tym względem można je podzielić na kilka grup. Do pierwszej należą te, w których poeta wyraża swój stosunek do świata górskiego, swój związek z tym światem. Do drugiej zaliczymy pejzaże wysokogórskie, dość liczne i różnobarwne. Trzecią grupę stanowią utwory poetyckie, w których występuje człowiek związany ze skalnym światem, w których ukazani są ludzie gór z ich życiem, sprawami, pojęciami, wierzeniami, językiem, charakterystycznym folklorem góralskim.

Swój uczuciowy związek z rodzinnym regionem górskim zaakcentował Tetmajer już w pierwszym tomiku poezji (1891), zamieszczając tam czterozwrotkowy wiersz *Pozdrowienie*, prosty, rzewny i śpiewny, przypominający utwory Lenartowicza, Syrokomli czy Konopnickiej. W stylu ludowej piosenki lub listu poeta przesyła pozdrowienia dla rodzinnej wsi, Dunajca, drzew, gór, stawów, hal, dla „całego górskiego kraju” oraz dla „ludzi z wszystkich chat”.

Akcenty tęsknoty za rodzinnym górskim krajem powtórzą się w dalszych tomikach poezji. Do drugiego wydania serii pierwszej (1900 r.) Tetmajer wprowadził elegijny wiersz *Patrząc ku Tatrom*, pełen szlachetnego patosu. Nazywa tutaj Tatry swoją kolebką, do której — jak w *Pozdrowieniu* — śle z „miejskich murów” Warszawy czy Krakowa swoją myśl „sokolimi loty”. Uczucia synowskiego przywiązania do skalnego świata gór najlepiej wyraża strofa druga tego wiersza:

„Skąły wysokie! Na wasz tańcuch siny,  
piętrzący słońcu zaporę niezmierną,  
pierwszy raz oczy spojrzyały dziecięcą,  
jedyne słodkie tam patrzyały lata:  
więc pamięć moja zostanie wam wierną,  
myśl wróci do was z najdalszych stron świata,  
skały me, skały!...”

W serii szóstej poezji (1910 r.) zamieścił poeta wiersz *Nie mój Dunajec*, w którym znowu podkreśla swoją miłość do Tatr, ojczyzny swobody i piękna, źródła wzruszeń i natchnień poetyckich.

Stosunek Tetmajera do Tatr — to zagadnienie rozległe i wielostronne. Stosunek ten nie da się zamknąć w określeniach takich, jak miłość do kraju rodzinnego, regionalizm, poezja górskich krajobrazów. Wszystkie te określenia są w pewnym stopniu słuszne, ale tylko w pewnym stopniu. Są niepełne, nie wyczerpują zagadnienia. Rola Tatr w twórczości Tetmajera jest wielka i wielostronna.

Tatry ze swoim majestatem i pięknem, ciszą i przestrzenią były dla poety ucieczką od udręki i prozy codziennego życia, ciągłych trudności i kłopotów, zawodów, jakich doznawał w obcowaniu z ludźmi. Tatry były miejscem odosobnienia, spokoju, zadumy, miejscem, gdzie uczucia poety nabierały głębi, szlachetności i dostojęstwa. Tatry były dla Tetmajera wielką świątynią, która w nim te uczucia wyzwałała. Sam to wyznaje w jednym z sonetów cyklu *W Tatrach*, zamieszczonego w serii piątej:

„Do wielkiego kościoła modlić się przychodzę —  
Widzę wokoło Bezmiar, lecz nie jestem w trwodze;  
czuję się w ręku Potęg, nie w ręku Mocarza;  
nic mię Niepojętego sobą nie przeraża;

wiem, że na mnie nie patrzy nikt mściwie i srodze.

przychodzę się nauczyć, jak Spokój wygląda”.

Spora część wierszy tatrzańskich Tetmajera zawiera pejzaże wysokogórskie, widziane okiem malarza-impresjonisty, przedstawiane z doskonałą precyzją, ze znanstwem przyrodnika i taternika. Jest tu wysoki, doskonały artyzm, poeta osiąga tu prawdziwe wyzyny opisu poetycko-malarskiego, znane przed jego wystąpieniem tylko z *Pana Tadeusza*. Pejzaże te i ich wysoka doskonałość są wymownym dokumentem artystycznym malarskiej postawy twórczej Tetmajera, malarskiego widzenia świata, wrażliwości na barwy i kształty.

Tetmajer z równym upodobaniem maluje Tatry w słońcu i Tatry w mrokach nocy. *Widok ze Swinicy do Doliny Wierchcichej* ogląda poeta w dzień słoneczny.

„Szumiący z dala wśród kamieni  
w słońcu się potok skrzył i mieni  
w srebrno-tęczowy sznur.

Na jasnym, bujnym traw pościeli  
pod słońce się gdzieniegdzie bieli  
w zieleni martwy głaz”.

Wrażenia nocne z gór odtworzył poeta w sonecie *Pod Rysami*:

„Ciemno. W powietrzu wilgoć. W Rysach potok huczy,  
staw uderza o brzegi, bulgota i pluszcze;  
wiatr błądzi przez nadwodne, puste, głuche puszczce  
i gwiżdżąc po upłazach i turniach się włóczy.  
W ciemni blask czasem załśni metaliczny, kruczy  
na wodzie, którą lekki wiatr marszczy i muszcze;  
zaczernią się na brzegu kosodrzewu kuszczce,  
lub skała się w cień błądy, posępny obłoczy”.

Inny obraz Tatr w nocy przedstawił poeta w wierszu *Melodia mgieł nocnych*. Ożywił tutaj krajobraz tatrzański, na tle gór i dolin, niewyraźnie zarysowanych w świetle księżycy, ukazał nieustanny ruch mgieł, nietoperzy, sów. Wrażeniom wrozkowym towarzyszą wrażenia słuchowe, słyszymy szmer potoków, szum drzew górskich. Ożywiają obraz bogate elementy ruchu, wszystko tu jest płynne, zwiewne, przelotne, ledwo uchwytnie.

Interesującym zjawiskiem jest fakt, że Tetmajerowskie pejzaże tatrzańskie są bezludne, ludzie są wyeliminowani z nich. Poeta staje tu sam twarzą w twarz potężnej, dzikiej i pięknej przyrody, ukazuje jej majestat i uroki nie zamącone przez obecność człowieka. Przeżywa swe wrażenia sam, bez świadków.

Alle ludzie górskiego świata nie zostali raz na zawsze usunięci z kręgu widzenia poety. Już w serii drugiej obok nastrojowych pejzaży tatrzańskich ukazał się *List Hanusi* (dopelniony dwoma następnymi dopiero w serii szóstej). Doszedł tu do głosu lud Skalnego Podhala, przemówił swoją góralską gwarą, która w całym bogactwie wystąpi potem w tomikach *Na Skalnym Podhalu i w Legendzie Tatr*. W *Liście Hanusi* do pana z miasta tworzywo gwarowe zostało ujęte w misterne, potoczyste oktawy.

Przedtem, w pierwodruku serii pierwszej z 1891 r. ukazała się *Pieśń o Jaśku zbójniku* z dopiskiem: „na tle pieśni ludowych na Podhalu”. Potem poeta przełożył ją do serii drugiej już bez owego dopisku. *Pieśń o Jaśku zbójniku* to charakterystyczny rapsod

góralski, pisany dwuwierszami, stylizowany na nutę starych pieśni zbójnickich. W tekst rapsodu wplata poeta autentyczne dwuwiersze, śpiewane przez lud na Podhalu, zanotowane przez pisarzy i podróżników.

W drugim wydaniu serii pierwszej występuje otoczony legendą bohater góralszczyzny tatrzańskiej, Janosik (*Śmierć Janosika. Fragment*). Występuje w otoczeniu towarzyszy — zbójników, wraz z nimi wchodzi na karty twórczości Tetmajera świat dawnej góralszczyzny, który najpełniejszy wyraz znajduje w *Skalnym Podhalu* i *Legendzie Tatr*. Część pierwsza *Śmierci Janosika* jest przekładem utworu słowackiego, poematu *Smrt' Jánosikova* Jonasza Záborského. Druga część zawiera nastrojowy i barwny obraz biwaku zbójnickiego w Koprowej Dolinie pod Krzywaniem, ukazany zgodnie z legendami góralskimi o Janosiku i jego towarzyszach.

Piąta seria *Poezji* (1905 r.) przyniosła cykl zatytułowany imieniem Janosika, złożony z trzech utworów. Pierwszy z nich, rapsod *O Janosikowym turnieju* opowiada, jak to Janosik, hetman zbójnicki, zemścił się na dwunastu magnatach węgierskich „za wstyd słowiańskich dziewek”, „za chłopskich kobiet cześć”. Wątki przejęte z legend podtatrzańskich zostały tu zabarwione akcentami antagonizmu słowacko-węgierskiego, bardzo żywego przed pierwszą wojną światową, gdy Słowacja znajdowała się pod politycznym i społecznym uciskiem węgierskim, poddawana madziaryzacji, a budząca się i coraz silniejsza świadomość narodowa Słowaków czyniła Janosika bohaterem narodowym, walczącym z Madziarami.

Elementy antagonizmu słowacko-węgierskiego dostrzegamy też w drugim utworze z cyklu *Janosik*, w *Balladzie o Janosiku* i *Szalamonównie Jadwidze*, napisanej wartkim, potoczystym wierszem, trzywersowymi strofkami, rymującymi się parami (a b c a b c), przy czym trzeci wers każdej strofki, krótszy od dwóch poprzednich, stanowi charakterystyczny dopiew. Poemacik, utrzymany w tonie balladowym, opowiada, jak to Janosik rozkochał w sobie kaszteleńkę Szalamonównę, córkę wielkiego magnata węgierskiego ze Spiszu, który srogo, okrutnie ją ukarał za miłość do zbójckiego hetmana.

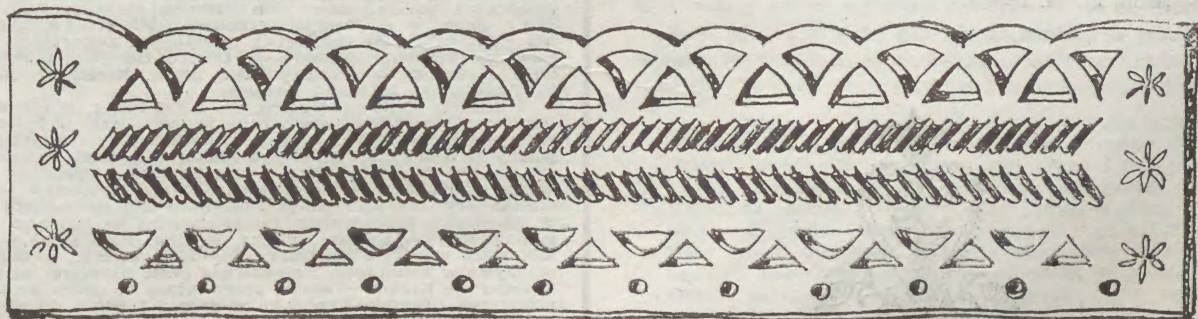
Na najwyższą ocenę zasługuje trzeci utwór z omawianego cyklu, *Legenda o Janosikowej śmierci*, poemat zawierający bogaty folklor podtatrzański, polski i słowacki, utrzymany zasadniczo w tonie balladowym. Dostrzec tu można — podobnie jak w dwóch poprzednich utworach — podobieństwa do średnio-wiecznej poezji bohaterkiej, do jej tonu i formy. W *Legendzie o Janosikowej śmierci* Tetmajer w sposób mistrzowski wyzyskał ludowe opowieści o dzie-

ciństwie Janosika, o jego nadzwyczajnych przymiotach i umiejętnościach, o zdradzie kochanki, o bohaterskiej śmierci ludowego herosa. W całym tym tryptyku góralskim Janosik jest mocarzem pełnym szlachetnych porывów, wyrósł na bohatera w stylu Achillea czy Rolanda, jak oni — dzielny, silny, szlachetny. Jednocześnie zachował w dużym stopniu charakter rodziny, tatrzański. W *Legendzie* Tetmajer mocno podkreślił jego słowackie pochodzenie, nazywa go kilkakrotnie „zdrowiem ludu słowackiego”. Umiejętnie wykorzystał tu szereg legend o Janosiku, krążących na Podtatrzu, m. in. tę, która głosi, że król węgierski nałożył na Liptów haracz za to, że wydał na śmierć Janosika. Oto wyrok królewski:

„Po wiek wieków i po wszystkie czasy  
Liptów cały, że dał Janosika,  
Janosika, dobrego zbójnika,  
co mi wartal za trzy regimenty,  
do królewskiej będzie płacił kasy  
cwancygierów rok rocznie ćwierć korca”.

Tetmajer jeszcze raz podjął w swej twórczości poetyckiej temat Janosika. W serii siódmej zamieścił balladę pt. *Jak Janosik tańczył z cesarzową*. Sięgnął tu znowu do legend podtatrzańskich, do fantazji ludowej, która widziała w Janosiku wcielenie tych mocy i umiejętności, jakie górale chcieli mieć w sobie. W legendach tamtejszych Janosik jest uosobieniem siły i dzielności, przed którą muszą upokorzyć się nawet wielcy panowie. W balladzie Tetmajera złąka się Janosika nawet cesarzowa Maria Teresa i przybyła na żądanie zbójckiego hetmana do karczmny naddunajskiej na tańce z nim. A Janosik to tancerz nad tancerzami.

Tetmajerowskie utwory poetyckie o Janosiku mają charakter fragmentów wyjętych z dużego eposu lub fragmentarycznych studiów do wielkiej kompozycji. Ale na tę wielką kompozycję o Janosiku Tetmajer nie zdobył się. Wielkie konstrukcje nie odpowiadały naturze jego talentu. Tak w poezji, jak w prozie, był mistrzem miniatur, w których potrafił wykazać swój doskonały artyzm, za który darzono go uznaniem i podziwem przez wiele lat, za który jest ceniony i dzisiaj. Doskonała technika poetycka Tetmajera, przejawiająca się w formie artystycznej jego utworów, formie zawsze zgodnej z ich tematyką, wyrażająca się w umiejętnym stosowaniu bogatych efektów wzrokowych i akustycznych, w plastyce kształtów i dynamice ruchów, stawia go w rzędzie najznakomitszych mistrzów słowa polskiego, wyznacza jego doniosłą rolę w dziejach poezji ojczystej.



## MODLITWA W OBOZIE KONCENTRACYJNYM

Nie mówiłam w obozie:

„Ojczy nasz, który jesteś w niebie”...

bo jakże to zwracać się  
o Boże do Ciebie  
i prosić Cię o chleb powszedni,  
którego nie było,  
o którym się tylko marzyło  
i śniło.

Bo jakże Cię błagać:

„i odpuść nam nasze winy, jako i my...”  
ludobójcom odpuszczając  
możemy,  
kiedy z głodu mrzemy?

Tam, w tym morzu zbrodni —

wyznaję Ci szczerze —  
puste wydały mi się wszystkie  
mych ojców pacierze.

Ja wiem, że gdybyś Ty sam Boże

kierował wszechświatem  
człowiek człowiekowi bratem byłby,  
bratem, a nie katem.

Miałam jednak w obozie w myślach ukrytego

w ciernistej koronie  
Frasobliwego.

Zabrałam Go z sobą  
z kapliczki przydrożnej.

Pod chmurami oświęcimskich dymów

z Nim sobie gwarzyłam w zadumie nabożnej.

On mi był tak bliski  
w swoim umęczeniu, w głodzie,  
poniżeniu,  
że razem do nieba staliśmy  
wołanie:

siłę i odwagę ześlij na nas  
Panie!...

Zapłakał Jezusek promiennymi łzami.

Pochwyciły je skowronki  
gdzieś tam za drutami  
i zagrały modlitwą ciepłą,  
czystą, swojską,  
że mi dusza odżyła wolnością  
i... wiosną.

Wielki jesteś Boże!

Wielka jesteś Polsko!

Szczecin, 22. 04. 1983 r.



# MAŁO ZNANE ORKANIA w zbiorach Antoniego Brosza

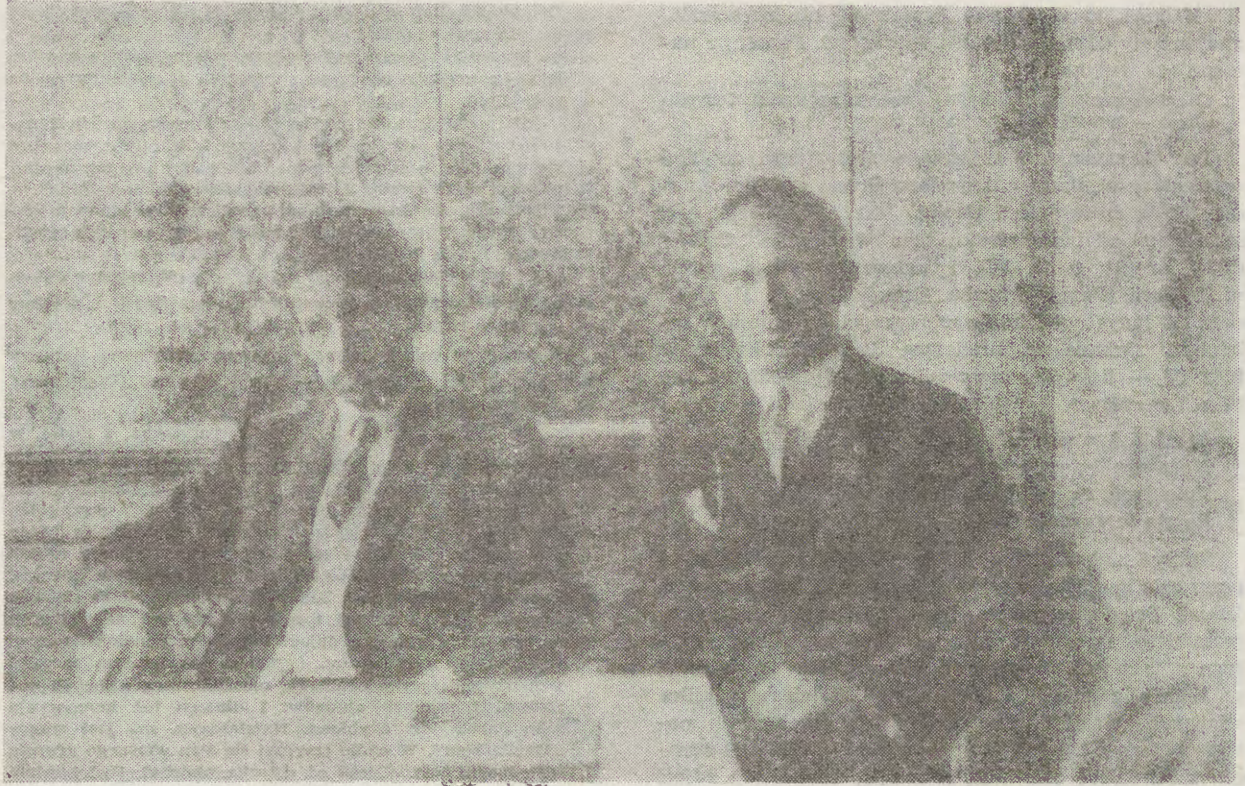
„Jeszcze jedno Mistrzu — wybaczyć proszę, że tak często zanudzałem Go odwiedzinami, w dodatku «milkkiem» podczas tychże będąc. Ale może to będzie usprawiedliwione, jeżeli uwzględnimy nieśmiałość serca młodzieńczego przed Wielkością.”

pisał (podaję na podstawie zachowanego brulionu listu) pod koniec lat dwudziestych do Władysława Orkana młody gimnazjalista Antoni Brosz<sup>1</sup>. Myślę, że warto prześledzić pokrótce historię tej znajomości, zważywszy, że zaowocowała ona po latach zbiorem ciekawych orkanianów.

Zacząła się za pośrednictwem Elżbiety Broszówny<sup>2</sup>, dyplomowanej nauczycielki, która w 1927 r. objęła kolejną posadę i zamieszkała w Niedźwiedziu. Wówczas to na wakacyjne pobyty do siostry zaczęła przyjeżdżać jej młodszy brat Antoni, uczeń (1926/7—1930/1) gimnazjum w Samborze. Blisko było drogą z Niedźwiedzia do Poręby Wielkiej, gdzie urodził się i mieszkał (od 1904 r. w nowym domu) pod Pustką Władysław Orkan. Kto więc wie, czy to właśnie legenda Orkana nie była główną przyczyną ściągającą młodego gimnazjalistę do Niedźwiedzia? E. Broszówna niewątpliwie znała Orkana; musiało więc dojść i do osobistego spotkania (zapewne gdzieś na przełomie 1926/7) jej brata z pisarzem. Orkan znany był jako przyjaciel „literackiej młodzieży próbującej stawiać

<sup>1</sup> Antoni Brosz (ur. 21 XII 1910 r. w Nienadowej — zm. 26 XII 1978 r. w Krakowie; syn Adama nauczyciela szkoły powszechnej i Krystyny Dussberger) początkowo uczęszczał do szkół w Przemyślu, potem w Samborze, gdzie w 1931 r. złożył egzamin dojrzałości. Rozpoczęte w Szkole Podchorążych Sanitarnych w Warszawie studia medyczne przerywa na własną prośbę w 1932 r. Rychło potem rozpoczyna i kontynuuje w bardzo trudnych warunkach studia na wydziale humanistycznym (filologia polska i słowiańska) Uniwersytetu Jagiellońskiego. Zmobilizowany, 21 września 1939 r. przekracza wraz z oddziałem wojskowym granicę węgierską. Wędrując po obozach dla internowanych kończy pobytem w obozie karnym w Komarnie, skąd po trzech miesiącach ucieka i osiada w Budapeszcie jako uchodźca cywilny. Pracuje dorywczo, a dłużej — jako korektor — w piśmie uchodźczym „Więści Polskie”, potem w zakładach graficznych „Atheneum”, a po zakończeniu wojny w Polskim Komitecie Repatriacyjnym. W latach 1944—45 był członkiem Antyfaszystowskiego Frontu Słowian na Węgrzech. W 1945 r. wraca do kraju i rozpoczyna pracę jako redaktor w krakowskich wydawnictwach prywatnych, a od 1953 r. aż do emerytury w 1971 r. — w Oddziale PWN w Krakowie. Tłumacz literatury czeskiej, słowackiej, serbochorwackiej, bułgarskiej, węgierskiej i popularyzator tych literatur; członek ZLP od 1950 r. Znany w środowisku krakowskim bibliofil i kolekcjoner ekslibrisów. Za całokształt działalności kulturalnej odznaczony krzyżem kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, srebrną odznaką za pracę społeczną dla m. Krakowa, odznaką Zasłużonego Działacza Kultury.

<sup>2</sup> Elżbieta Brosz (Brosz), ur. 8 XII 1899 r. w Słivnicy (niedaleko Przemyśla), seminarium nauczycielskie w Przemyślu ukończyła w 1920 r., egzamin kwalifikacyjny — uzyskując patent na nauczyciela szkół powszechnych — zdała w Krakowie w 1924 r. Potem kursy dokształcające i egzaminy na Wyższych Kursach Nauczycielskich. Przeszła wszystkie stopnie kariery nauczycielskiej. Zawodowo czynna od 1920 r. w szkołach w Radomsku, Łomżyńskiem i od 1923 r. w Limanowskim — Kasinka Wielka, Konina, Niedźwiedź (jako kierownik szkoły) i Tymbark (1933—1939). Jeszcze w 1942 r. przebywa w Kisielówce. Aresztowana przez Niemców, została transportem Kraków—Tarnów przywieziona do obozu koncentracyjnego Oświęcim-Brzezinka w dniu 6 I 1943 r. W obozie oznaczona numerem 28036. Zginęła w dniu 21 III 1943 r.



Od lewej: Władysław Orkan i Antoni Brosz na werandzie domu Orkana w Porębie Wielkiej.  
(Ze zbiorów Kaspra Świerzowskiego)

pierwsze kroki” i umiejący trafnie wyczuć „w jakim kierunku powinny zwrócić się ich literackie uzdolnienia”<sup>3</sup>. Nic też dziwnego, że najwyraźniej urzekł Brosza, dopuszczając go do tajemnic świata wielkiej literatury, o której młodzieniec marzył. Świadczy o tym relacja A. Brosza (zachowana w rękopisie) o jednej z kolejnych wizyt:

„Byłem po raz 3 z wizytą u Mistrza. Przyjął mnie jak zwykle bardzo życzliwie. Właśnie odpoczywał, leżąc na łożku, kiedy wszedłem do gabinetu. Rozmowa nasza z rzeczy powierzchownych staczała się powoli ku troskom i kłopotom, jakie w ostatnich czasach trapią Mistrza, aż wreszcie naszliśmy na tory literatury. Mówiliśmy dużo. Pierwszą rzeczą, jaką poruszyliśmy, była sprawa Akademii Literatury. — Sprawa ta jakoś tak się ciągnie. Pisał do mnie Kađen, ażeby zabrać w tej sprawie głos i że my starsi również powinniśmy się ruszać w tej sprawie. No, ale nie sam — nie wypada znów nam się tak o to dobić, bo przecież byłoby to ubieganie się pro domo sua. Trzeba zresztą raz sprawę ostro postawić. Rząd przecież popiera rozmaite sporty itd., a na to brakuje pieniędzy. Departament Kultury i Sztuki znów rozporządza małymi sumami, że nie wiedzieć, jak je rozdzielić. A przecież — podejmuje Mistrz — państwo ma chyba że najwięcej do zawdzięczenia literatom. W czasach niewoli nie innego przecież jak tylko muzyka, malarstwo i literatura była propagandą polskości zagranicą; była jedynym świadectwem żywotności. I ona chyba jedyna przyczyniła się do tego, że pokolenia urodzone w niewoli nie skaplały, nie zdziaływały i nie wynarodowiły się, lecz żyły niezłomną wiarą w odrodzenie. Przecież też ten płomień w sercach podtrzymywała jedynie wielka poezja romantyczna, a wreszcie Młoda Polska. A dziś państwo nie przykłada do tego wielkiej wagi. Bardzo to smutne. Nie mogą się zdobyć na ustanowienie tej Akademii, która by zapewniła byt piszącym, która by przez rozmaite konkursy pobu-

dziła dziesiątki talentów. Dziwię się tylko — ciągnie dalej Mistrz — że Staff, Sieroszewski nie robią żadnego hałasu w tej sprawie; przecież mają znajomości z prezydentem; znają się doskonale z Piłsudskim. Następnie Mistrz nazkicował pokrótce plan Akademii. Więc prace rozpadałyby się na poszczególne sekcje. Chodzi np. o szerzenie czytelnictwa w Polsce, dalej zakładanie bibliotek prowincjonalnych; ważne bardzo są sprawy regionalne, wydawanie dzieł starszych, cennych, niestety niedocenianych. Słowem ogromna ilość prac czeka przyszłą Akademię, której trudno się doczekać. Nasz regionalizm byłby nieco odmienny od obcego, ponieważ miałby cechy wybitnie odrodzeniowe, zaznaczający się na wszystkich polach pracy społecznej i moralnej. Nic innego mnie właściwie nie wypada — mówi Mistrz swym przyciszonym głosem — jak tylko wystosować memoriał do Mościckiego (znam go) w sprawie Akademii, a przecież sądzę, że gdyby się uparł (...) rząd by się pospieszył. Mogę to zresztą uczynić, boć przecież nie należę do żadnych związków literackich, ale jestem sam. (...) W końcu dodał Orkan, że dzięki mnie przypomniał sobie o tym memoriale. Rozmowa o literaturze ciągnęła się dalej (...)”

O bliższej znajomości poety z gimnazjalistą świadczyć też może zachowane zdjęcie, na którym obok charakterystycznej sylwetki „dumaca z Poręby Wielkiej” widać postać wyraźnie onieśmielonego A. Brosza.

Sam Mistrz zresztą też nie zapomniał o młodym adeptce literatury, o czym świadczy kolejny brudnopis listu Brosza (z Bursy Polskiej w Samborze) do Orkana:

„Dopiero dziś mogę podziękować Kochanemu Mistrzowi za Jego książkę (bo wczoraj dopiero przysłała mi ją siostra), której ofiarowanie mi jest cenną i drogą pamiątką. Zachowam ją jako najmiłsze wspomnienie, tym więcej, że opatrzona została tak życzliwym napisem. Już od trzech tygodni siedzę w bursackich murach. (...) Przed kilku dniami urządziłem w bursie Wieczornicę podhalańską (...). Zamierzam również w przyszłości jedną z wieczornic poświęcić i Kochanemu Mistrzowi, tylko muszę odpowiednio obmyśleć i opracować.”

<sup>3</sup> J. Dużyk, Władysław Orkan. Opowieść biograficzna. Warszawa 1975, s. 488.

Książka ta w zbiorze Brosza się nie zachowała, znajdujemy natomiast tomik wierszy pt. *Planety* z następującą dedykacją:

„Kochanemu Antoniemu Broszowi, z najlepszymi życzeniami — Wł. Orkan. Poręba W. 30 VIII 23 r.”

Pod tą samą datą dzienną wpisał Orkan do Broszowego notatnika z autografami drugą zwrotkę wiersza *Ułudą życie jest i kłeską*. Jest to redakcja odmienne od pierwodruku tego wiersza w „Czasie” (1930, nr 91 z 19 IV) i przedrukowanego potem w *Dzieltach (Poezje zebrane*. Kraków 1968, t. II, s. 97) oraz od innych redakcji zachowanych w zbiorach rękopisów Orkana w Bibliotece Jagiellońskiej (sygn. 8562 IV — *Rękopisy utworów z lat 1901—1930*, k. 83, 84 r. i v., 85):

*Niechaj, kto skrzydła u ramion poczuje,  
Mocniej Bożym tchem...  
Tyle życia tu, co Duch zwojuje,  
Reszta jest proch i ziem.*

Śmierć „ukochanego Mistrza” (14 maja 1930 r.) przerwała osobiste kontakty. Pamięci Orkana pozostał jednak Brosz wierny aż po ostatnie lata swego życia, gromadząc systematycznie wszelkie materiały związane z życiem i twórczością pisarza. One to, zebrane w tekach z napisem „orkaniana”, zawierają: kilka własnych relacji Brosza (w rodzaju cytowanych powyżej), ponad 125 wycinków prasowych, około 60 opracowań (książki, artykuły, recenzje), blisko 120 zdjęć, kilka druków ulotnych i programów teatralnych oraz liczący blisko 40 tomów zbiór wydań utworów Orkana (z wieloma cennymi pierwodrukami).

Wśród zebranych materiałów poczesne miejsce zajmuje również kilka nieznanymi autografów pisarza oraz listy — znanych i nieznanymi osób — do Orkana. Niektóre z nich są przyczynkami (drobniejszymi zapewne) do życia i twórczości pisarza, ale chyba warto krótko je tu opisać i przedstawić.

Z najwcześniejszych autografów Orkana w zbiorze A. Brosza wymienić trzeba Orkanowy notes z preparacjami z języka niemieckiego z podpisem na okładce: „Niemieckie — Szmciarz — VII a” i odręcznym rysunkiem Orkana na trzeciej stronie okładki. Z czasami szkolnymi wiąże się też list<sup>4</sup> pisarza do nieznanego adresata, pisany w dwa lata po przerwaniu nauki w krakowskim Gimnazjum św. Jacka i po powrocie do Poręby Wielkiej:

Poręba Wielka  
p. Niedźwiedz  
d. 24 X 1897

*Szanowny i Kochany Panie!*

Cieszymy się niewymownie wszyscy, że Pan zdrów i że się Panu nieźle powodzi.

Co do nas — to życie płynie jednostajnie, jak zwykle jesienią. A zdrowie służy nam jeszcze chwala Bogu. W polu zebraliśmy wszystko. Ziemiaki już w piwnicy — spokojnie oczekujemy zimy.

Ja czekam monety z Warszawy, żeby się wyrwać do Krakowa — a tymczasem siedzę w domu, czytam i piszę, co niemiara... Uśmieiałem się szczerze ze spalenia budy Mickiewicza. No — tam Kraków musiał pysznie wyglądać!

Od brata otrzymałem w tych dniach list; mówił, że Pan był u niego... Ja tylko wyczekuję niecierpliwie, żeby się z Wami zobaczyć.

Pogoda u nas piękna — cudna jesień!

Jeśli Pan pojedzie do Regul (... na) W. Sw. — to proszę złożyć od nas wszystkich pozdrowienia swojej drogiej mamusi, siostrze Broni i wszystkim znajomym...

Jeśliby się Pan widział z panem Małochą — to proszę go ode mnie uściśkać.

Proszę również złożyć pozdrowienia wszystkim w szkole — począwszy od pana profesora, a skończywszy na małej Hell.

Mam nadzieję, że niebawem już ucieszymy się i nagadamy, gdy się zjawię w Krakowie, ale tymczasem niechże Pan o nas nie zapomina i donosi, jak można najczęściej, o swoim dalszym powodzeniu.

Kończąc, ślę Panu serdeczny uścisk a od Mamy i siostry tysiące pozdrowień z zapewnieniem szczerzej życzliwości...

Władysław Orkan

ps. Spodziewamy się nienajdłuższej odpow.(edzi) i prosimy o pamięć nadal...

Początków młodzieńczej twórczości Orkana dotyczą list z redakcji „Przeglądu Tygodniowego” (Warszawa, ul. Czysta nr 4):

Targówka, 8 kwiet. 98

Szanowny Panie! Niech Pana nie dziwi, że większość pańskich utworów odsyłam a dwa najdrobniejsze, ale ukończone zatrzymuję do druku. Tak Was wszystkich młodych poetów i pisarzy szanuję i kocham, że nigdy nie mogę przenieść na sobie, aby puścić to, (co) wyszło spod waszego pióra a wydaje mi się niezupełnie dobrym. Początek „Pielgrzyma” bardzo ładny, póty póki się Pan trzymasz ziemi ojczystej, tego coś odczuł sam, ale w dwóch następnych częściach dając folę konwencjonalizmowi, powszednim narzekaniom i jękom nieodczutym zaczęłes Pan używać języka ogólnego, naśladowanego, obcych porównań i znanych obrazów. I dlatego też kompozycja jako całość jest chyblona. Najślabszym zaś jest wiersz „Mogilnikom”. W ogóle trzymaj się Pan własnego gruntu, tego gdzieś wyrósł, coś od dziecka ukochał. Być bardem gór — to jest zgotować sobie piękną, niezapomnianą kartę.

Tego dosyć, a konwencjonalizm zostaw Pan tym, co się nie potrafią innym przejąć duchem i naśladować. (...)

Pelen życzliwości  
A(dam) Wiślicki

Zwrócony Orkanowi przy tym liście rękopis wiersza *Mogilnikom* (też zachowany w zbiorze) jest redakcją odmienneą od ostatecznej ogłoszonej w „Promieniu” (Lwów, 1900 nr 5 z 1 V) i przedrukowanej potem w *Dzieltach (Poezje zebrane*. Kraków 1968, t. I., s. 104—5) a nieznacznie tylko różniący się od licznych redakcji tego wiersza zachowanych w Bibliotece Jagiellońskiej sgn. 8541 — *Poezje młodzieńcze*, k. 35 r. i 36, 114 r. i v.). Powyższy list pot wierdza hipotezę wydawcy (J. Kwiatkowskiego), że wiersz *Mogilnikom* powstał prawdopodobnie w 1898 r., a w każdym razie na pewno przed tym rokiem. Omówienie przez Adama Wiślickiego w cytowanym liście drugiego wiersza pt. *Pielgrzym* świadczy, że Orkan podejmował konkretne próby jego wydrukowania. Myśl tę z czasem zarzucił i jakąś „wcześniejszą redakcją — jak wynika z relacji Kazimierza Sosnowskiego — wyrzucił do pieca”<sup>5</sup>.

Z tym okresem życia Orkana wiąże się jeszcze pośrednio list Franciszki Gurskiej (powierniczki i wieloletniej korespondentki poety w pierwszych latach pracy twórczej) w sprawie zajęcia się kształceniem „uzdolnionego samouka” Jana Denysa (używającego potem nazwiska Kazimierz Królikowski):

*Szanowny Panie —*

Po wysłaniu listu do Pana przyjechała do mnie P. Czermakowa, której przeczytałem list Pana. Otóż zrobiła mi uwagę, że Pan Wojnar zna się dobrze z Panem Szczepanikiem, więc jeżeli uznalibyście Panowie, poznawszy Denysa, że rokuje on nadziei wiele, i zajęcie się nim przyniesie korzyść, to gdyby Pan Wojnar udał się do Pana Szczepanika, może by tenże, albo wziął go do Siebie, albo ofiarował jakąś pomoc, aby się między Panami

<sup>4</sup> Zachowany w bardzo złym stanie. Braki w tekście, miejsca nieczytelne zaznaczono (tu a także w innych ogłoszonych tekstach) nawiasami.

<sup>5</sup> Zob. przyp. 3, s. 26.



w Krakowie kształcił. Udaję się więc z prośbą do Pana, żeby Pan zasłęgnąć raczył rady Pana Wojnara, a jak zadecydujecie, żeby Denys przyjechał do Krakowa, abyście go Panowie poznali i wyegzaminowali, to posłałabym Denysowi pieniądze na drogę do Krakowa, aby w Zielone Święta zamiast do mnie, do Krakowa pojechał, bo urlop na Święta dostanie pewnie. Proszę Pana o łaskawe powiadomienie mnie zaraz, jak tylko Pan z Panem Wojnarem pomówi, bo zanim list dostanę z Krakowa i wysię znów Denysowi, to czasu kilka dni upłynie a to już 16-ty dziś, więc i do Święt niedaleko.

Wyrazy poważania łączę i polecam sercu Pana łaskawego gorącą prośbę moją. Z szczerą przyjaźnią

Fr(anciszka) Gurska

Wolczyszczowice 16/5 898 r.

Znane kłopoty materialne Orkana (wiadomo, że niekiedy brakowało mu dosłownie grosza na codzienne życiowe potrzeby) unaocznia poniższa notatka (zapisana odręcznie na ćwiartce papieru):

Składnica  
w Niedźwiedziu

Proszę uprzejmie o skredytowanie:

mąki chlebowej	4 kg
mąki pszennej	3 kg
drożdży	8 deka
cukru	3 kg
ryżu	1 kg
kawy	10 deka

Dn. 12/I 27

Z poważaniem  
Wł. Orkan

Warto zwrócić uwagę na datę tej notatki — to początek uroczystości jubileuszu trzydziestolecia pracy literackiej Orkana, na uczestnictwo w których — jak wiadomo — musiał sprzedać jedną ze swoich dwóch krów. Czyż można się dziwić, że w takiej sytuacji pisarz spośród licznych dowodów uznania najżywiej interesował się losem obiecywanej mu pensji dożywotniej, czy honorowej emerytury?

Na innej karcie z odręcznymi zapiskami różnej treści mieści się też fragment nieznanego wiersza Orkana pt. *Znasz*:

*Znasz duszę mą ... wiesz, że jak cytra rozstrojona  
Jest, gdzie różne akordy zlewają się w jedno —  
W jakiś zgrzyt beznadziejny, co fałą bezwiedną  
Mknie nad nim krzyk rybitwy — myśli, która kona ...*

*Znasz serce me ... wiesz, że mi nie wyjrzało z łona  
Przez dwa okna-żrenice twarzą dziecka biedną ...  
Tylko smutki lez rosą na rzęsach mi siedzą*

Listę przedstawionych tu i pokrótce omówionych materiałów dopełnić można jeszcze dwoma drobiazgami z Orkanem pośrednio związanymi a poświadczającymi dodatkowo (oprócz zachowanej Karty wstępu na wieczornicę) uczestnictwo A. Brosza w uroczystościach

# KARTA WSTĘPU NA WIECZORNICĘ JUBILEUSZOWĄ WŁADYSŁAWA ORKANA

DLA WP. *Antoniego Brosza*

W NOWYM TARGU, DNIA 7. SIERPNI 1927 R.

ZA KOMITET:

*J. Marcin*

Karta wstępu... (Ze zbioru Kaspra Swierzowskiego)

jubileuszowych Orkana 7 sierpnia 1927 r. w Nowym Targu. Są to dwa okolicznościowe wpisy do Broszowego notatnika z autografami<sup>6</sup>:

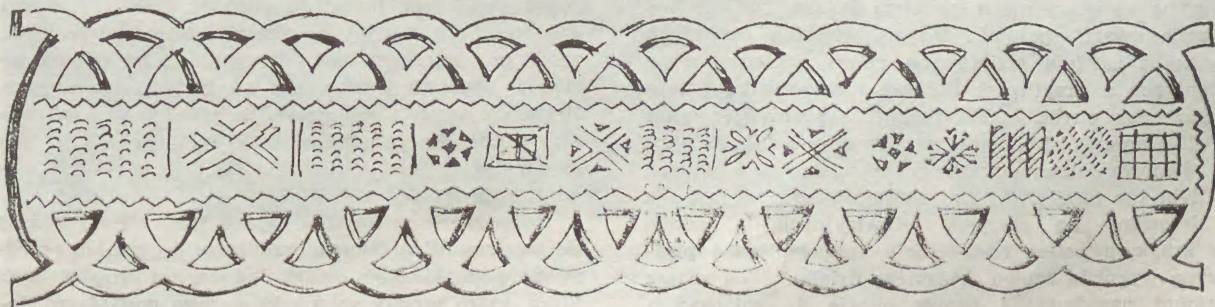
W święto Orkanowe radośnie spotkanemu serdeczne wyrazy braterstwa i pozdrowienia  
N. Targ 7 VIII 1927 / *Józef Jedlicz*

Drogiemu, przypadkowo spotkanemu, a przecie naprawdę drogiemu — pocie dnia dzisiejszego z serdecznym uściskiem dłoni.  
Nowy Targ 7 VIII *Feliks Gwiżdż*

Wszystkie te materiały zbierał A. Brosz z myślą o Muzeum biograficznym pisarza w jego rodzinnym domu pod Pustką. Sprawa odbudowy domu i inne sprawy organizacyjne przeciągały się długo. Brosz żywo się nimi interesował; w ostatnich latach życia wielokrotnie był w Porębie Wielkiej i ponawiał odwiedziny w Orkanówce. Z radością powitał utworzenie w setną rocznicę urodzin pisarza w domu pod Pustką izby z pamiątkami po Orkanie, która miała dać początek biograficznemu Muzeum Orkanowskiemu. Przygotował nawet obszerny opis wnętrza tak, jak je zapamiętał z czasów swoich bytności w domu Orkana. Ostatecznego jednak zakończenia sprawy utworzenia Muzeum nie doczekał; nie zdążył też już osobiście przekazać swojego zbioru orkanianów, które niewątpliwie znacznie wzbogacą nieliczne pamiątki zebrane dotychczas w domu pod Pustką.

Powrócili one jednak na Orkanówkę — zgodnie z wolą właściciela — w 1980 r., w pięćdziesiąt rocznicę śmierci piewcy Gorców.

<sup>6</sup> Oprócz przytoczonych znajdują się w nim również późniejsze wpisy: W. Sieroszewskiego, L. Staffa, T. Szantrocha, L. Kruczkowskiego, E. Zegadłowicza, J. Birkenmajera, K. Irzykowskiego, G. Morcinka, A. Polewki, J. Pietrzyckiego i in.



## GROMADA

*Gromada to spora ilość ludzi zebranych w jednym miejscu, zazwyczaj złączonych z sobą jedną myślą i wolą, wspólnym celem, dążących w dobrze obranym kierunku, ku mądrej robocie, ku pospólnemu Dobru, ku Bogu, Ojcowiznie i Ojczyźnie.*

*Gdy przed tym słowem postawi się jeszcze słowa JAN WŁADYSŁAW, to wystarczy to już za cały wielki artykuł w gazecie i za całe hasło w słowniku.*

*Jan Władysław GROMADA, stanowiący gromadę sam z siebie, to znaczy mający serce, rozum i siłę całej gromady. Symbol górala, górala polskiego, od wielu lat świadczącego Polsce i Podhalu w Ameryce.*

*Kochany Jubilacie, od nas wszystkich stąd, z Kraju, od Podhala i „Podhalańki” przyjmijcie w czas osiemdziesiątych Waszych urodzin życzenia najlepszego zdrowia i wszelkich Darów Bożych.*

*Wasza wspaniąta, podhalańska Robota będzie dla góralskich pokoleń w Ameryce i Polsce przykazem i wzorem. Szczęść Wam Boże na długie lata w poczynaniach i płonach. (tst)*

JULIAN SZYNALIK DOBROWOLSKI (Dillsboro, USA)

# U G R O M A D Ó W

Kiedyś Cyprian Norwid modlił się o kaplicę, w której by się „duch polski wytłumaczył”, a modlił się poetycko i żarliwie całym umiłowaniem tego, co mu dyktował nakaz serca i tęsknota za utraconym krajem. To Norwidowskie wołanie nie znalazło oddźwięku ani na emigracji, ani w kraju. Pozostało w bibliotekach i rzadko nawet pojawia się na pulpitych szkolnych, by nie powiedzieć, że umarło razem z nim w paryskim przytułku dla opuszczonych, zapomnianych emigrantów.

Niecałe sto pięćdziesiąt lat później prawnukom tamtej, wielkiej emigracji przyszło wypełnić tragiczną treścią drugi akt emigracyjnej epepej. I choć liczebnie ta dwudziestowieczna przewyższa tamtą, Norwidowską, jakże uboga jest w robocie, ideach i ideałach. W tej naszej, rozsypanej po wszystkich niemal kontynentach, już nikt nie woła o polską kaplicę, już nikt nie woła o polski dom. Bo na tej przeogromnej scenie rośniemy w siły; bo tam gdzie mamy nawet dwóch prezydentów, bo na akademiach grzmimy Polską, bo jesteśmy prawie zwarci, gotowi... Bo po wielkich pochodach hurmą i zawieją idziemy na polską kielbasę, a na piknikach z przytupem hulamy czeską polkę i tańczymy już chyba z chochołami, takeśmy się upili wielkością i Polską. A potem wracamy i dalejże nura w domowe fotele, otwieramy telewizory i w śmiech „all in the family”, w śmiech płytki i płaski jak ten sfałszowany na stacjach telewizyjnych, a potem w krzyk, a potem rozdzieranie szat, bo jakaś pisarzyna wypociła znowu „polskiego dziółka” — i znowu dramat narządowy! I znowu okazja do zbiorowych

protestów, do przedstawiania kandydatów ojczyźnianych, do listów do Waszyngtonu i do nowych akademii zawsze z kandydatami...

Uciekajmy od tego zgiełku i hurrapatriotyzmu w zacisze polskiego domu. Nie szukajmy w nim kapusty z kiełbasą, nie słuchajmy dyletanckich, szablonowych programów telewizyjnych, a przede wszystkim nie naśladowujmy Rejtanów z powodu „Polish jokes”. (Najlepszą odpowiedzią na grafomaństwo — milczenie oraz solidarny, niekoniecznie krzykliwy i akademiowy bojkot stacji oraz firm, które dany program finansują. Taka postawa w czasem okaże się bardzo skuteczna, bo uderza nie w krzyk, ale w kieszeń i tylko ona przywróci szacunek naszej etnicznej grupie i naszemu wkładowi w dzieje tego niezbyt dobrze rządzonego świata).

Może więc na czasie będzie powrócić do tych Norwidowych dumań i wskazań już nie w patetycznym ujęciu, ale tak na co dzień, może trzeba by już zacząć „tłumaczyć” tego polskiego ducha najpierw w domu, a potem na akademii. Spróbujmy, zacznijmy szukać...

Na zewnątrz ten dom nie różni się od swoich sąsiadów z prawa i lewa, czy od tych z naprzeciwka. Przed wejściem nisko przycięte krzewy, przypominające tatrzańską kosodrzewinę, od tyłu ogródek, w którym najpełniej wypowiedziała się miłość do kwiatów pani gospodyni.

Zostawiamy w ogrodzie zapach jedliny i wchodzimy do wnętrza. W oszklonym kredensie oryginalne przedmioty podhalańskiej sztuki ludowej, a między nimi kilka, które wyszły spod ręki samego gospodarza do-

mu. Na ścianach realistyczne pejzaże Tatr, Podhale w interpretacji kilku artystów malarzy, świątki, parzenice i osty tatrzańskie.

Z parterowej części mieszkania, która jak cały dom pachnie czystością, wchodzimy do dolnej i tu — parafrazując Norwida — znajdujemy autentyczną izbę, w której najpełniej wytlumaczył się duch podhalański. Ta izba-świątlica to jeszcze jeden dowód wszechstronnych talentów Jana Gromady. On sam nie tylko zaprojektował tę podhalańską izbę, ale ją wykończył z meblami, udekorowanymi ścianami i pułapem. Obrazy prymitywów religijnych i regionalnych nie wiszą na ścianach, ale są ustawione na modłę podhalańską skośnie od pułapu do ściany. Czaruje nas urodą prostoty to Podhale w miniaturze, któremu Gromada umiał dać autentyzm i zachować ciepło tradycji. I jakby na podkreślenie tej atmosfery przyniesionej stamtąd, Jan bierze do ręki gęśle, uderza od niechcenia palcami w struny... A za nim już przy basetli Anielcia jego żona i z palcami na skrzypkach córka Janina, i syn Tadeusz. I już wylatują nuty, i już łączą się w wiązanki melodii... Pod palcami Jana-Janicka skaczą w przytupach drobne i krzesane i już gra cała kapela góralska, kapela Gromadowa. Falamy nadlatują

zabaczone nuty marszowe, uroczyste, to znowu śpiewne i tęskne, i znowu powraca melodią podhalańskie drzewiej... To Janosik skacze z Dunajcowej skały w hyr i ślebotę, to góral odchodzący w doliny wspomina perć tatrzańską, a pod pazuchą niesie swoją biedę — to Krzysie i Marduly równają światy, to Sabałowe nuty szumią wiatrem halnym, a Gromadowa Gromada gra... Wyczuli te powroty w ojczyznę i Tatry jego muzycy, bo w oczach tyle natchnienia i serca, tyle zapachu jedliny, tyle zielonego nieba. Andrzej Bachledda-Curus i jego żona Marysia oczarowani tymi powrotami już włączają się w melodie Gromadów i razem niosą się halami ku wierchom i już gra, i już śpiewa całe Podhale.

Nie pierwszy raz słuchałem góralskiego koncertu rodziny Gromadów w tej podhalańskiej świetlicy, ale pierwszy raz zetknąłem się tam z Andrzejem Bachleddą, jedynym artystą podhalańskim, który swym głosem zdobył nie tylko wielkie sceny polskie, ale i zagraniczne. I pierwszy raz zachwyciłem się dźwięcznym głosem jego małżonki Marysi Wawrytkówny, bylej mistrzyni Polski w narciarstwie i matki dwóch narciarzy o światowej sławie.

Ta muzyczna wyprawa do polskich Tatr i to spot-



Od lewej strony stoją: druga w rzędzie Janina Kedroń (córka Jana W. Gromady i żona Henryka Kedronia), Anielcia Gromadowa (żona Jana W. Gromady), Jan Władysław Gromada. Poniżej od lewej: Henryk Kedroń i Tadeusz Gromada (syn Jana W. Gromady). (Ze zbiorów Archiwum Domu Podhalańskiego w Ludźmierzu).

kanie z artystami Podhala miało miejsce w domu Jana Gromady i on był przewodnikiem w krainę powrotów.

Jan Gromada to chyba jedyny w Ameryce autentyczny muzyk góralski o tradycji Sabalów. Rozniósł on sławę polskiej muzyki regionalnej szeroko po Stanach Zjednoczonych. Grał i gra jeszcze przyjaciółom Polakom i Amerykanom, gra wszystkim miłośnikom muzyki ludowej. Nie miejsce tu wyliczać te wszystkie koncerty i występy Gromadów, które tyle sławy dały Janowi, a jeszcze więcej Podhalu i Polsce. Bo Jan to w pierwszym rzędzie wielki Polak i wielki Podhalańin, to autentyczny artysta ludowy w muzyce, rzemiośle regionalnym, w piśmie i mowie. Nie wielu ludzi wie o tym, że olbrzymia większość góralskich portek i cuch podziwianych w pochodach narodowych w Chicago, Nowym Jorku, czy innych miastach Ameryki, wyszła spod jego ręki. A dom Gromadów w N. Jersey był i jest przystankiem najlepszych nadziei dla Polaków przybywających na „gościenną ziemię Waszyngtona”, a już prawie dla wszystkich Podhalańców z intencjami artystycznymi, turystycznymi czy zarobkowymi.

Bywali w tym domu artyści, pisarze i poeci. Do tego grona przyjaciół należeli: Rafał Malczewski i jego żona Helena Morsztyn, Jan Lechoń, generał Bór-Komorowski, Artur Rodziński, Janta-Polczyński, profesor Oskar Halecki, Stefan Mierzwa, Jan Ciepliński. Wśród korespondujących z Gromadą znajdziemy nazwiska przywódców ruchu podhalańskiego w Polsce: Feliksa Gwiżdża, Jakuba Zachemskiego, Juliusza Zborowskiego, Jana Walewskiego oraz pisarzy podhalańskich: Adama Pacha, Stanisława Nędzy-Kubińca, Hanki Nowobielskiej, Andrzeja Skupnia-Florka, Włodzimierza Wnuka, dr Wincentego Galicy i wielu innych.

Jan Lechoń w „Dzienniku” t. III. s. 436 (Londyn 1973) tak opisuje swój pobyt u Gromadów:

*Wczoraj byłem u górali Gromadów w East Paterson, aby zrobić z nimi gwiazdkową rozmowę do radia. Poza gospodarzami było jeszcze kilkanaście osób z Pod-*

*hala rodem, część już tutaj urodzonych, ale mówiących kiedy trzeba po góralsku, śpiewających góralskie piosnki i tańczących krzesanego. Wśród nich młoda Kedroniowa, córka pana Gromady, nauczycielka francuskiego w High School i dr Jabłoński, geolog o ważnym tu stanowisku, pan w dobrej sile wieku, ale wciąż chętny do tych tańców i śpiewów. Tadzia Gromady, który dziesięć lat temu tańczył lepiej niż Lifar, tym razem nie było, jest teraz w wojsku, a po powrocie będzie nauczycielem historii, którą studiował pod Haleckim w Fordham. Zapiewają był nieznany mi Samek, z którym później wracaliśmy do Nowego Jorku, zdaje się, że to młody Żyd spod Nowego Targu. Tuwim zrobiłby z tego skecz do «Qui pro Quo», ale daję słowo, że śpiewał on lepiej, bardziej po góralsku niż aryjscy praarie.*

Uzupełnijmy notatkę Lechonia o „nieznany” Samek: był to rodowity Żyd-góral z Piekieniaka na Orawie i nazywał się Samuel Tondlich. U Gromadów przebywał często, bo stamtąd najbliższemu mu było do jego Piekieniaka. „Zapiewał” po góralsku jak najprawdziwszy góral, bo był nim z urodzenia i... serca: Nie pierwszy to i nie ostatni Żyd z Zakopanego Gromady. Abraham Schwartzer, urodzony w Zakopanem, przywiązał się może jeszcze mocniej do Gromady jak jego poprzednik. Fotografie Abrahama zdobiły przez lata stronicę *Tatrzańskie Orle*. Kiedy niedawno temu zmarł, dr Tadeusz Gromada poświęcił mu wzruszające wspomnienie właśnie w tym „Orle”, do którego miał spory kawał serca ten Żyd-góral z Zakopanego. Samek i Abraham to niezmiernie ciekawy przyczynek do działalności podhalańskiej Gromady i do jego góralskiego uniwersalizmu. Orkanowskie Podhale leżało w zasięgu góralskich portek; Gromadowe w zasięgu serca.

Taki jest Jan Gromada: w każdym calu autentyczny, nie zepsuty przez świat, przez cywilizację artysta ludowy i podhalański. I taki jest jego dom w East Paterson, w stanie N. Jersey, niedaleko od Nowego Jorku, a tak daleko od Podhala i Tatr.

WŁODZIMIERZ WNUK

## W 100 rocznicę urodzin Feliksa Gwiżdża

12 stycznia 1885 r. urodził się w Odrowążu na Podhalu Feliks Gwiżdż. Tak więc w bieżącym roku minęła 100 rocznica urodzin jednego z najwybitniejszych synów Podhala, któremu region nasz — a w szczególności podhalański ruch regionalny — ma wiele do zawdzięczenia.

Był Feliks Gwiżdż współtwórcą tego ruchu, razem z Władysławem Orkanem, Jakubem Zachemskim (wywodzącym się również z Odrowąża), Andrzejem Stopką i późniejszym generałem Andrzejem Galicą — pod ideowym patronatem wielkich pisarzy, Stanisława Witkiewicza i Kazimierza Przerwy Tetmajera — organizował początki tego ruchu, a później uczestniczył jak najaktywniej w jego rozwoju. Brał udział w pierwszych Zjazdach Podhalańców, organizował

wielkie patriotyczne manifestacje podhalańskie w 1913 r. w Chochołowie i w Nowym Targu, przewodził Drużynom Podhalańskim (z których tak wielu górali wstąpiło do Legionów) w przededniu I wojny światowej. To on był pierwszym redaktorem „Gazety Podhalańskiej”, która tak ważną odegrała rolę w rozwoju regionalizmu podhalańskiego.

A kiedy w 1919 r., już w wolnej Polsce, powstał Związek Podhalańców, Feliks Gwiżdż był przy budowaniu jego zrębów, a potem, aż do roku 1939 prowadził ten Związek razem z Jakubem Zachemskim — ci dwaj Odrowążanie byli nie tylko jego prezesami (naprzód Zachemski, później Gwiżdż), ale także faktycznymi przywódcami, sercem i motorem tej organizacji, którą w Polsce Ludowej staramy się prowa-

dzić i rozwijać dalej w myśl ich wskazań i doświadczeń. I w myśl „Wskazań” trzeciego z przywódców podhalańskich, Władysława Orkana.

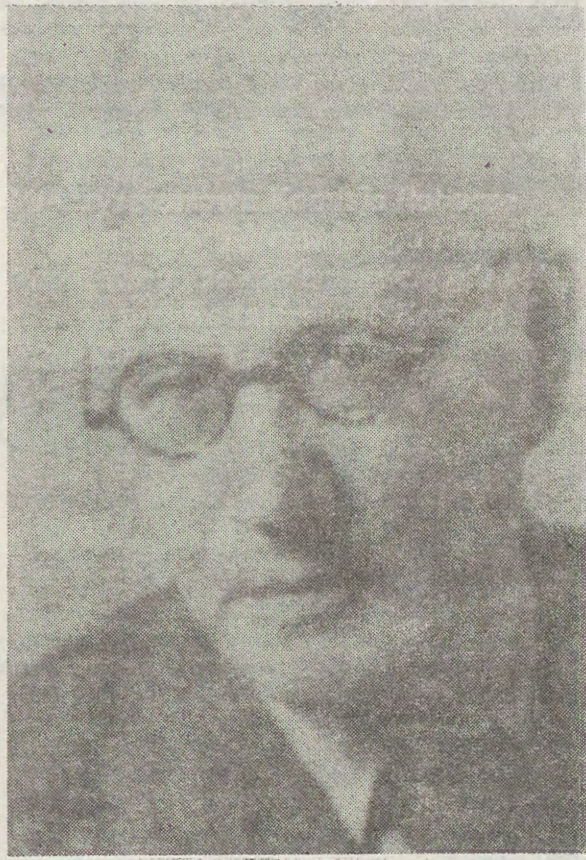
Był także Feliks Gwiżdż publicystą i pisarzem, w którego twórczości nuta podhalańska, zatroskana o sprawy rodzinnej ziemi i opiewająca „żywobycie” jej ludu, odzywała się niejednokrotnie czy to w licznych artykułach, rozsianych po gazetach, czy to w wierszach (tomiki „Fale” i „Kośba”), czy przede wszystkim w dwóch tomach opowiadań: „Dobrzy ludzie” i „Obrazki na szkle”, obracających się dookoła życia górali, które umiał wnikliwie i z talentem odmalować.

Wspomnijmy jeszcze i o społeczno-politycznym nurcie działalności Gwiżdża, który odegrał w jego życiu nie małą rolę. Związany w młodości z ruchem ludowym poprzez udział w walkach Legionów zbliżył się do obozu politycznego pilsudczyków, któremu pozostał wierny już do końca. Wybrany dwukrotnie posłem na Sejm (z okręgu Wadowice — Nowy Targ) w latach 1928—1930 i 1930—1935, a następnie senatorem z woj. krakowskiego w latach 1935—1938, należał do tych Podhalań, którzy aktywnością społeczną włączyli się w nurt życia ogólnopolskiego. Ale choć w latach międzywojennych przebywał i działał w Warszawie — gdzie w latach 1936—1938 m. in. wydawał i redagował miesięcznik „Ziemia Podhalańska” — tkwił zawsze głęboko w życiu i w problematyce Podhala, o którego sprawy troszczył się nieustannie i o którego dobro zabiegał słowem i czynem.

W latach ostatniej wojny brał udział w konspiracyjnych działaniach Armii Krajowej w Warszawie, uczestniczył również w powstaniu jako komendant placu rejonu V. W walkach powstańczych zginął jego 16-letni syn Jacek jako żołnierz bohaterskiego batalionu AK „Zośka”.

Po wojnie Gwiżdż przeniósł się do Krakowa, gdzie spotkał się z Jakubem Zachemskim, z którym wspólnie usiłował doprowadzić do reaktywowania Związku Podhalań, co jednakże w ówczesnych warunkach politycznych okazało się nierealne. Mimo włączenia się w życie kulturalne Krakowa padł ofiarą represji zna-

miennych dla okresu błędów i wypaczeń. Zmarł w więzieniu w Warszawie 27 maja 1952 r. w wieku 67 lat. A mógł jeszcze tyle dobrego zdziałać dla Polski, mógł jeszcze przydać się — i to bardzo — rodzinnej swojej Ziemi Podhalańskiej, swoim braciom góralom, wśród których pamięć serdeczna o wybitnym i zasłużonym rodaku z Odrowąża nigdy nie zaginie.



Feliks Gwiżdż. (Ze zbiorów Włodzimierza Wnuka).



W ostatnich latach swego życia Feliks Gwiżdż napisał dla Polskiego Radia w Krakowie cykl gawęd góralskich, które były nadawane w latach 1947—1951 w audycjach pod nazwą „Zwyrtałowa bacówka pod Wesotym Wierchem”. Gawędy te były opowiadane w radiu przez samego Gwiżdża i przez prof. Bronisława Romaniszyna, którzy grali role baców — jako trzeci występował w nich w roli „panoska” dr Jerzy Ronard Bujalski (ówczesny dyrektor Pol. Radia w Krakowie, znany aktor i reżyser), inicjator tego słuchowiska. Włodzimierz Wnuk, który szczęśliwie dotarł

do maszynopisów kilkunastu owych gawęd, opracował je i przygotował do druku — mają się one ukazać nakładem Krajowej Agencji Wydawniczej w Krakowie. Z uwagi na to, że są to ostatnie, nieznanne utwory literackie Gwiżdża, malujące z humorem i satyrą, ale i z serdeczną „nutą” świat góralszczyzny podhalańskiej — a przy tym napisane w wybornej gwarze — spotkają się zapewne z żywym oddźwiękiem. Drukujemy poniżej należącą do wspomnianego cyklu „Zwyrtałowa bacówka” gawędę pt. „Muzykowie”.

FELIKS GWIŹDŹ

Z cyklu:  
„Zwyrtałowa bacówka”

# Muzykowie

ZWYRTAŁA

Ej — ona ta muzyka przecie je muzyka!

PRZETAK

Ej, muzyka — wiecie.

ZWYRTAŁA

Choćbyś nie wiem co miał na głowie — kie zagrajom — syćko ucieko prec — całyś w tej muzyce.

PRZETAK

E, bo cały.

ZWYRTAŁA

Ale musi być muzyka!

PRZETAK

Bajto!

ZWYRTAŁA

Bo muzyki som rozmaite: Niby to samo grajom — a kozdo inaczej, a przecie je to samo — a i ta sama muzyka moze za kozdym razem to samo grać, a ona juz nie gro tak, jak przed małym kwileckom grała. Ale, rzeke, muzyka, nie klaptonie, abo dudłoki jakie...

PRZETAK

Jako ci na Dudłokówce, co na weselu Bąkosiewego syna grali. Widziało się, że patykami jeżdżom po patykak. Cosi ta piscało, jak mysy — cosi ta mrucało, jak kocur — i mos całom muzyke. Ani przy niej zaśpiewać, ani zatończyć, ani se pod niom co pomyśleć, ani sie z weselnikami nacieszyć. Tako muzyka to moze i psy podroźnić. A przecie ta muzyka nasa, myślem se, kie sie do niej zabierom muzykancio tacy, jako jo wiem — to ni mas drugiej takiej pięknej we świecie.

PANOSEK

Czy wy też, kochany Przetaczk, nie przesadzacie trochę? Bo przecież i ja znam różne tutejsze muzyki i melodie, ale znam i inne w dalszych strokach, na Kujawach, u Kurpiów...

PRZETAK

Jakoz to jo przesodżom? Dyć i jo nie dzisiejsy i chodźnik też po świecie i po jakim jesce i wiem, ka jako grajom. Byliście w Peście?

PANOSEK

No, akurat w Peszcie nie byłem, ale...

PRZETAK

Ale jo był: Bok tam jako parobcok miał robote w jednej cegielni. To my tam przecie przy niedzieli od muzyki nie uciekali. I kiebyście słyseli, jak te cygany tamtejsze grajom!

PANOSEK

Oczywiście, nieraz slyszalem.

PRZETAK

Do cudu pięknie grajom.

PANOSEK

Pięknie grają.

PRZETAK

I casami tak zawiedom nute, ze juz — juz myślis se — nasa. A ona je ino bliżutko nasej — piekno — ale nie nasa. Nie nasa, zeby nie wiem co i jako grali — pięknie grajom, ale po nasemu nie zagrajom.

ZWYRTAŁA

Oni ta i ci Słowiocy na Liptowie też pięknie grajom i zaśpiewać zaśpiewajom fajnie, choć nie zatońcom juz tak, jako tu my. I też se tak ciek myśli, kie zagrajom — oho! chytajom nasom nute, a o kwilecke juz jej ni mas, juz jom inaczej wywijajom, juz je inso, jako nasa. Nasa jest nasa.

PRZETAK

I przy nasej sie tońcy do cudu pięknie. Spytojcie sie, panosku, Zwyrtały, bo sie natończył w zyciu dość.

PANOSEK

Domyślam sie!

ZWYRTAŁA

Ono sie ta, wiecie i cyfrowało troske tymi nozkami, kie jesce byly gibkie. Ale ta i z tym tońcem tak samo, jak z muzykom. Abo ci Pombóg doł muzyke w głowie, abo nie doł. Jak ci doł — groj — jak ci nie doł, nie dudłoj po próźnicy. I też tak samiuccio z tańcem. Abo ci Pombóg doł taniec w

nogak i w postawie — to tońc, zjodeś ty sto dia-  
sków, ajes zjod! — abo ci nie doł, to sie po we-  
selak nie plonc, nie zawodzój, sietnioku jeden, nie  
stros nika, ka som jest muzycy i tonecnicy tacy,  
jak majom być.

PRZETAK

Terozeście prawdę pedzieli.

ZWYRZAŁA

Bo mi sie przybocyło, jakok roz był na weselu,  
niedaleko tu stela, pod Wesołym Wierchem, ale ta  
juz nie bedem wycytował, u kogo, bo ci gazdo-  
wie juz som na sądzie boskim — a na tym we-  
selu groł jesce nieboscyk Tamborek z Pinioskowic.  
Fajny muzyka był ś niego. Głowicke trzymał se  
zawse cofniętom, ocka miał przymruzone, ta ręka  
ze smykiem to mu sie ino tak migała po tych  
stronak, nogom taktował i groł, jaz sie iskrzyło.  
Jakom-eś nute kcioł, to on jom wywiód na różne  
sposoby. Nojści dobrze nie bardzo, co sie nie robi,  
byli na tym weselu i ci preceśnicy z Dudłokówki  
— Głobiś i Pabiś. Nie powiem, zeby byli opici, ale  
oni ta przynapici trosecke byli. No i bierom sie  
do tońca. Obidwaj wroz. Cosi ta i cisnęli do tyk  
basów, jak sie patrzy, stojom przed Tamborkiem  
i holofiom.

PANOSEK

Co robią?

ZWYRZAŁA

Bałamucom. Tamborek sie śmieje. A stary Bą-  
koś —

PANOSEK

Ten, co się ocielil?

PRZETAK

E, wos, panosku, to sie ino figle trzymajom.

ZWYRZAŁA

Nojści ten, ten Bąkoś, coz on wicie nie robi —  
wyprowadzo dwie tonecnice, takom Wiktusie spod  
Grapy jedne, a Barbarke ze Scotkówkek drugom.  
A obie były tonecnice ostre, baby z ogniem w no-  
gak, a z pieprzem w gębie. Tamborek gro, Bąkoś  
ta kalikuje z tymi dwiema, jako moze, wyzwyrtoł  
je, skłonił sie pięknie kapeluse do ziemi i cofo sie  
na ławe, jak sie patrzy. A Głobiś z Pabisiem sto-  
jom przed muzykom, gajdosiom, bałamucom i ho-  
lofiom dalej. Tamborek cofnon smycek. Ceko.  
A Głobiś ni to śpiwo, ni to brzęcy:

Hejze ino, hejze jesce,  
Dałaś gęby, dejze jesce —  
Dałaś gęby wojcokowi,  
Dejze i mnie — Głobisiowi —

A Pabiś krzyczy: Pabisiowi! Tamborek gro. Drobne-  
go. Wiktusia i Barbarka juz sie chyciły pod boki,  
przybijajom nóżkami, drobiom w miejscu, a moi  
tonecnicy gajdosiom i bałamucom dalej. A Wiktus-  
sia spod Grapy krzyczy: — chłopcy do roboty! Abo  
toniec, abo różaniec! Tamborek zmienio nute. Gro  
staroświeckom. Myśli se — moze sie przy tej ru-  
som. Ejści rusyli sie przecie. Ale nuta idzie w jed-  
nem strone, a nozyska Głobisiowe i Pabisiowe  
płacom sie w dziesięć stron. Tamborek przybijo  
mocno nogom. Daje takt. Pabiś wali sie na Bar-  
barke, Głobiś na muzyke. Ani tońca, ani muzyki  
z takimi dziadami.

A wie Wiktusia hip! przed muzyke, porywo ku  
sobie Barbarke i śpiwo:

Z takim dziadem tańcujem,  
co mo nogi we worku —  
jo mu worek ozprujem —  
zagrojze mi Tamborku!

I jak zaceny obie po chłopsku krzesać! Jeziś  
Maryjka! Spodnice furgaly w góre, a te nózki to  
ino migały, a z fosztów jaz iskry sły, drzozgi le-  
ciały. A syćka weselnicy w śmiech, a Wiktusia  
woło do Głobisia i Pabisia: — Jakeście nie chłopcy,  
tońccie za baby, bockujcie. I porwała Głobisia,  
Barbarka Pabisia — gruch! jednego bez okno na  
ogródek, buch! drugiego bez drzwi do sieni — e!  
dopiero Tomborek groł. A te babinki krzesały  
i krzesały — jedna za chłopca, drugo za babe i na  
odwyrł. Było sie cemu przypatrzeć. E, było. Bo  
i tończyły ostro i zgrabnie. A Tamborek wesoly był  
chłop, to ik jesce przypoloł śpiewkami:

E, Bozicku, co się dzieje,  
kohut gdoko, kura pieje!

Telo my sie uśmioli wtedy, co cud. Tamborek  
groł fajnie, ale coz i Tamborek poradzi, jak przed  
nim stanom tacy flacorze.

PRZETAK

Iście. Do tońca jeden z drugim musi mieć postawe  
i nogi. A w nogak chuć. A jak ni mos nóg, ba  
flaki, to sie ku muzyce nie pchoj, wiesoj torbe  
pod brodom i bier sie z dziadami na Kalwaryjom.  
Muzyka jest muzyka i ona ci do ogień, cobyś  
i zaśpiewoł honornie i zatończył ostro, ale i ty musis  
dać ogień muzyce. Tak moiściewy. Nic nima płoń-  
sego na tym świecie, jak — kie sie przytrafi cłek  
cały z samyk flaków abo cały z samego drewna.  
Bo jakoz sie przydarzyło roz — a to pod som  
koniec tamtej wojny. Zwyrtała wie i zno, ale nie  
wiem, panosku, cyście tez wy znali nieboscyka  
Bartusia Obrochte?

PANOSEK

Ba! Naturalnie. To był niezwykly muzyk i wspa-  
niały człowiek.

ZWYRZAŁA

Juz ten ta i Tamborek tak zaś nie zagroł, jako  
Bartuś. E, ten groł!

PRZETAK

Pozwoł on mie ku sobie, cobyk mu ta pomogoł,  
bo gazdował wtedy w jednym schronisku, w Roz-  
toce, w Tatrak. Wojna sie kończyła. Śla jesień.  
Nieroz wieczorami abo i nad ranem chodziliśmy se  
wroz po lasak i przysłuchowaliśmy sie rykowisku  
jeleni. A wiecie, ten ryk byków to sie nosił po  
lasak, jak kieby organy grały. To Bartuś nie roz,  
nie dwa przepedzioł se — ten las to tak, jak se-  
kund w muzyce. Na jakom nute zaśpiewos, on  
wnet idzie za tobom.

PANOSEK

Tak mówil? Muszę sobie to zanotować.

PRZETAK

Z pore razy tak se przepedzioł. No i dobrze nie  
bardzo, co sie nie robi, zawitali kćoregosi dnia  
dwaj panowie, jeden był doktór. Bartuś miał go  
ta cosi znać, a drugi był taki jakisi gnidowaty,  
moze on był od podotków, a moze gróborz w ja-  
kim duzym mieście.

PANOSEK i ZWYRZAŁA — śmieją się.

**PRZETAK**

Wleźli napowrzej do kuchni, ka my tam z Bartusiem gazdowali. Susyły sie tam na ścianak prze-różne ziela, trowy, kwiotki, co ik Bartek uzbiyroł. Ejści ten doktór zacon sie o te ziela ozpytować, co to sie susy, na co sie to susy — a Bartuś pado: — E, to nic, to tako medycyna.

— Medycyna? Jako medycyna? — pyto sie ten doktór

— Hańta na brzuk, te hań na pluca, a tamte na serce.

— Na serce?

— Na serce — pado Bartuś — Jak mi sie case zacnie za mocno tłuc, to se ino tak pół śklonecki wypijem, a juz je cichućkie.

— To jak sie uchodziecie, to wom tak serce bije?

— E, nie, z chodzenia nie, ba jak duzo na skrzypcak grom, to sie wej tak tłuce nieroz jak diabli.

— Eeee — ozdziawił gębe ten gnidowaty gróborz cy jaki tam — co tez godocie, od granio na skrzypcak serce miałoby tak bardzo bić?

Jak nie hipnie ku niemu Bartuś:

— E, coz wy se myślicie, ze to by skrzypki same grały, jakby cłek nie groł na nik sercem? Myślicie, ze na skrzypkak grać to tak, jak przy drzymaniu pocierze kleptać?

Bartuś podoł obom tym panom harbate, wyszed z kuchni, jo za nim.

— Skoda ś nimi godać — pado do mnie.

— Iście, ze skoda — przykwoliłek, bo byłek strasnie rod, ze woloł se mnom być, jak z tymi flacorzami. Bo choć to byli uceni, ale ze coz z tego, kie sprostoki, a ten gróborz cy jaki tam to był jesce telo ucony, ze jaze głupi, on był drewniany sprostok. A jesce mi i na takiego patrzył, co sie pod śkapom dowiedziol, ze na śkapie kiesi siedziol. Bartuś był muzyka a muzyka!

**ZWYRTAŁA**

E zaś co był, to był.

**PANOSEK**

Lubił grać ze swoimi synami. A czasami grał z nim taki przyjaciel jego z Warszawy — jak on się nazywał?

**PRZETAK**

Staś! E, Staś groł ś nim i Bartuś ś nim growoł.

Ten Staś to wiecie syćkie Bartusiowe nuty zapisoł.

**PANOSEK**

I dziś słuchamy Bartusia z tych zapisków.

**ZWYRTAŁA**

Som jest śtuki na syćko. Bartusia ni ma, a Bartusiowa muzyka gro se dalej sama... E, som śtuki! Jako i z tym radiem. Bełek roz u jednego nauczyciela — a było nos z kielenostu chłopów — to my

sie, wiecie, nacudować nie mogli. Bo grała muzyka, a tyk muzykantów to tam musiało być cheba regiment, telo było skrzypiec, basów, trombit i wseleniecego — grali po nasemu, a to sie nazywało „Harnasie”. Widziało sie, ze juz te nase góry syćkie rusom sie z miejsca, pódom w świat. A i zaśpiewali tam pote — widziało sie, ze błysko i grzmi. Ze juz i ten świat rwie sie do inego światu.

**PANOSEK**

Ile razy słucham „Harnasiów”, staje mi przed oczyma piękna i porywająca postać ich genialnego twórcy, Karola Szymanowskiego. Był to szczery i wielki przyjaciel Podhala. Widywało się go na weselach, na wieczornicach góralskich, a i z Bartusiem łączyła go serdeczna przyjaźń. Z tej z głębokiej miłości Tatr i Podhala — powstali jego „Harnasie”.

**PRZETAK**

Bo ta i panoskowie poniektórzy, jak sie chycom muzyki, to ta zaś i oni tez cosi wywiadom i pokazom.

**ZWYRTAŁA**

Bajto! Jak sie tu jesce kie uwidzimy, to se tu powiemy i o inyk muzykak.

**PRZETAK**

Bartuś mi opowiałoł o jednym takim, co był no-większy muzyka na cały świat, a nie groł na skrzypkak, ba — wiecie — na tym fortepianie, co je taki, jak i organy ino ze inacej gro. A nazywoł sie ten muzyka Paderewski.

**PANOSEK**

Ba!

**PRZETAK**

A temu wej Bartuś napomknon o nim, bo ten Paderewski telo był zalubiony do nasej muzyki, ze se, wiecie, Bartusia sprosoł do siebie i grali se oba wroz. E, Boze — opowiałoł Bartuś — jo grom Sabałowom, a on jom chyto na fortepion, jo zwyrtom na drobnego, on mie goni, jo ozwodnom, on ozwodnom. To my se jesce roz i jesce roz to te nute, to insom zagrali — telo sie my ciesyli tom muzykom. I choć my jedno grali — ono wycho-dziło inacej mnie, inacej jemu. Ale muzyka to on był — podoł Bartuś — e, był. A i godny był cłek. Bartuś godoł, ze ten Paderewski grywoł pote po całym świecie, ze mu sie dobrze powiedło, i ze tyk dudków to mu ta, kwała Bogu, nie brakowało nigdy. Bo to ta jeden na tysiące, co na muzyce dojdzie do cego. A on wej dosed. A jo se zaś i tak myślem, ze on ta tez tym sercem groł i ono mu sie ta nieroz to serce musiało tłuc. I skoda, ze sie Bartuś nie zgodol ś nim o tyk ziółkak, co je susył. One by ta i jemu ulzyły casem...





## HISTORIA PODHAŁA

*Piwnice murowane  
zbójnicy tańczący  
siuhaje, redyki  
wśród Tatr królujących.*

*Kościoty, dzwonnice  
chatupy z węglami  
obrazki i rzeźby  
z białymi izbami.*

*Pług, grabie i kosa  
orka twardej ziemi  
osty na ugorach  
i regle nad nimi.*

*Pasterstwo i rola  
wieś, do lasu droga  
kapliczki przydrożne  
z modlitwą do Boga.*

*Tak dawniej bywało.  
Historia krótka.  
Dziś cywilizacja  
w przyczynach i skutkach*

13 maja 1975

## ORKANOWA „PUSTKA”

*Twoja „Pustka” Orkanie, to dom twój rodzinny,  
To ścieżka pod Turbacz biegnąca,  
Tam, gdzie smreki, jałowce, jasnych polan blizny,  
Gdzie przyroda upaja swą ciszą kojącą.*

*Twoja „Pustka” u kolan matczynych siadała,  
Twoja wielkość z jej serca wyrosła,  
Gdy dziecięce twe serce wiarą dokarmiła,  
że dla ludu tego też nadejdzie wiosna.*

*Twoja „Pustka” po lasach gorczańskich błądziła  
Wśród lesistych tajemnic ukrytych w parowie  
W Porębie, Szczyrzycu, do szkoły chodziła,  
Jak rozbitka rzuciła w dalekim Krakowie.*

*Twoja „Pustka” za pióro ci chwycić kazała,  
By w pisaniu, jak w tyglu stopić swoje serce  
Budziła z uśpienia, gromiła, smagała,  
Gdy niedolę ludu przeżywałeś w męce.*

*Twoja „Pustka” to „Drzewiej”, „Listy”, „Komornicy”  
„Kostka Napierski”, „W roztokach” i wiersze,  
To Franek Rakoczy, Daniel, wyrobniczy,  
Wszystko takie proste i bliskie jak ręce.*

*Twoja „Pustka” to matka, dom i przyjaciele  
To Maria, Bronia, Zosia ukochana,  
To niepowodzenia i trosk nazbyt wiele,  
To ofiara z życia dla twego Podhała.*

*Twoja „Pustka” dziś drzemie z tobą pod Tatrami  
Na Pęksowym Brzyzku halny ją owiewa,  
Lecz twój duch nie umarł, żyje między nami,  
Twoje ziarna rzucone po świecie rozwiewa.*



Kapliczka przy Orkanówce. (Fot. Jerzy Duda, 1983 r.).

# CZAS WOJNY NA ZIEMI ORKANA (cz. I)

Słoneczne, rozśpiewane, beztrioskie lato 1939 r. skończyło się w naszych okolicach przygranicznych już 24 sierpnia. Dzienniki (powszechnie czytany *Ilustrowany Kurier Codzienny i Naprzód*) oraz radio w spokojnym tonie naświetlały sytuację, podając rewelacyjne wiadomości polityczne bez komentarza. Odgadywaliśmy, że nie chcą drażnić Niemców ani wywoływać paniki. Słuchając radia zagranicznego wiedzieliśmy o groźnej sytuacji. Dnia 24 sierpnia zelektryzowała ludność, przede wszystkim letników, wiadomość, że Niemcy obsadzają granicę czechosłowacką. To już nie były groźby, ale fakty.

Letnicy z całego Podhala w panice wyjeżdżali do swych miejsc zamieszkania. Pociągi były przepełnione, wynajmowano auta, płacono każdą cenę. Po ulicach miasteczka przelewały się furmanki z letnikami jadącymi w kierunku Krakowa. Tu i ówdzie gromadziły się grupki dyskutowających ludzi. Najbardziej zatroskanymi byli Żydzi. Niemiecka rozgłośnia, nadająca audycje w języku polskim, otwarcie mówiła o planie wytepienia Żydów. Całą rzekomą winą za nieporozumienia polsko-niemieckie obciążała Żydów.

Noc z czwartku na piątek była księżycowa, pogodna, niebo wygwieżdżone. Psy wyły ze wszystkich stron. Siedzieliśmy przy głośnikach. W radiu nadają marsze, dziennik radiowy podaje wyważone każde słowo, niczego nie dowiadujemy się o sytuacji. Nie chcą drażnić Niemców... Toteż do późna politykujemy. Zmęczeni dyskusją idziemy spać.

W piątek 1 września 1939 r. o godzinie 7-mej rano wpadło do mego domu kilku kolegów z Jordanowa, wołając:

— Olek, zaczęło się! Wojna! Dziś rano Niemcy przekroczyli granicę i atakują Jordanów!

Na ulicach duży ruch, ludzie gromadzą się grupkami, dyskutują. O godzinie jedenastej od strony Nowego Sącza przejechał przez Mszanę w kierunku Rabki oddział tankietek i działek. Stojący przy drodze ludzie spontanicznie klaskali i wołali:

— Niech żyje Wojsko Polskie! Brawo chłopcy!

Niepokojąco mało było tego wojska, przypuszczaliśmy, że dalsze oddziały nadciągną później. Młodzież ze Skalnego Podhala już od rana skrótami przez Turbacz i Stare Wierchy, Mszanę szła w szeregach. Spodziewali się, że w Nowym Sączu dostaną broń, tak im ponoć powiedziano. Rzeka ludzka przepływała. W pewnym momencie drogą przejechało auto osobowe. Stojący w nim człowiek krzyczał:

— Gaz, gaz!

Powstała panika, bo istotnie coś śmierdziało. Ludzie uciekali trzymając chustki przy nosach. Ktoś mądrzejszy uspokoił uciekających. Za chwilę wszyscy powrócili śmiejąc się z siebie.

Wieczorem wezwano nas młodych do gminy. Po uzbrojeniu w stare karabiny, wyznaczyli nam mosty do pilnowania. Dowódcą naszym był kapitan Władysław Galica, bohaterowski obrońca Lwowa, kawaler Krzyża Virtuti Militari. Pilnowanie mostów trwało do rana. Po ściągnięciu nas z warty kpt. Galica oświadczył:

— Na tym terenie mosty nie są nam już potrzebne, powinniśmy je raczej wysadzić, bo jak wiecie, pociągi

już nie pojadą, a tu lada godzina przyjdzie nieprzyjacieli. Dla was młodych teraz jest obowiązkiem maszerować na wschód, tam prawdopodobnie będzie zorganizowana obrona.

Fala uciekających powiększała się z każdą chwilą. Jechali furmankami, autami, rowerami, wszyscy objuczeni tobołami, starzy, młodzi, dzieci. Kierunek ucieczki — wschód. Tam gdzie miało być to cudowne miejsce spokoju i ewentualnego zorganizowania się, by zaraz tu powrócić. Około godziny pierwszej kilku kolegów, ludzi młodych, postanowiło iść ze mną na wschód; takich grup mszaniaków kilka już wyruszyło w kierunku wschodnim.

Szliśmy bez plecaków, nie zabierając nic ze sobą na drogę. Znając okolicę skierowaliśmy się skrótami przez zbrocze Lubogoszcza w kierunku Wiśniowej. Po godzinie marszu byliśmy wysoko nad Mszaną, spoglądając w kierunku zachodnim, skąd nacierali Niemcy. Wspaniała pogoda umożliwiała rozpoznanie gołym okiem każdego szczegółu w dolinie i na horyzoncie. Od strony Rabki widać było dymy palących się osad, tam prawdopodobnie był front. W pewnej chwili od strony Krakowa nadleciało kilkanaście samolotów,



Władysław Gelb — hitlerowski burmistrz w Mszanie Dolnej w latach 1939 do 1943 włącznie.  
(Ze zbiorów Aleksandra Kalczyńskiego).

które zaczęły krążyć dużymi kołami nad doliną Mszany. Koledzy z radością wołali:

— Łosie! Nasze samoloty! (najnowocześniejsze polskie samoloty).

Słońce uniemożliwiało rozpoznanie znaków na samolotach, które majestatycznie okrężały dolinę. W pewnym momencie z samolotów wyleciały srebrne nitki, w dolinie podniosły się dziesiątki olbrzymich grzybów dymu. Bombardowano stację kolejową, wszystkie jednak bomby spadały na pola, a więc niecelnie. Na niebie obok maszyn rozkwitały małe pęczki dymu, to nasza artyleria przeciwlotnicza ostrzeliwała napastników. Huk wybuchających bomb, jazgot karabinów maszynowych wzmagał się, odbijając się potężnym echem od zbocza gór. Nalot ten trwał 20 minut, po czym samoloty odplynęły w stronę południa, tj. Czechošłowacji.

Gromadka nasza po chwilowej przerwie ruszyła dalej. Ledwo uszliśmy kilkaset metrów, gdy nad nami przesybował dwupłatowiec niemiecki i zaczął ostrzeliwać jaz, którego brzegiem posuwaliśmy się. Zorientowaliśmy się, że tym razem chodziło o nas. Prawdopodobnie jednak był to zły strzelec, gdyż „pułdował”. Skoczyliśmy szybko, chowając się za drzewa. Załoga samolotu, którą dokładnie widzieliśmy, bo obniżał lot na kilka metrów nad drzewami, uparcie ostrzeliwała naszą kryjówkę, krążąc nad nami. Samolot z jednej strony, my z drugiej strony drzewa. Zabawa ta w „chowanego” trwała sporą chwilę, w końcu dwupłatowiec odleciał w kierunku zachodnim.

Cali i zdrowi po tym „chrzcie bojowym” ruszyliśmy dalej. Późnym wieczorem dotarliśmy do Skrzydłnej. Tu spotkaliśmy znajomych z Mszany, rodzinę Stachurów. Jechali furmanką, dobrze zaopatrzeni w prowiant, zagarnęli naszą gromadkę do swego towarzystwa, nakarmili, pocieszali. Zmęczeni przeżyciem dnia spaliśmy pokodem wokoło wozu.

Następnego dnia ruszyliśmy w kolumnie tysięcy furmanek i tłumu uciekających. Kilka kilometrów za Królówką, około godziny czwartej usłyszeliśmy za sobą huk ciężkich motorów, w naszym kierunku szybko przesuwały się auta osobowe, a za nimi czołgi i ciężarowe auta, pełne żołnierzy. Na przedzie tej kawałdki jechały nowe polskie fiaciki. W aucie siedzieli polscy oficerowie, jeden z nich był ranny z owiniętą bandażem głową. Koledzy, jak i nasze panie, a w szczególności będąca z nami pani pułkownikowa, krzyczały:

— Anglicy, Anglicy!

W otwartych wiazach czołgów stali jednak nie nasi żołnierze. Całe szczęście, że mieliśmy ręce podniesione w pozdrowieniu dla polskiego fiacika, bo wymierzone w nas lufy karabinu maszynowego w czołgu, po chwili, obróciły się w inną stronę. Pani pułkownikowa machała rękami zawzięcie, toteż z jadących teraz aut pełnych żołnierzy pozdrawiano nas wyciągniętymi łapami po faszystowsku.

Żołnierze siedzący w ciężarówkach wyglądali bardzo osobliwie, siedzieli na ławkach jak skamienieli, trzymając w rękach pistolety. Ubrani byli w gumowe płaszcze, hełmy nadawały tym postaciom wyjątkowo groźny wygląd. Wszystko było straszliwie zakurzone, mundury i twarze żołnierzy były jednego koloru — popielate. Błyskały tylko ich wilgotne oczy.

Od pierwszej chwili wiedziałem, że to są Niemcy. Zakrzyczano mnie:

— Ty wariacie, nie słyszałeś wczoraj komunikatu, że Anglicy idą nam na pomoc?



Władysław Szczyпка „Lech”.  
(Ze zbiorów Aleksandra Kalczyńskiego).

Powstała między nami sprzeczka, którą przerwała seria karabinu maszynowego. O parę kroków przed nami z któregoś auta strzelano do ludzi i koni, spędzonych na placu celem poboru. Strzelanina zaczęła się teraz na dobre. Wreszcie wszyscy zrozumieli, co to za żołnierze jadą.

Pomału zeszliliśmy z drogi w głąb osiedla. Ściemniało się. Z trudem dotarliśmy do dużego gospodarstwa i tam przespaliśmy tę pierwszą noc okupacji. Wkrótce całe nasze towarzystwo rozbiło się, jedni poszli dalej na wschód, Jasiiek Stachura, Jasiiek Grzywacz, Julek Szyналиk, inni z powrotem do domu. Ja należałem do tych ostatnich. Razem z paroma kolegami, wśród nich kolega Mucha, skierowaliśmy się na Limanową i następnie na Mszanę.

Do Mszany wróciłem po paru dniach „ucieczki” — jak my to później nazywaliśmy. Miasteczko nasze było wstrząśnięte (sterroryzowane) wieścią o rozstrzelaniu przez Niemców cechmistrza Jana Mitany i Adama Zareckiego. To były pierwsze ofiary wojny z naszego terenu. Dom był wyrabowany, meble połamane, porąbane, mieszkanie, sklepy, restauracja ograbiona. Dokonałi tego maruderzy, jak też i Niemcy, którzy podjeżdżali ciężarówkami i ładowali towar. Czasem wołali przechodzących ludzi, rzucając w tłum walek materiału. Powstawało zamieszanie, szarpanina. Wówczas Niemcy fotografowali „rabujących” Polaków.

Taką małą, krótką ucieczkę przeżyło wielu mszaniaków, inni jednak wracali dopiero po kilku miesiącach, a nawet po wielu latach, a dziesiątki rozsiało swe kości na polach bitew II wojny światowej.

Po paru dniach przypatrywania się jadącym wojskom i powracającym z ucieczki ludziom otworzyłem restaurację. Wielu kolegów, którzy powrócili do Mszany, wysiadywało w mojej restauracji, chcąc się dowiedzieć czegoś lub spotkać znajomych.

Do Mszany napływali coraz to nowi ludzie. Ktokolwiek miał jakąś łączność z Mszaną, teraz przyjeżdżał jak do rodzinnego miejsca, by znaleźć tu schronienie na czas wojny. Przeważała inteligencja. Niemal do każdego domu wracali z głębi Polski bracia, siostry, po prostu krewniacy, którzy gdzieś w miastach zajmowali nieraz wysokie stanowiska. Wiadomo, że polską administrację tworzyli w międzywojennym czasie „galicjusze”. Restauracja moja stała się punktem spotkań, biurem informacyjnym. Inne restauracje były zamknięte.

W tym czasie ks. Józef Stabrawa codziennie — co nie było dotychczas zwyczajem — wygłaszał patriotyczne kazania, bardzo śmiało — w nich pocieszał wiernych, jak również gromił za kradzieże i napady na opuszczone domy. Z początku Niemcy nie interesowali się ludnością, dopiero po jakimś czasie w miasteczku zainstalował się Stadtverwaltung-Stadtkommandant z kompanią wojskową, zakwaterowaną w budynku szkolnym. Zastępcą wójta Szczyпки, który jeszcze nie powrócił z „ucieczki”, został mianowany Andrzej Pacholek, który był wiceburmistrzem przed wojną. Wszystkie zarządzenia, wydawane przez niego, miały na celu ulżenie doli obywatelom.

Nadchodziła sroga zima, wszystko podróżowało dwadzieściaokrotnie, a niektóre towary — stokrotnie w stosunku do cen przedwojennych. Brakowało wszystkich towarów. Składy, sklepy konfiskowano; towar wywozili Niemcy do Reichu. Na miejsce wójta Pacholka, Landrat w Limanowej (powiat) mianował volksdeutscha Władysława Gelba. W tym czasie wezwano wszystkich obywateli pochodzenia niemieckiego do podpisania listy Volksdeutschw. Parę osób odmówiło swej akceptacji, wskutek czego naraziło się na szkany. Do tych uczciwych i nie ulegających koniunkturze należy zaliczyć Reichlów, Wesperów, Furdynów z domu Miller, Stanisława Szyllera, inż. Knorra, pochodzącego ze starej niemieckiej szlachty.

Niestety wśród nas młodych mieliśmy kolegę Leszka D., który podpisał volkslistę. Ponieważ był w wieku poborowym, natychmiast go powołano do wojska. Przyjechał do Mszany, by trochę poparadować w niemieckim mundurze. Nie umiał słowa po niemiecku. Wieczorem wszedł do mojej restauracji, pewny siebie zaczął rozrabiać. Tu jednak natknął się na kierownika odbudowy odcinka drogowego, Austriaka, który nie lubił volksdeutschw. Twierdził, że te „zakąły” spowodowały wojnę i trzeba je wytępić. Dotrzymując słowa zabrał się do bicia Leszka D. Ten zmasakrowany w okropny sposób krzyczał:

— Jezus, Maria! Ratujcie mnie, koledzy! Pomocy!

Nikt jednak nie śpieszył mu z pomocą, toteż dostało się naszemu koleździe co niemiara.

Pierwsze zarządzenie nowego wójta Gelba, by wszyscy Żydzi nosili żółty pas szeroki na kilka centymetrów, podobne było do nakazów stosowanych w czasach Inkwizycji w Hiszpanii, gdzie w ten sposób ich wyróżniano. U nas poza tym co jakiś czas nakładano na Żydów jakąś kontrybucję: raz dostarczenie pewnej ilości złota, platerów, srebra, futer, pieniędzy, dolarów. Wójtem żydowskim na terenie Mszany był w

tym czasie Dudek Langsman. Na rozkaz Gelba utworzona została Warta Żydowska, składająca się z byłych wojskowych. Celem tej Warty było egzekwowanie na opornych współziomkach kontrybucji nakładanych przez gestapo lub Gelba. W późniejszym czasie, 1 maja 1942 r. Niemcy wszystkich członków Warty rozstrzelali, odkrywając w jej składzie organizację żydowską.

Uruchomiona poczta była oblegana przez żołnierzy wysyłających do Vaterlandu paczki. Tam już dawno wszystko było na kartki, toteż skupowali u nas materiały bławatne, buty, masło, wędliny. Burmistrz Gelb wydał zarządzenie, że nie wolno z terenu Mszany Dolnej wywozić żywności. W tym celu zorganizował specjalną straż, na czele której stanął „Kaktus”. Był to przybłęda; nazwano go „Kaktusem”, gdyż był niskiej budowy ciała, barczysty, stale nosił długi po kostki płaszcz, a do tego kapelusz z fantastycznie szerokim rondem. Rejonem jego działania była stacja kolejowa i autobusowa. Tam ze swoimi pomocnikami rewidował podróżnych, przetrząsając każdą paczkę. Konfiskował żywność, lupy swe zanosił do kancelarii „pana burmistrza”. Po nagromadzeniu pewnej ilości Gelb rozdzielał tę żywność wśród swoich zauszników (konfidentów).

Do miasteczka różnymi drogami docierały komunikaty radiowe, powielane gazetki. Dostarczali je, rozpowszechniali, Wittek Zakulski, Niuśka Gniadek, Józef Czajowski, Wanda Aksamit, Józef Wąwowicz, Julek Szyalik. Często niebezpieczną przesyłkę z gazetkami wręczaliśmy zoferowi niemieckiego autobusu, prosząc — oczywiście za sporą opłatą — by doręczył ją w Mszanie. Był to Austriak, bardzo nie lubił Hitlera. Wiedzieliśmy, że istnieją organizacje, staraliśmy się do nich dotrzeć. Bywając w Krakowie odwiedzałem mecenasa Zakulskiego. Spotykałem tam jego gościa, panią generałową Mondową. Zorientowałem się, że ma kontakty z podziemnymi organizacjami. Skierowaliśmy por. Władka Szczypkę do mecenasostwa, tam poznał panią generałową Mondową, która ułatwiła Władkowi spotkanie z ludźmi związanymi z organizacją „OW” — Organizacja Wojskowa. Później pani generałowa została rostrzelana wraz z siostrami męża i żoną majora Witkowskiego, Emilią i jej dwiema córkami.

Władek Szczyпка wrócił z Krakowa z delegatem organizacji, oficerem Oliwą. W ten sam dzień zaprzysięgił nas u dra Rudka Bednarczyka. Komentantem został Władek Szczyпка. Wszystkie nasze spotkania odbywały się od tego czasu w mieszkaniu dra Bednarczyka.

Późna jesień 1939 r. to był dla nas czas napiętego wyczekiwania, kto we Francji i Anglii zwycięży: zwolennicy ugody z Hitlerem za wszelką cenę (naturalnie dużym kosztem Polski), czy ludzie pragnący ratować świat przed rasizmem. Jak my tu w Polsce mamy się zachować, czy biernie czekać na wydarzenia, czy działać? W naszym miasteczku sprawy nie układały się dobrze, trzeba było niejedno przedyskutować. Burmistrz Gelb coraz agresywniej prześladował ludność polską i żydowską. Wydał — jedno z wielu — zarządzenie, by wszyscy Żydzi o godzinie czwartej przybyli na plac rynku i ustawili się w rzędy stosować „gimnastykę” komenderując: padnij, rollen, przysiadaj, skoki żabką itp. różne szkany. Padających ze zmęczenia oblewał wodą.

W grudniu 1939 r. przybył do Mszany duży trans-

port wysiedleńców z Poznania. Przy wysiedleniu nie pozwolono im nic zabrać, jedynie 5 kg paczkę-walizkę. Ks. Józef Stabrawa przywitał ich w Orkanówce i przyrzekł im troskliwą opiekę ze strony społeczeństwa mszańskiego. Tak też się stało.

Zbliżały się Święta Bożego Narodzenia; cała fala ludzi z Krakowa i innych miast ciągnęła w nasze okolice, by kupić trochę żywności za futra, ubrania, bieliznę. Niestety, nasi gazdowie drożyli się niesamowicie. Ceny artykułów spożywczych wzrosły 20 do 50 razy. Poniektórzy chłopcy wyrażali swoje zadowolenie. Często podpiwszy sobie, wymyślali na panów i sanację. Ale też było wielu świątliwych chłopów — ludowców, którzy sprzedawali swe produkty po przystępnych cenach.

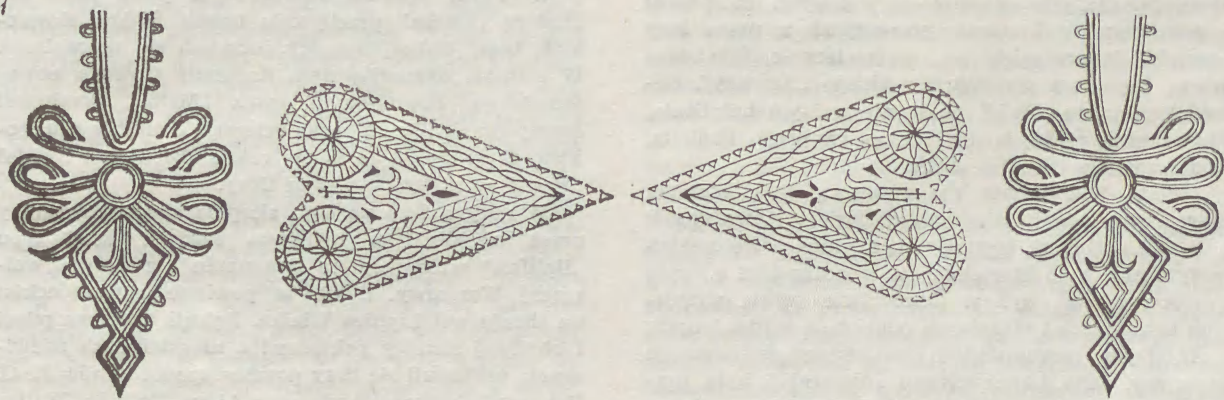
Z czasem cała ludność wiejska zaczynała być patriotyczna i pomagała „miastowym”, ale nastąpiło to pod wpływem i w miarę proporcjonalnie do powiększanych przez Niemców żądań kontyngentów zbóż, ziemniaków i innych produktów rolnych. Jedną była wspólna dla wszystkich i powszechna nienawiść do ludzi, którzy dotychczas rządili Polską i doprowa-

dzili naród do tak druzgocącej i sromotnej klęski. W trudnych dniach i sytuacjach powtarzano sobie z gryzącą ironią słowa marszałka Rydza-Smigłego: „Nie tylko nie damy całej sukni, ale nawet guzika”. Miało to obecnie wymowę oskarżenia, że tak nas wprowadzono w błąd i nadużyto naszego zaufania.

Nadchodzące wieści z Francji o wstrętach, jakie robili „sanatorzy” generałowi Sikorskiemu i o pchaniu się ich do władzy, wywoływały jeszcze większą nienawiść do sanacji. Teraz nikt w kraju nie miał odwagi przyznać się, że kiedykolwiek był zwolennikiem sanacji. Natomiast liderzy przedwojennej opozycji, ich partie cieszyły się dużym szacunkiem. Gen. Władysław Sikorski, Ignacy Paderewski, Wincenty Witos, Książę Bisk. Adam Sapieha, Korfanty, Dmowski, Gen. Haller, Gen. Anders i inni.

U nas było podobnie. Znani działacze Stronnictwa Ludowego w naszym okręgu: dr Stanisław Panaś, Andrzej Pacholek, Stanisław Łabuz stali się moralnymi przywódcami okolicznej ludności.

c.d.n.



WŁODZIMIERZ BUDARKIEWICZ „Podkowa” (Nowy Targ)

## Obcokrajowcy w szeregach i pod opieką 1-go Pułku Strzelców Podhalańskich Armii Krajowej

W oddziałach partyzanckich AK walczących na Podhalu i terenach pld.-wschodnich województwa krakowskiego, było wielu obcokrajowców, przeważnie żołnierzy koalicji antyhitlerowskiej, zbiegłych z obozów i transportów, lotników z zestrzelonych samolotów, dezertów z Wehrmachtu i innych. Różnymi drogami i ścieżkami dotarli oni do obszaru górzystego, pokrytego lasami, szukając ukrycia i pomocy. Ludność i partyzanci pomimo szalejącego terroru, udzielali im pomocy, przebiegali, żywili, wskazywali drogę i służyli za przewodników przedzierającym się do krajów ojczyźtych lub baz, a tych, którzy zdecydowali się pozostać, przyjmowano do swoich szeregów bądź ukrywano wśród ludności.

Jednymi z pierwszych, którzy dołączyli w 1943 r. do oddziału „Wilk”, byli Kanadyjczyk por. Hubert Brooks lotnik RCAF i Szkot John Duncan sierżant

broni pancernej Gordon Hos. Bombowiec Huberta został zestrzelony w czasie bombardowania Hamburga. Pierwsze dwie ucieczki z obozu nie powiodły się, trzecia z Torunia była pomyślna. Hubert dotarł do rejonu Częstochowy, skąd organizacja skierowała go na Podhale. John dostał się do niewoli pod Dunkierką w 1940 r., zbiegł w Lublińcu. Dzielni i wytrzymali, lubiani przez partyzantów, brali udział w akcjach bojowych. Zdobyli dla siebie broń, na wesoło znosili niewygody i trudy życia partyzanckiego. Przebywając dłuższy czas wśród partyzantów i ludności wiejskiej, nauczyli się mowy polskiej.

John, zawodowy wyga Armii Brytyjskiej, któremu nie obce były samumy pustyń afrykańskich i monsuny indyjskie, zamilowany turysta, często wypuszczał się ścieżkami gorczańskimi w teren. Można go było spotkać o każdej porze z bokserem „Duxem”, którego



Autografy lotników Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych AP, Królewskich Sił Powietrznych, Kanadyjskich Sił Powietrznych, wpisane do dziennika rtm. Włodzimierza Budarkiewicza „Podkowy”, z cy 1 PSP-AK, Polanki k. Szczawnicy, październik 1944 r.

(Ze zbiorów Włodzimierza Budarkiewicza).

otrzymał w prezencie od Ślązaka, dezertera z policji niemieckiej. Lekko ubrany, z pistoletem za pasem i granatami w kieszeni, przemierzał z psem lasy i wioski, dobrze orientował się w terenie, był zwiadowcą i gońcem por. Więckowskiego „Zawiszy”, dowódcy oddziału „Wilk”, następnie w I-ym batalionie, od września 1944 r. do końca okupacji Podhala, w dowództwie 1 PSP — AK.

„Nigdy Was Polacy nie zapomnę, będę Waszym dożgonnym przyjacielem” powiedział Kanadyjczyk z Quebec'u Hubert, żegnając się z grupą nowotarskich partyzantów koło Mogielnicy w styczniu 1945 r.

Obcokrajowcy byli w dowództwie pułku, wszystkich batalionach i niektórych oddziałach wydzielonych.

W I-ym nowosądeckim batalionie dowodzonym przez por. Jana Lipczewskiego „Andrzeja”, była liczna grupa żołnierzy radzieckich, 2 Czechów, 2 Jugosłowian, 2 Belgów, 1 Holender i 2 Austriaków, z których Franz Teschik wiedeńczyk, był ranny w obydwie stopy podczas walki 13. I. 1945 r. w Szczawie pow. limanowskiego. Leczył się w warunkach konspiracji, dłuższy czas przebywał w tarnowskim szpitalu. Do Austrii wrócił w 1948 r. Jeden z Czechów por. „Szwajk” był oficerem służby stałej broni pancerniej Armii Czechosłowackiej. Obywatela jugosłowiańskiego, Słoweńca, Karla Adamica z Lembergu, ku jego zadowoleniu, dowódca batalionu przydzielił na pomocnika kucharza.

W II-gim limanowskim batalionie, dowodzonym przez kpt. Juliana Krzywickiego „Filipa” — patrolu dywersyjnym „Dropa”, działającym pod dowództwem por. Władysława Wietrznego „Dębora” w powiecie limanowskim, było dwóch żołnierzy radzieckich, zbiegłych z obozu w Sowlinach k/Limanowej. Lejt. „Misza” i szeregowiec „Czorny” wyróżniali się w akcjach brawurą. W jesieni 1944 r. zostali oni, zgodnie z rozkazem dowódcy pułku Adama Stabrawy „Borowego”, przekazani do zgrupowania partyzantów radzieckich ppłk. Zołotara. W wymienionym patrolu służył także oficer francuski Ludwik, zbiegły z obozu jenieckiego na Śląsku. Francuza ukrywał początkowo Michałowski, właściciel majątku Laskowo. Ludwik w składzie patrolu brał udział w akcjach bojowych, a późną jesienią został przekazany do Komendy Obwodu.

W III-im gorlickim batalionie, dowodzonym przez kpt. Mieczysława Przybylskiego „Michała”, w pododdziałach Franciszka Paszka „Kmicica” i Bolesława Krygi „Orlika” przebywała w ciągu kilku tygodni największa grupa ponad 40 żołnierzy radzieckich, dowodzona przez lejt. „Miszę”. Grupa ta jako odrębny pluton pomaszerowała we wrześniu na wschód z zamiarem przedarcia się przez front do swoich.

W oddziale BCH „Zawierucha” wchodzącym w skład III-go batalionu, oprócz 11 żołnierzy radzieckich przebywali: Francuz Paul Gautier, Czech ppor. Michał Liszka „Lebec”, Węgier — dezerterski Jaszko i krótko 2 Anglików, z zestrzelonego samolotu, niosącego pomoc walczącej Warszawie. Żołnierze radzieccy odeszli we wrześniu do zgrupowania partyzantów radzieckich ppłk. Zołotara, a Francuz, Węgier i Czech przebywali w oddziale do wyzwolenia.

W 8-iej Kompanii dowodzonej przez por. Juliana Zubka „Tatara” przebywało kilku żołnierzy radzieckich, odbitych z miejsca przymusowego zatrudnienia. Wszyscy brali udział w akcjach bojowych oddziału, przy czym lejt. Grebcow był ranny i leczony w chłopskich domach w rejonie Nawojowej i Łabowej.

W 4-ym plutonie dowodzonym przez plut. Wł. Hudego „Gacka” przebywało trzech Żydów słowackich, braci Gabor, wszyscy doczekali się wyzwolenia. W oddziale dyspozycyjnym Komendy Obwodu nowosądeckiego, dowodzonym przez „Maka”, przebywał młody Czech „Pepik” oraz czterech żołnierzy radzieckich, piąty zginął 10. X. w czasie oblawy na oddział „Maka” w rejonie Jodowej Góry.

W nocy z 5-go na 6-go sierpnia spadł zestrzelony przez niemieckiego myśliwca samolot RAF typu „Halifax” wracający po dokonaniu zrzutu dla walczącej Warszawy. Spadł w powiecie nowosądeckim na skraju wsi Lipnica Wielka. Zginęli wówczas piloci i obydwa strzelcy pokładowi o nieustalonych nazwiskach, uratowali się przy pomocy spadochronów R. O. Peterson, Andrew Anderson, Allan Tolly i Walter Charles Underwood. Peterson i Anderson przebywali jakiś czas w domu Kunegundy Matusik w Lyczanie, a następnie przeszli do oddziału AK w rejonie Tarnowa i tam połączyli się z Tolly'm i Underwood'em,



Lotnik amerykański wśród członków terenówki AK w Jablonce. Stoją od lewej: Andrzej Pilch (Jablonka), Karol Palenik (Jablonka), August Kroschewsky Lt. USAAF, Alojzy Smutek (Jablonka), Andrzej Jazowski (Lipnica Wielka), Emil Jabłoński (Lipnica Wielka).

Kłęczą od lewej bracia: Józef i Antoni Balcerzakowie (Jablonka). Jablonka, sierpień 1944 r.

(Ze zbiorów Włodzimierza Budarkiewicza).

którzy byli w międzyczasie gośćmi oddziału BCh „Zawierucha”. Rozlokowani u gospodarzy w powiecie tarnowskim doczekali się wyzwolenia. Ci, którzy zginęli, zostali po wojnie ekshumowani i przewiezieni do Anglii.

W IV-tym nowotarskim batalionie, dowodzonym przez kpt. Juliana Zapalę „Lamparta” przebywali: oficer radziecki lejtn. Michał Korotkow, przejściowo przed odesłaniem do dowództwa pułku 14 lotników Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych, kilka dni dwóch lotników brytyjskich Alex Johnson i Patrick O’Neil, którzy poprzednio byli gośćmi oddziału „Zawierucha”, dwóch Jugosłowian i trzech dezertorów z Wehrmachtu. Nietatwa była droga do oddziału „Lampart” lejtn. Korotkowa, syna majora Armii Radzieckiej z Millerowa na Dolnym Powołżu. Pracując w kompanii roboczej poza obozem w Oświęcimiu, zbiegł i dotarł w 1943 r. do Szczawy. Przyjął go gospodarz i ukrył razem z poprzednio zbiegłym jeńcem Francuzem. Po pewnym czasie zostali oni wykryci przez Gestapo, Francuza pochwycono, a Korotkow zbiegł na Polanki k/Szczawy i tam przez kilka dni ukrywał go gospodarz Franciszek Opyd. Z Polanek Korotkow udał się w rejon Ochotnicy i w lesie przypadkowo spotkał ukrywającą się grupę braci Gieldezyńskich ze współtowarzyszami. Został do niej przyjęty, dzielił z grupą niedolę przez 14-cie miesięcy. Grupa posiadała broń i amunicję, stała się ona w maju 1944 r. załóżkiem oddziału partyzanckiego „Lamparta”, a Eugeniusz Gieldezyński „Kosa” był pierwszym podoficerem szefem oddziału. W końcu lipca nastąpiło spotkanie dowódców polskich z dowódcą radzieckiego oddziału partyzanckiego na Kiczorze k/Turbacza i wtedy to z rozkazu mjr. „Borowego” ówczesnego Komendanta Obwodu „Paproc” w Nowym Targu, Korotkow przeszedł z oddziału „Lamparta” do oddziału radzieckiego kpt. Tichonowa tzw. „Kapitana z bródką”. W sierpniu zgłosiło się do oddziału „Lamparta” dwóch dezertorów z Wehrmachtu, jeden był Ślązakiem, a drugi Niemcem rodem z b. Prus Wschodnich. Zbiegli z Nowego Sącza z zamiarem wstąpienia do oddziału partyzanckiego. Zabrali ze sobą lekki karabin maszynowy i skrzynkę z amunicją. Po drodze w rejonie Kudonia zostali zatrzymani i rozbrownieni po czym zwolnieni przez jakiś polski oddział. Do Kudowa k/Lubania, gdzie kwaterował oddział „Lamparta”, dotarli wyczerpani i głodni. „Lampart” ich przyjął i polecił zbiegów nakarmić, przydzielił do pracy w kuchni. W październiku kazał wydać im rezerwową broń i przydzielił do kompanii ppor. Adama Winnickiego „Pazura”, z którą chodzili na akcje bojowe i dzielnie spisywali się; własne imiona Józik i Gerard stały się ich pseudonimami.

Krótko cieszyli się wolnością i tragiczny był finał ucieczki z niewoli żołnierzy radzieckich, którzy w noc sierpniową dotarli do schroniska na Lubaniu. Przyjęli ich i utrzymywali przez dwa miesiące gospodarze schroniska kpt. Ernest „Ślaw” i Helena „Śława” Durkalcowie. Pewnego dnia będąc z łącznikiem Tadeuszem Morawą „44” w schronisku, rozmawiałem ze zbiegłymi, piłowali drzewo na opał, jeden z nich przed wojną był weterynarzem w sowchozie na Ukrainie. „Ślaw” poinformował mnie o narastającej ilości oddziałów i osób odwiedzających schronisko: partyzanci polscy i radzieccy, przewodnicy, łącznicy, osoby spalone szukające schronienia i pomocy.

Dnia 21 września prowadząc 80-cio osobowy oddział na wypad do Niedzicy i Spiskiej Starej Wsi celem zaatakowania placówek słowackiej straży granicznej i zdobycia broni, po drodze przenocowaliśmy w schronisku na Lubaniu. Nie uszło to uwagi wroga. Po upływie trzech dni silny oddział Luftwaffe kwaterujący w Czorszynie, skrycie podszedł i zaatakował schronisko. Z przebywających tam 14-tu osób poległ Aleksander Krzystyniak „Szarołka” z Nowego Targu i Ignacy Gorczewski „Brzoza” ze Szczawnicy, trzem udało się zbiec a resztę w tym i Durkalców napastnicy uprowadzili i przekazali Gestapo. Żołnierze radzieccy, podopieczni Durkalców byli w tym czasie w piwnicy i również wpadli. Schronisko Niemcy spalili. Po upływie kilku dni Durkalec wywieziony do „Palace”, siedziby Gestapo w Zakopnem, widział tam jednego z żołnierzy radz., któremu udzielił schronienia na Lubaniu.

W patrolu dywersyjnym dowodzonym przez pchor. Teodora Budzińskiego „Lotnego”, wysłanym przez d-cę IV batalionu w październiku na Orawę w rejon Jabłonki, służyło dwóch Jugosłowian: Paweł Mendic i Piotr Bobacki z Belgradu, obaj zbiegli z transportu.

W plutonie terenowym w Szczawnicy, dowodzonym przez Adama Czartoryskiego „Szpaka” przebywali przez 5 miesięcy oficerowie włoscy, porucznicy Erko Michelli i Enzo Buletti, zbiegli z obozu internowanych w Irenie koło Dębina. Mieli oni swoją kryjówkę w lesie Stadnickiego nad Szczawnicą, udzielał im pomocy m. in. A. Malinowski „Traper”. Obaj wyjechali po wojnie do Włoch, Michelli z żoną szczawniczanką.

Liczną grupę podopiecznych 1 PSP-AK stanowili lotnicy Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych — USAAF, Królewskich Sił Powietrznych — RAF, Kanadyjskich Sił Powietrznych — RCAF. W sierpniu i wrześniu oddział „Lamparta” pod dowództwem „Borowego” biwakował na Starych Wierchach i wówczas nadszedł z placówki terenowej na Orawie meldunek, że na torfowiskach w pobliżu Jabłonki 14. IX. wylądowali na spadochronach lotnicy amerykański, a ich bombowiec zestrzelony przez dwa myśliwce, spadł między Czarnym Dunajcem i Podczerwonem w pobliżu toru kolejowego. Byli to lotnicy:

- Richard Hausler — 2 nd Lt USAAF
- Harold E. Beam — s/sgt USAAF
- Gordon W. Stembeck — s/sgt USAAF
- Alois C. Suhling — sgt USAAF
- August Kroschewsky — Lt USAAF

Orawa i Spisz w czasie okupacji były przyłączone do Słowacji. Placówka zaopiekowała się lotnikami i ukryła ich w zagrodzie Alojzego Machaya w Jablonce. Załoga wymienionego bombowca składała się z 10-ciu osób, pozostałych pięciu lotników wylądowało bardziej na wschód, na terenie tzw. Generalnej Guberni. Jeden z tych lotników z pochodzenia Czech odłączył się od reszty i poszedł na stronę słowacką, a czterech wskutek donosu konfidenta ujęto Gestapo, wywieziono ich do Zakopanego i od tego czasu wszelki ślad po nich zaginął. Na polecenie „Borowego”, wydane d-cy placówki przed zmianą miejsca postoju oddziału, lotnicy zostali doprowadzeni z Jabłonki na Stare Wierchy. Zachowując ostrożność pierwsi przewodnicy z Jabłonki: A. Pilch, J. Dziubek i A. Wojdyła z Piekieniaka przeprowadzili lotników w nocy przez granicę i o świcie doszli do Raby Wyżniej, tam przekazali następnym, którzy lotników zaprowadzili do

obożu. Jeden z lotników, Kroschewsky, wnuk emigranta z woj. krakowskiego, w czasie lądowania złamał nogę i pozostał w Jablonce pod opieką Antoniego Balcerzaka w jego zagrodzie. Ze Starych Wierchów oddział odmaszerował 18. IX. w rejon Ochotnicy i zajął na kwatery najwyższą położoną osadę Skałce, nad północnym wylotem osiedla potoku Jamne.

Na Skałce 19. IX. „Borowy” otrzymał od gen. Brunona Olbrychta „Olzy”, d-cy Grupy Operacyjnej „Śląsk Cieszyński”, rozkaz sformowania z oddziałów partyzanckich walczących na terenie nowosądeckiego inspektoratu „Niwa” (powiaty: nowotarski, limanowski, nowosądecki i gorlicki) 1-go Pułku Strzelców Podhalańskich Armii Krajowej i nominację na dowódcę pułku. Z tych oddziałów zostały sformowane bataliony, o których była mowa wyżej. Na miejsce postoju dowództwa pułku, „Borowy” wybrał osadę Polanki k/Szczawy. Razem z „Borowym” z oddziału „Lamparta”, przemianowanego na IV nowotarski batalion, odeszło dwóch oficerów i czterech szeregowych. Zabranych ze sobą lotników amerykańskich ulokowano początkowo w pobliżu dowództwa u gospodarza Nowaka, a następnie zostali oni zakwaterowani w osiedlu Bielskim pod Kopą koło Pórzeczek w zagrodzie gospodarza Bielskiego.

Drugi bombowiec Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych, Liberator nr 251/14 spadł i rozbił się 18. XII. w rejonie Kiczory, koło Polany Prehybki, niedaleko od osiedla Forendówki i Ochotnicy Górnej. Wskoczyli z uszkodzonego przez myśliwca samolotu i wylądowali na spadochronach koło Lubania lotnicy:

- Dejewsky Thadeus — Lt (syn emigranta z Sierpca)
- Felt Spencer T — Lt
- Nelson Robert T — Lt
- Sich Edward J
- Venable Walter B
- Behar Jack F
- Mac Cuttie Wiliam J
- Dallas Clarence A
- Racine Bernard C
- Beimbrinck Wiliam — Lt

Lotników rozrzuconych w terenie odszukali i doprowadzili do kwater IV-go batalionu wysłani przez „Lamparta” partyzanci, jednego przekazało dowództwo partyzantów radzieckich. Pomimo intensywnych poszukiwań nie odnaleziono dowódcy bombowca Lt Beimbrinck’a. Amerykanie w czasie opadania na spadochronach, zostali ostrzelani z dużej odległości przez placówki Grenzschutzu.

Lotnicy broni nie mieli, posiadali przy sobie komplety map, wykonanych na jedwabiu i przechowywanych w wodoszczelnych futerałach, kompasy wielkości guzika, noże składane do obciążenia sznurów spadochronowych, przy szelkach podręczne apteczki, cukierki orzeźwiające i po 70 dolarów. Ubrani byli w lekkie jasne kombinezony z przewodami elektrycznymi wewnątrz do ogrzewania, a pod kombinezonami w cywilne ubrania. Po trzech dniach odpoczynku „Lampart” odesłał lotników z łącznikami M. Wachałą „Bisem” i W. Brynierskim „Motylem” do dowództwa pułku na Polanki. „Borowy” polecił zakwaterować ich razem z lotnikami z bombowca zestrzelonego we wrześniu koło Czarnego Dunajca. Wkrótce został doprowadzony z Jabłonki mocno kulejący, opierający się na kij, Kroschewsky, nazywany przez partyzantów „Al Capone”. Oba samoloty należały do formacji lotniczych, startujących z baz w Brindisi i Foggii

w południowych Włoszech, bombardowały fabrykę kauczuku syntetycznego w Oświęcimiu (Bunawerke).

Mieszkaniec Łopusznej Śmiksi wiosną 1945 r. przezierając się przez las na przełaj w kierunku Turbaczka, natrafił na zwłoki ludzkie w stanie silnego rozkładu, częściowo pożarte przez dzikie zwierzęta. Na podstawie szczątków odzieży stwierdził, że był to lotnik, mogły to być zwłoki Lt. Beimbrinck’a.

Do końca okupacji pld.-wschodnich terenów woj. krakowskiego, lotnicy byli utrzymywani przez 1-y PSP - AK. Nader skromny deputat żywnościowy otrzymywany przez nich był uzupełniany jabłkami i śliwkami, które wówczas obrodziły w rej. Łącka. Strawa chłopska uzupełniana jabłkami i śliwkami nie zaspokajała potrzeb życiowych młodych i rosnących lotników, dręczyły ich niedosyt, beczynność i nuda. Przy spotkaniach z „Borowym” prosili go o powiadomienie bazy we Włoszech z podaniem ich miejsca pobytu i żądania przysłania samolotu transportowego. „Borowy” wyjaśniał im nierealność życzenia motywując odmowę brakiem łączności i odpowiednich warunków do lądowania samolotu w górzystym terenie. Najbliższe lotnisko w Nowym Targu było strzeżone przez Niemców. Wymienione argumenty nie przekonały lotników. Pewnego dnia „Borowy” wysłał kanadyjczyka Huberta do lotników z poleceniem sprawdzenia ich warunków bytowych i wysłuchania życzeń. Po powrocie relacja Huberta była następująca:

„Gdy wszedłem do chaty lotnicy siedzieli na podłodze dookoła dużej glinianej makutry. Jeden z nich tłuczkami do ugniatania kartofli ucierał kogiel-mogiel z kopy jaj zakupionych za dolary wydane na lot bojowy. Inny moczył nogi w cebrzyku, po czym wytarł je szmatą, owinął jedwabnymi mapami lotniczymi i włożył buty. Przywitałem się i zapytałem jak im się powodzi? «Foken Europa, foken Hitler, foken Poland» — brzmiała odpowiedź jednego z Amerykanów. Gdy ucierana masa zaczęła puszczać bańki i była o’key, wszyscy siedząc po turecku czerpali łyżkami żółtą masę i powoli jedli”. „Borowy” wysłuchał Huberta i zaproponował mu zamieszkanie razem z Amerykanami. Opanował przecież mowę polską i łatwo może porozumieć się z ludnością wiejską w sprawie aprowizacji lotników. „Nie jestem ich nursy (niańką) proszę pozostawić mnie w dowództwie” — odpowiedział Hubert. W czasie kolejnej wizyty u Amerykanów „Borowy” przypomniał im „foken Poland” i powiedział, że jeżeli im nie odpowiada opieka partyzantów polskich, to przyśle przewodnika, który zaprowadzi ich do obozu partyzantów radzieckich. Najstarszy z nich przeprosił „Borowego” i wyraził w imieniu wszystkich życzenie pozostania przy partyzantach polskich. Należy nadmienić, że oprócz dodatku śliwkowo-jabłkowego Amerykanie otrzymali kilka worków zdobycznego cukru, toteż mieli z czego kogiel-mogiel ucierać. W pobliżu kwatery Amerykanów był zakwaterowany u gospodarza chory na gruźlicę i świerzb podoficer Armii Belgijskiej, zbiegły z obozu jenieckiego w Borku Fałęckim koło Krakowa. Choremu potrzebne było leczenie sanatoryjne i dobre wyżywienie, a dowództwo takimi możliwościami nie dysponowało. Troskliwie opiekował się chorym kapelan pułkowy Ks. Stelmach „Urban”. W czasie wizyty w dowództwie Belg wpisał na pamiętkę do mojego dziennika „dnia 9 listopada przybyłem do Polaków, którzy znajdowali się w lasach, i którzy bronią Ojczyznę przed wrogiem — najeźdźcą ich kraju. Jestem zado-



wolony z obecności ludzi, prawdziwych żołnierzy swojej Ojczyzny. Na pamięć. Podoficer Armii Belgijskiej” (podpis nieczytelny).

Zakres wszechstronnej pomocy udzielanej obcokrajowcom obejmował także usługi sanitarne. We wrześniu w czasie mijania się w Gorcach oddziałów partyzanckich polskiego z radzieckim pod dowództwem Lejta. Piotra Jarosławcewa, zauważyłem za oddziałem silnie kusztokającego, opierającego się na kiju partyzanta, zapytałem więc, co mu się stało. Wyjaśnił, że jest ranny odłamkiem granatu w kolano. Po uzyskaniu obopólnej zgody „Borowego” i lejtnanta, odesłałem rannego z naszym partyzantem do Izby Chorych IV-go batalionu, mieszczącej się w szkole osiedla Ochotnica-Jamne. Rannym „Saszą” opiekowała się sanitariuszka Oleńka Mirecka „Jedynaczka” (obecnie Buczkowska), licealistka z Nowego Targu.

Obowiązek zachowania ostrożności, dyscyplina kon-

spiracyjna i znaczne odległości, nie sprzyjały regularnemu utrzymaniu łączności między dowództwem pułku a batalionami, oddziałami wydzielonymi i placówkami terenowymi. Ze względów zrozumiałych korespondencję ograniczono do minimum, toteż meldunki o obcokrajowcach walczących w szeregach oddziałów lub znajdujących się pod ich opieką wpływały do dowództwa pułku sporadycznie i były przeważnie ustne, ewidencji w tym zakresie nie prowadzono. Z powyższej niepełnej relacji jednak wynika, że obcokrajowcy z państw Koalicji i przeciwnicy zbrodniczego hitleryzmu, których wojenne koleje życia rzuciły na Podhale i tereny sąsiednie, otrzymali od ludności i partyzantów pomoc, a chętni broń do walki ze wspólnym wrogiem.

Po rozwiązaniu w drugiej połowie stycznia 1945 r. 1-go PSP - AK obcokrajowcy, podopieczni pułku, sami układali dalsze swoje losy.

ANDRZEJ PITOŃ-KUBÓW (Chicago)

## NA SKLE MALOWANE

piąto stacjo Drogi Krzyzowej z kościółka w Murzasichlu

*Z Tylmanowej hań bez Turbac  
Orkanowski wiedzie ślak  
boske ruszył Jaś Jachymiok  
w blizyj mu nieznany świat.*

*Skole, ziomber, ścierniska  
gołe stopy dzióbały —  
pod gorcańskom Golgote  
nozki jego ustały.*

*Obeźroł sie roz jesse i drugi  
na chudobne polany,  
hań ka posoł owiecki  
— mój Ty Boze kochany.*

*Stanon górol na wieršku  
hań ka krzyz stoł jedlany,  
wisioł Chrystus lipowy  
na gębusi stroskany.*

*Nie same wezgtowio,  
cierniem rani korona,  
ptosek dzióbkciem cyrwonym  
wystukuje cierpienia.*

*Cierp, cierp nędzne plemie Jadama  
na tym ziemskim padole,  
noś, noś brzemie grzychu na grzbiecie  
w syzyfowym mozole.*

*Ujon Jasiek krzyz cierpień  
studeruje Męke Pańskom w pokorze  
— o ziemi, o ludziach, o niebie  
studerujmy pospołu, nas Boze.*

*Tęgo sie zdziwił Chrystus  
kie go na brzyzku obocył —  
zabocył mu ludzkie winy  
grzychy mu syćkie przebocył.*

*Świercki w ocy sie garnom  
obroz staje sie sklany —  
naskom Droge Cierniomom  
bedem dziergoł na ściany*

*— któryś cierpioł za nos rany  
Jezu Chryste zmiłuj sie nad nami —*

*Została mu imo jesse  
długo ciernisto droga —  
ktorom mo iść poprzez życie  
prosto do Pana Boga.*

Chicago, w lutym 1984 roku



Dom Ludowy w Niedźwiedziu. (Fot. Stanisław Zapata).

ALOJZY PIWOWAR (Niedźwiedź)

## Dom Ludowy w Niedźwiedziu

Historia Domu Ludowego w Niedźwiedziu sięga lat trzydziestych. Ciężkie i trudne to były czasy. Do oplakanej sytuacji gospodarczej dołączyły się klęski żywiołowe, przede wszystkim katastrofalna powódź w 1934 r. Mieszkańcy Niedźwiedzia i okolicznych wsi licznie brali udział w strajkach chłopskich, których fala przeszła przez Limanowszczyznę. Na drogach polnych wiodących z Niedźwiedzia, Podobina i Poręby do Rabki stały pikietki chłopskie i nie pu-

szczały dostawców nabiału i innych produktów do uzdrowiska. Wzrastała przestępczość, kilka zorganizowanych band regularnie okradało rolników lepiej sytuowanych.

W 1925 r. proboszczem w niedźwiedzkiej parafii został były katecheta Franciszek Baradziej. Odnowił drewniany kościółek z 1695 r. Zapisał się w pamięci parafian walką z ambony z pijactwem. Troszczył się również o sprawy gospodarcze. Założył przy plebanii szkółkę drzew owocowych i cegielnię. On wykupił stojący w rogu niedźwiedzkiego rynku dom i sklep od Żyda Szmaja, zagrożonego bankructwem po napadzie rabunkowym. Ksiądz zwrócił się do parafian o pomoc w rozbudowie domu, który miał zostać przeznaczony na Dom Ludowy. Miejscowi ludowcy nie mieli zaufania do inicjatywy księdza. Proboszcz jednak z pomocą Polonii zebrał niezbędne środki i rozbudowę zrealizował. W pracach pomagała młodzież szkolna oraz członkowie Katolickiego Stowarzyszenia Młodzieży. Dom rozpoczął działalność w 1938 r.

Dotąd miejscem występów zespołów amatorskich, przede wszystkim młodzieży szkolnej, była największa z trzech sal w ochronce. Tam dzieci uczyły się, korzystały ponadto z dwóch sal w organistówce. W budynku ochronki mieszkaly również zakonnice, które prowadziły kursy szycia, haftu, gotowania, udzielały też pomocy chorym. Zaraz po uruchomieniu Domu Ludowego zorganizowano orkiestrę ludową, urządzano kilkanaście razy w roku zabawy i festyny, a w okresie świąt pokazywano tradycyjną szopkę i jasełka. W organizowaniu przedstawień i festynów pomagał kierownik szkoły z Poręby Wielkiej Marian Żurek, nauczyciel z niedźwiedzkiej szkoły Myczkowski oraz ksiądz katecheci. Z odtwórców głównych ról wymienić trzeba Józefę Magierską, Jana Halamę i Józefa Żurka.

Dom wznowił działalność zaraz po przejściu frontu. Budynek szczęśliwie nie uległ zniszczeniu i już w lutym 1945 r. urządzono w nim jasełka. Wkrótce rozwinął działalność teatr amatorski. Wystawił m. in. „Karpackich górali” Korzeniowskiego, „Betlejem polskie” Rydla, sztukę reglijną „Gość oczekiwany”. Oprawę muzyczną przygotował Marian Polek, syn organisty z Niedźwiedzia.

W 1953 r. powstał Komitet Założycielski Kina w Niedźwiedziu. Ksiądz Baradziej wydzierżawił Dom Komitetowi i 19 kwietnia 1954 r. wyświetlono pierwszy film. Kino to obsługiwało również w objazdach sąsiednie wsie: Mszanę Górną, Lubomierz, Koninę, Olszówkę, Zaryte, Rabę Niżnią i Kasinkę Małą. W sali kinowo-teatralnej występowały też gościnnie zawodowe zespoły artystyczne, najczęściej krakowskie. Miejscowy zespół amatorski pod kierownictwem Mariana Żurka wystawił sztukę „Diabeł na Podhalu” objeżdżając sąsiednie miejscowości.

W 1958 r. w budynku tym zamieszkało na stałe kilka rodzin. W grudniu 1969 r. dzieci jednego z lokatorów zaprószyły ogień pod sceną, za którą przechowywano drzewo na opał. Spłonęła wprawdzie tylko dekoracja, jednak ten wypadek stał się powodem zamknięcia sali. Objazdową działalność kontynuowało kino do lutego 1972 r. Zawieszono ją na przekór prósbom i sprzeciwom społeczeństwa. Tymczasem ksiądz Baradziej zapadł na zdrowiu i przepisał budynek na swojego bratanka. Miał on go sprzedać, a pieniądze przeznaczyć na remont kościoła. Rodzina sprzeciwiła się, obaliła testament i sprzedała dom w 1974 r.

Prezydium Powiatowej Rady Narodowej w Limanowej, a pieniądze podzieliła między siebie. W 1975 r. po reorganizacji administracyjnej przejął go Urząd Gminy w Niedźwiedziu. Budynek nie doczekał się remontu ani nawet należytego zabezpieczenia, w związku z czym część wyposażenia sali kinowo-teatralnej, zwłaszcza krzesła, została wykradziona. Ponadto z części sali kinowo-teatralnej wydzielono pomieszczenie na Klub Rolnika, który można było zlokalizować w innym miejscu. Zniszczono w ten sposób podium i kabinę operatora, salę widowiskową i poczekalnię. Gdy pod koniec lat siedemdziesiątych rozpoczęto budowę remizy OSP z salą widowiskową, wokół Domu Ludowego zapanowała zupełna cisza.

Interwencję w sprawie budynku podjął zorganizowany 14 grudnia 1980 r. Oddział Związku Podhalan w Porębie Wielkiej. Zaproponował on Urzędowi Gminy w Niedźwiedziu pracę społeczną członków Oddziału przy uporządkowaniu wnętrza w zamian za przekazanie w użytkowanie jednego z pomieszczeń na świetlicę Oddziału. Postulował też wznowienie działalności kina, jak również udostępnienie sali kinowo-teatralnej zespołom amatorskim. Urząd Gminy nie zgodził się na przekazanie któregośkolwiek z pomieszczeń na świetlicę Oddziału, dokonał jedynie po tej interwencji prowizorycznej naprawy części dachu.

Sprawa wznowienia działalności kina pozostaje więc nadal otwarta. Potrzeby mieszkańców gminy Niedźwiedź jak i rosnącego ruchu turystycznego uzasadniają w pełni reaktywowanie tej placówki kulturalnej. Zastąpić sali kinowo-teatralnej nie jest w stanie znacznie mniejsza sala widowiskowa remizy, w której urządzi się niemal wyłącznie dyskoteki. Nie ulega wątpliwości, że pomimo skomplikowanej sytuacji gospodarczej należy ponownie rozważyć problem Domu Ludowego w Niedźwiedziu, który tak długo i owocnie służył kulturze regionu.

Na koniec — informacja ogólna.

Niedźwiedź, to mała gmina i parafia położona w samym sercu Gorców u stóp Turbacza pod Orkanówką, licząca cztery wioski: Niedźwiedź, Porębę Wielką, Koninę i Podobin, dawniej jeszcze Lubomierz i Olszówkę. Dziś w tych czterech wsiach mieszka 5300 mieszkańców. Nie jest to już wieś czasów „Komorników” czy „Pomoru” naszego Orkana. Nie wiele jest domów, które te czasy pamiętają. Są to wsie ładnie odbudowane, choć nie zawsze zgodnie z architekturą przestrzenną. Ludzie żyją z turystyki, zwłaszcza Poręba Wielka i Niedźwiedź. Są ładne szkoły w Porębie Wielkiej i w Niedźwiedziu, Dom Wczasów Dziecięcych w Porębie Wielkiej, nowy ładny budynek Urzędu Gminy, dwa czynne wyciągi w Koninkach. Rocznie przewijają się przez niedźwiedzka gminę koło 10.000 turystów.



ANTONINA ZIARKIEWICZ (Myślenice)

## WODOSPAD

*Stanął w skoku  
przeraził się wysokości  
albo zakochał w gwiazdce śniegu  
ja nie wiem*

# Stanisław Ignacy Witkiewicz (Witkacy)



Stanisław Ignacy Witkiewicz. (Fot. Józef Głogowski, repr. Ryszard Bukowski. Ze zbiorów Muzeum Tatrzańskiego w Zakopanem).

Ojciec Witkacego, Stanisław, urodzony w Poszawsku na Żmudzi, był artystą malarzem, krytykiem literackim, pisarzem i twórcą tzw. stylu zakopiańskiego w budownictwie drewnianym. Matka, Maria, z domu Pietrkiewiczówna urodzona na Litwie, ukończyła Konserwatorium Warszawskie. Była nauczycielką muzyki. W Zakopanem uczyła w szkole dla dziewcząt w Kuźnicach, dawała prywatne lekcje muzyki. Zarobkowo haftowała piękne wzory góralskie na serwetach, prowadziła też pensjonaty.

Witkacy był malarzem, teoretykiem sztuki, dramaturgiem, powieściopisarzem i filozofem.

Urodził się 24 lutego 1885 r. w Warszawie. Mając 4 lata przyjechał z rodzicami do Zakopanego i zamieszkał w domku góralskim Jędrzeja Ślimaka przy ul. Przecznicą, dzisiaj — dla uczczenia ojca, ul. Witkiewicza. W 1891 r. odbył się uroczysty chrzest Witkacego w zakopiańskiej parafii ks. Józefa Stolarczyka. Pierwszy chrzest z wody miał jeszcze w Warszawie, co jest odnotowane w księgach zakopiańskiej parafii. W Zakopanem nastąpiło uzupełnienie ceremonii chrztu w dniu 27 stycznia 1891 r. Rodzicami chrzestnymi byli słynna artystka Helena Modrzejewska i góral Jan Krzeptowski Sabala. Wpis do ksiąg parafialnych w kościele zakopiańskim został dokonany przez ks. Józefa Stolarczyka, a rodzice chrzestni złożyli osobiście swoje podpisy: Jan Sabala, Helena Modrzejewska

Chłapowska. Od matki chrzestnej otrzymał Witkacy złoty zegarek, a od Sabaly ciupagę, która w czasie uroczystości w Zakopanem w setną rocznicę urodzin towarzyszyła wszystkim imprezom.

Początkowo Witkacy uczył się pod kierunkiem ojca. Stanisław Witkiewicz był przeciwnikiem nauki w szkole. Stosował wobec syna odmienne metody wychowawcze. Cały nacisk kładł na rozwijanie jego zainteresowań osobistych. Naukę pobierał więc Witkacy w domu. Prywatnymi jego nauczycielami byli m. in. Walenty Staszel, kustosz Muzeum Tatrzańskiego, student Mieczysław Limanowski, późniejszy geolog i profesor uniwersytetu, prof. Władysław Folkierski, matematyk.

Dom przy ul. Przecznicą, do którego zjeżdżali tak sławni ludzie jak: Helena Modrzejewska, Maria Dembowska, Stanisław Eliaz Radzikowski, Władysław Orkan, Stefan Żeromski, Małczewski, Stanisławski, Wyczółkowski i inni, był dla Witkacego dodatkową wspaniałą szkołą. Przebywając na co dzień między takimi ludźmi, mógł wiele skorzystać. I skorzystał. Mając 8 lat zaczął pisać utwory sceniczne. Środowisko literacko-artystyczne Młodej Polski wywarło więc na jego życie zasadniczy wpływ. Maturę zdawał Witkacy jako ekstern we Lwowie.

Przebywając w Zakopanem uprawiał narciarstwo i turystykę, między innymi z poetą Tadeuszem Mićskim, a taternictwo w towarzystwie góralskich przewodników.

Początkowo studia malarskie rozpoczął Witkacy pod kierunkiem ojca, potem w latach 1904—1906 i 1908—1910 studiował ku niezadowoleniu ojca w krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych u J. Stanisławskiego i J. Mehoffera. W swoim życiu Witkacy odbył wiele podróży artystycznych m. in. do Włoch, Niemiec, Francji. W 1914 r. pojechał do Australii jako rysownik i fotograf w ekspedycji etnograficznej. Następnie przebywał w Rosji, a w 1918 r. powrócił do kraju i zamieszkał w Zakopanem.

W latach międzywojennych odegrał dużą rolę w życiu kulturalnym Zakopanego, urządzając odczyty, organizując teatr i działając jako malarz. Od 1918 r. do 1922 r. był członkiem awangardowej grupy artystycznej *Formiści Polscy*, w której był głównym inicjatorem licznych dyskusji. Stworzył tzw. Wakacyjny Kurs Naukowo-Literacki, w ramach którego prelekcje wygłaszali sławni Polacy. Zorganizował też Teatr Formistyczny, którego spektakle odbywały się w sali teatralnej hotelu „Morskie Oko”.

W malarstwie, sztuce i poezji propagował hasło tzw. *Czystej Formy*. We wczesnej młodości malował pejzaże przeważnie litewskie i tatrzańskie oraz sceny figuralne. „Przegląd Zakopiański” z 2 stycznia 1902 r. w artykule pt. „Wystawa obrazów i rzeźb” ukazuje wielki talent młodego, siedemnastoletniego Witkacego. Na tej wystawie prezentuje on dwa swoje obrazy przedstawiające pejzaże z Litwy. W latach 1917—1925 tworzył abstrakcyjne kompozycje fantastyczno-symboliczne, między innymi: „Walka żywiołów” (1920 r.), „Fantazja” (1921—1922), „Wizyta u radzy” (1923).

Od 1925 r. otwiera w willi „Tatry” sławną „Firmę Portretową Witkacy”. Portrety pastelowe wykonywane w celach zarobkowych są różne, od „zwykłych” i „upiększonych” do silnie zdeformowanych wizerunków psychologicznych. Na portretach są skróto-we znaki w cyfrach i literach. Litery od A do E oznaczały stany odejścia od rzeczywistości, a słowo per os (przez usta) + pywko + winko — po piwie, po winie. Bardzo dużo tych portretów związanych było z postaciami przebywającymi i działającymi w Zakopanem, jak np. portrety Jana Kaspro-wicza, jego żony Marusi, rodziny Fedorowiczów.

Swe zapatrywania ogólnoestetyczne przeniósł następnie Witkacy na teatr i poezję. Poglądy estetyczne i filozoficzne przedstawił w książce „Nowe formy w malarstwie i wynikające stąd nieporozumienia” (1919), i „Szkice estetyczne” (1922). W powieściach „Pożegnanie jesieni” (1927) i „Nienasycenie” (1930) nawiązuje do Tatr i Podhala. W powieści autobiograficznej pt. „622 upadki Bunga” (1910—1911) uwidacznia problem osobowości artysty. Główną jego pracą filozoficzną pisaną od roku 1917 do 1932 jest książka pt. „Pojęcia i twierdzenia implikowane przez pojęcie istnienia”.

Witkacy napisał też ponad 30 sztuk teatralnych. Część z nich wystawiana była w sali teatralnej hotelu „Morskie Oko”. W zbiorze szkiców Tatr (1923) rozwinął oryginalną koncepcję sztuki scenicznej, opartej — jak i w malarstwie na pojęciu „Czystej Formy”. Chciał stworzyć teatr autonomiczny, rządzący się wyłącznie prawami logiki, obcy regułom zdrowego rozsądku, zdolny do wywoływania przeżyć metafizycznych. Z ważniejszych jego sztuk to: „Pragmatyści” (1921), „Tumor Mózgowicz” (1921), „Kurka wodna” (1922), „W małym dworku” (1923), „Jan Maciej Karol Wścieklica” (1925), „Nowe wyzwolenie” (1926), „Wariat i zakonnica” (1926), „Autoparodia czyli Demonizm Zakopanego”, „Mątwa”, „Sonata Belzebuba”, „Szewcy”.

Z domu przy ul. Przecznicza Witkiewiczowie wraz z synem przenieśli się do willi „Nosal” na Bystrem, gdzie Maria Witkiewiczowa prowadziła pensjonat. Tam przyjeżdżał między innymi przyjaciel Witkacego, sławny kompozytor Karol Szymanowski, a także sławny pianista Artur Rubinstein.

W ostatnich latach Witkacy mieszkał w Zakopanem w willi „Witkiewiczówka” na Antałówce. Umieszczona jest tam tablica upamiętniająca jego pobyt: „Tu mieszkał Stanisław Ignacy Witkiewicz — artysta malarz, awangardowy dramaturg, teoretyk sztuki”.

Witkacy zmarł tragicznie 18 września 1939 r. w Jeziorach w powiecie sarneńskim na Polesiu. Pochowany został na miejscowym cmentarzu. Na grobie matki Marii na starym cmentarzu na Pęksowym Brzysku w Zakopanem jest wyryty napis upamiętniający jej syna.

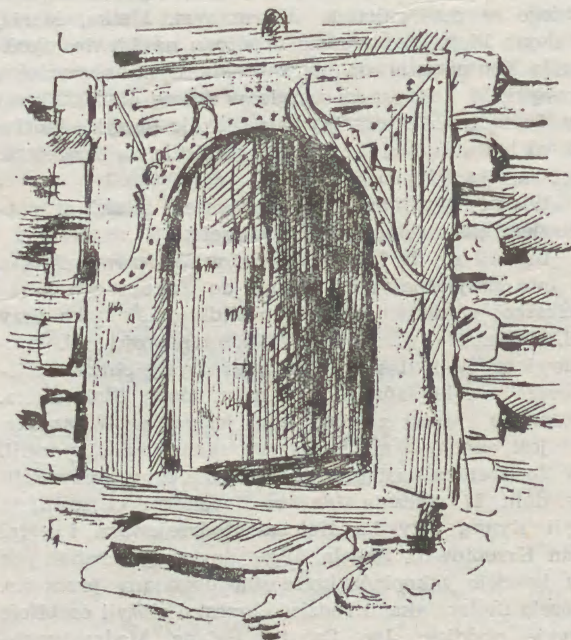
W 1985 roku w setną rocznicę urodzin Witkacego Zakopane oddało hołd znakomitemu twórcy, tak związanemu z tym miastem. W lutym 1985 roku odbyła się uroczystość w Sanatorium dr Chałubińskiego. Młodzi aktorzy scen krakowskich odegrali dwie sztuki Witkacego: „Autoparodia czyli Demonizm Zakopanego” i „Pragmatyści”. Przez parę tygodni grane były inne sztuki tego autora. W czerwcu 1985 r. Towarzystwo Muzyczne im. Karola Szymanowskiego w Zakopanem zorganizowało tygodniową

impresję „Zakopiańskim Szlakiem Witkacego” w dniach od 9—15 czerwca 1985 r.

Imprezy odbywały się w miejscach związanych z rodziną Witkiewiczów, a więc:

- ❖ W jednej z kaplic kościoła parafialnego Św. Rodziny zaprojektowanej przez Stanisława Witkiewicza (ojca), wykonawcą koncertu był Józef Serafin.
- ❖ W willi „Oksza”, też zaprojektowanej przez Witkiewicza — ojca, Gustaw Holoubek (członek Związku Podhalań w Zakopanem) odczytał wyjątki z książki „Stanisław Witkiewicz — Listy do Syna”. Przygrywała muzyka góralska Władysława Zaryckiego.
- ❖ W willi „Atma” Tadeusz Huk wygłosił odczyt pt. „Witkacy o Szymanowskim”.
- ❖ W muzeum na Harendzie Jerzy Stuhr odczytał fragment książki „Worcell o Witkacym”. Witkacy był zaprzyjaźniony z Janem i Marią Kaspro-wiczami, stąd kilka portretów na ścianach muzeum.
- ❖ W Galerii Sztuki im. Kulczyckich na Koziańcu Magdalena Zawadzka odczytała fragment książki „622 upadki Bunga”. Tu też została otwarta wystawa prac Witkacego trwająca trzy miesiące.
- ❖ W willi „Witkiewiczówka” Janusz Zakrzeński odczytał wyjątki sztuki „Demonizm Zakopanego”.
- ❖ W Galerii BWA Tadeusz Malak czytał „Nowe formy w malarstwie Witkacego”. W tym budynku w latach 1912—1926 odbywały się wystawy, na których eksponowane były prace Stanisława Ignacego Witkiewicza.
- ❖ Muzeum „Atma” w Zakopanem zorganizowało wystawę plakiet Michała Gąsienicy Szostaka pt. „12 x Witkacy”. Wystawa trwała od czerwca do sierpnia 1985 r.

Imprezy poświęcone Stanisławowi Ignacemu Witkiewiczowi odbywały się też w innych miastach Polski, a także w wielu krajach na świecie. Rok 1985 został ogłoszony przez Unesco ROKIEM WITKACEGO.



# Podmiot: Teatr im. Heleny Modrzejewskiej w Zakopanem

**Adres:** Od roku 1964 bez sceny (odebrano przekazany Teatrowi scenę w sali „Morskie Oko” na rzecz PP MOSTIWI „Tatry”). Od roku 1977 bez lokalu, bezdomny.

**Numer telefonu:** zawieszony.

**Miejsce przynależne:** Zakopane, ul. Krupówki, sal „Morskie Oko”, weranda i świetlica zwana garderobą Heleny Modrzejewskiej.

**Stan techniczny sali teatralnej i werandy:** dewastacja całkowita.

Jak podają znawcy przedmiotu, zakopiańskie ciągoty teatralne liczą sobie około 140 lat. Różne, zwykle krótkotrwałe były to próby, zawsze jednak gromadziły najwybitniejsze nazwiska od Modrzejewskiej począwszy poprzez Solskiego, Zelwerowicza i wielu innych, którzy na scenie „Morskiego Oka” występowali. Trwałszym i aktywniejszym okresem były lata dwudzieste, kiedy to za czasów Witkacego założone zostało przez niego Towarzystwo Teatralne, a następnie Teatr Formistyczny. Był to okres lat 1925—1927. Piszą o tym Reychman w książce „Peleryna, ciupagi i znak tajemny” i Rafał Malczewski w „Pępku świata”. Tradycja więc ogromna i nic dziwnego, że fascynuje ludzi mających potrzebę przeżyć twórczych.

Był rok 1947, wiosna. Mieszkaniec Zakopanego Franciszek Buczkowski potrafił zgromadzić wokół siebie ludzi, dla których w Zakopanem przetrwały tradycje najlepszych wydarzeń kulturalnych. Istniał dla nich urok wyjątkowego klimatu intelektualnego i artystycznego stwarzanego przez wybitnych przedstawicieli sztuki i nauki, którzy tu osiedli, bądź przyjeżdżali. W roku 1947, dwa lata po zakończeniu wojny, powstaje teatr amatorski. Pierwszymi jego twórcami, poza wspomnianym już Buczkowskim, byli — według informacji Kazimierza Natkańca, współzałożyciela teatru: Stanisława Szindlerowa, Stanisława Polkowa, Maria Łodziak, Maria Witeszczak, Waclaw Witeszczak, Krystyna Słobodzińska, Wanda Fedorowicz, Józef Fedorowicz zwany Pimkiem, Otto Fedorowicz, Leon Pia-secki i inni.

Początkowo teatr przyjął nazwę „im. Stanisława Moniuszki” i był teatrem dramatyczno-muzycznym. W okresie od 1947 do lat pięćdziesiątych wystawiono 11 premier, a wśród nich dwie komedie muzyczne, „Romans z wodewilu” Turskiego w przeróbce Krzemńskiego i „Żołnierza Królowej Madagaskaru” Tuwima. Były to przedstawienia grane i wystawione na poziomie, który zainteresował nie tylko publiczność, ale i recenzentów. Zespół rozrósł się do 60 członków, a ilość grających powyżej 30 osób, wśród których talentem i grą wyróżniali się: Stanisława Polkowa, Krystyna Dziewulska, Krystyna Słobodzińska, Antonina Iwankówna, Romana Radkiewicz, Stanisława Zaryczna-Strachanowska, Władysława Wojtkiewicz-Nowicka, Honorata Szala, Teresa Rubiś, Kazimierz Natkańec, Józef Garlacz, Jerzy Krukowski, Bronisław Stefanik, Mieczysław Bobek, Stanisław Jackowski, Józef Smieja, Zbigniew Borejsza, Kazimierz Strachanowski, Krzysztof Rościszewski i inni.

Sukcesy teatru spowodowały, że zainteresowała się nim zakopiańska Rada Kultury, na czele której stali znani pisarze, Hieronim Morstin i Roman Brandstaetter. Z okazji obchodzonego wówczas Roku Mickiewicza (stulecie śmierci poety) wystawiono sztukę Krystyny Grzybowskiej „Promieniści” w reżyserii i scenografii Zdzisława Salaburskiego. Za sprawą Rady Kultury powstało Towarzystwo Miłośników Teatru, któremu prezesował Ludwik Hieronim Morstin, a Teatr im. Stanisława Moniuszki przyjął nazwę Teatru im. Heleny Modrzejewskiej. Przytoczę tu słowa Morstina w przedmowie do programu „Promieni-stych”: — „nazwalimy teatr, który ma być stałym teatrem Zakopanego, imieniem Modrzejewskiej. Dowodzi to, że mimo skromnych środków mamy duże ambicje, chcemy z tych iskier przygodnie znalezionych talentów rozpalic nowe ognisko sztuki dramatycznej w Polsce”.

Staraniem Rady Kultury, prezesa L. H. Morstina, w roku 1956 Prezydium Miejskiej Rady Narodowej przekazało Teatrowi w dzierżawę salę teatralną „Morskie Oko”, a przez wiele lat sprawdzały się słowa wielkiego pisarza. Teatr wzbudzał zainteresowanie swym repertuarem i klasą wykonania. Była to zasługa i aktorów i zawodowych reżyserów, scenografów oraz innych specjalistów pracy teatralnej. Pracowali z nami ludzie o znanych nazwiskach, jak: Jerzy Ronald Bujański, Zdzisław Salaburski, Andrzej Buszewicz, Halina Cieszkowska, Ryszard Filipiński, Irma Gulska, Maciej Nowakowski, Ewa Stojowska, Antoni Słociński, Barbara Stefanik, Tadeusz Brzozowski, Anna Walter, Andrzej Kozak, Izabela Owoc, Barbara Rudolf, Kazimierz Strachanowski, Bronisław Stefanik, Waclaw Geiger, Krzysztof Rościszewski i inni. Lata pięćdziesiąte i sześćdziesiąte do 1964 roku to najlepszy okres działalności Teatru. Bierzymy udział w wielu konkursach, festiwalach, gramy w wielu miastach kraju, w Poznaniu, Warszawie, Krakowie, Opolu, Wrocławiu, Łodzi, gramy w miastach i miasteczkach byłego województwa krakowskiego, wyjeżdżamy z przedstawieniami do Czechosłowacji w ramach wymiany kulturalnej. Były nawet daleko posunięte plany o powołanie na bazie naszego teatru, stałego teatru w Zakopanem. Otrzymujemy złotą odznakę za zasługi dla województwa krakowskiego.

Sukcesy i posiadanie lokalu oraz dysponowanie salą teatralną oddziaływało twórczo i atrakcyjnie na młodzież, która chętnie garnęła się do pracy w teatrze. Zwiążaliśmy się współpracą z zespołami regionalnymi Klimka Bachledy, Bartusiami, Zespołem „Halny”, wystawiając kilka sztuk z ich udziałem jak: „Sąd nad Janosikiem” Juliana Reimschüssla, „Ach, to Zakopane” Walewskiego w przeróbce Reimschüssla, a przede wszystkim znakomitą pozycję „Lykorz z nieswojej woli” — przekład gwarowy Gut Stapińskiej znanej sztuki Moliera.

Znakomitą sekcją teatru był teatr słowa „Studium Słowa”, zorganizowany i prowadzony przez Tadeusza Staicha. Była to piękna praca dydaktyczna i artystyczna. Znakomity dobór repertuaru, reżyseria i wyko-

nawstwo doczekały się kilku audycji radiowych, a stałe występy odbywały się w czytelni Biblioteki Miejskiej.

Tak było do 1964 roku, kiedy nieprzemysłane decyzje pozbawiły teatr posiadania sali „Morskie Oko”. Nie bez winy byli też sami działacze sprawujący funkcje w TMT, a będący również pracownikami PMRN, którzy nie potrafili obronić pozycji. I tak zaczął się powolny upadek teatru. Wypadki losowe pozbawiły nas wielu wybitnych aktorów i kolegów działaczy. Powstał kabaret jako sekcja, kabaret zasilany świetnymi tekstami T. Staicha, J. Kapeniaka, K. Słobodzińskiej, D. Reydych i innych był w swej formie rzeczywiście dobry, popularny i lubiany. Wybitnie działała w nim Krystyna Słobodzińska. Niestety powołanie kabaretu spowodowało fatalne skutki w pracy sekcji dramatycznej. Została ona zdekompletowana, zaczęło brakować czasu na uczestnictwo w dwóch sekcjach. Cały wysiłek został skierowany na kabaret, a doświadczenie uczy, że ten rodzaj sztuki jest krótkotrwały, przemijający. I tak dokonawszy niechcący destrukcyjnej dla teatru roboty, chociaż przynosząc sobie sławę, w końcu kabaret musiał się rozwiązać. Teatr działał jeszcze poprzez Teatr Propozycji prowadzony przez Krystynę Słobodzińską. Była to właściwie kontynuacja Studium Słowa.

Wreszcie nadszedł rok 1977. Wiatr halny zerwał blachę na dachu werandy, w której mieliśmy cały nasz majątek i miejsce pracy. Wykorzystano ten wypadek losowy, by nakazać nam bezprawnie, ale za to energicznie, opuszczenie lokalu, co było wieloletnim marzeniem pewnego przedsiębiorstwa. I tak zostaliśmy na ulicy.

Z pomocą przyszedł dyrektor St. Bednarz, który udostępnił nam bezpłatnie dwa pokoje w części b. sanatorium Czerwonego Krzyża. Oszołomieni wypadkami, nie mając miejsca do pracy, utrzymywaliśmy

kontakt z Zespołem w hallu szatni MDK. Przygotowaliśmy nową pozycję: „Ptaki” Arystofanesa w przekładzie Sandaera. Trudne to były lata, odchodzili z zespołu młodzi, mniej związani, dla których spotkanie się w hallu nie było atrakcyjne, a przywiązanie do teatru zbyt słabe. Ale to nie wszystko. Kolejno odchodzą czołowi aktorzy, Kazimierz Natkaniec, Józef Garlacz, Adam Woźniak, co przerywa nam pracę. W latach 1981—1982 spotykaliśmy się w kawiarniach, planując ratunek naszej działalności, tradycji 140 lat pracy amatorskich teatrów w Zakopanem. Był czas, kiedy się zdawało, że odzyskamy nasze miejsce pracy. Do dnia dzisiejszego, pomimo licznych przyrzeczeń, narad i publikacji nic nie wróży rozsądnego rozwiązania sprawy sali teatralnej i siedziby TMT w „Morskim Oku”. Mówi się o przekazaniu sali w Profilaktycznym Domu Zdrowia dla celów Teatru. Sprawa tej decyzji budzi u ludzi znających przedmiot poważne wątpliwości z kilku zasadniczych powodów.

W latach 1982—1984 Teatr nawiązał kontakt z Państwową Szkołą Muzyczną w Zakopanem. Z udziałem dzieci uczących się muzyki i rytmiki w szkole, wystawiliśmy baśń muzyczną „Czerwony Kapturek”. Graлиśmy ją wielokrotnie odnosząc duże sukcesy. Bardzo liczymy na odnowienie współpracy z zespołami regionalnymi. Zarząd Związku Podhalań z jego prezesem Franciszkiem Bachledą-Księżdzulorzem zawarł porozumienie z naszym teatrem, udostępniając nam Białą Izbę Związku na miejsce spotkań i prób czytanych.

Nad problemem istnienia naszego i przyszłego teatru w Zakopanem warto się jeszcze raz zastanowić. Kluczem otwierającym zagadnienie jest utrzymanie sali „Morskiego Oka” jako sali teatralnej, jako placówki wyższej użyteczności społecznej. Powołajmy Społeczny Komitet Ochrony tego zabytku! Apelujemy o to do wszystkich miłośników Zakopanego.



JULIAN SOKOŁOWSKI (Kraków)

## ENERGIA GEOTERMALNA WIELKĄ SZANSĄ PODHALA

(Fragmenty referatu wygłoszonego na XXXIV Zjeździe Podhalań)

Energią geotermalną nazywa się naturalne ciepło Ziemi, zakumulowane w skałach lub wodach występujących na niezbyt dużych głębokościach, pod pokrywą skał o mniejszej przewodności cieplnej i mniejszej porowatości, a więc tworzących swego rodzaju ekran nad złożem.

Złoża geotermalne, czyli obszary o zwiększonej akumulacji ciepła na niedużych głębokościach, dzieli się na: złoża gorącej wody, złoża przegrzanej pary wodnej i złoża nagrzaných suchych skał.

Złoża gorącej wody mają bardzo różną temperaturę (od 20 do 120°C) i w zależności od wysokości tej temperatury w różnych krajach znajdują zastosowanie: o temperaturze ok. 20°C — w hodowli ryb, o tem-

peraturze 30°C — w basenach kąpielowych i w procesach fermentacyjnych; o temp. 40°C — do ogrzewania gruntów rolnych; o temp. 50°C — w balneologii i hodowli grzybów; o temp. 60°C do ogrzewania szklarni i pomieszczeń gospodarczych; o temp. 70°C—80°C — w chłodnictwie i do ogrzewania budynków mieszkalnych; o temp. 90°C do suszenia pasów ryb; o temp. 100°C — do suszenia materii organicznej, wodorostów morskich, trawy, jarzyn itp., mycia i suszenia wełny owczej; o temp. 110°C—120°C do odparowywania (ewaporacji) różnego typu składników mineralnych (soli, wapnia i innych) oraz użytkowania wody słodkiej.

Ponadto wody artezyjskie, o wysokim ciśnieniu

na wypływie wykorzystywane są do poruszania prądnic i wytwarzania prądu elektrycznego na cele lokalne.

Złoża wód geotermalnych wykorzystywane były w starożytności głównie do celów balneologicznych i rekreacyjnych.

W XIV wieku Maurowie, którzy opanowali Nową Zelandię, adaptowali energię geotermalną do potrzeb domowych. Jeszcze do dziś na Wyspie Północnej w Nowej Zelandii można oglądać rybaków łowiących ryby w zimnych potokach i gotujących złowione ryby w sąsiednich źródłach gorącej wody, kobiety gotujące jarzyny w gorącej wodzie geotermalnej, czy też kąpiące dzieci w cieplej wodzie źródlanej.

Pierwszą elektrownię geotermalną zbudował w 1904 r. ksiądz Piero Ginori Conti w Larderello we Włoszech. Obecnie włoski system połączonych ze sobą elektrowni geotermalnych daje do sieci ok. 400 MW.

Kolejnym krajem, w którym uruchomiono elektrownie geotermalne była Kalifornia. W latach 1960 elektrownie geotermalne zostały też uruchomione w Japonii, ZSRR, Meksyku, Salwadorze, Islandii i Turcji. Przed 1976 r. łączna produkcja z elektrowni geotermalnych świata wynosiła 1362 MW.

W Japonii i Nowej Zelandii zastosowanie wody geotermalnej dla celów grzewczych rozwijało się głównie po linii potrzeb indywidualnych gospodarstw.

Od 1960 r. na szeroką skalę zaczęto stosować ogrzewanie pomieszczeń indywidualnych na Węgrzech i na Kamczatce w ZSRR.

Do celów rolniczych wodę termalną zastosowano po raz pierwszy w 1920 r. w Islandii. Dzięki temu uruchomiono tam duże szklarnie, w których rozpoczęto hodowlę jarzyn, owoców, grzybów, kwiatów, a więc roślin, które w tamtejszym klimacie nigdy nie rosły w warunkach naturalnych.

Dzięki energii geotermalnej znacznie poprawiła się ekonomika kraju i jego zaopatrzenie w żywność. W kraju tym szklarnie ogrzewane energią geotermalną zajmowały 140 000 m<sup>2</sup> powierzchni. W tym samym czasie na Węgrzech powierzchnia szklarni ogrzewanych energią geotermalną wynosiła 1,7 mln m<sup>2</sup>.

Ten sposób wykorzystania energii geotermalnej na szeroką skalę rozwijany jest obecnie w ZSRR, USA, Włoszech, Japonii i Nowej Zelandii. Oprócz ogrzewania szklarni, wody termalne wykorzystywane są na coraz większą skalę w hodowli bydła i trzody, ogrzewania gleby, w inkubatorach do hodowli kurcząt i drobiu.

W Turcji, w pobliżu Ismiru wody geotermalne są stosowane do irygacji pól, w wyniku czego dzięki dostarczeniu odpowiedniej ilości ciepła zbiory są znacznie większe.

Temperatury wód stosowanych do celów rolniczych wynoszą od 20 do 60°C, maksymalnie do 80°C.

Energia geotermalna znajduje także zastosowanie w przemyśle. Po raz pierwszy na szeroką skalę zastosowano ją w latach 1950-tych w Kawerau na Wyspie Północnej Nowej Zelandii w fabryce papieru.

Przedstawiony we fragmentach przegląd różnorodnych zastosowań energii zawartej w wodzie i przegrzanej parze wodnej, przy uwzględnieniu czystości tej energii, wskazuje na ogromne jej znaczenie w przyszłości.

Największą wartością ze względu na łatwość i taniość zastosowań mają wody termalne artezyjskie,

czyli takie, które oprócz zgromadzonego ciepła mają jeszcze dodatkową energię umożliwiającą ich samowypływ na powierzchnię, a często wysoko ponad powierzchnię terenu.

Tego typu wody o temperaturach od 20°C do ponad 82°C i ciśnieniu dochodzącym do 24,5 atm. na wypływie udokumentowane zostały przez geologów Instytutu Geologicznego w niecce podhalańskiej, rozciągającej się między Tatrami a pienińskim pasem skałkowym.

Wody te stanowią więc wielką szansę dla mieszkańców i miłośników tego najpiękniejszego i unikalnego regionu naszego kraju.

Dość różnorodny w swych kształtach zbiornik wodny w utworach wapieni środkowoeuropejskich można aproksymować do równoległościanu o wymiarach: 100 000 m × 10 000 m × 100 m i objętości 100 000 000 000 m<sup>3</sup>.

Objętość wody wypełniającej ten zbiornik przy przyjęciu średniego współczynnika porowatości 10% (w rzeczywistości waha się on od 3 do 17 i więcej procent) wynosi więc 10 000 000 000 m<sup>3</sup>.

Wody tej przy eksploatacji zbiornika 1-szym otworem o wydajności 525 600 m<sup>3</sup> (60 × 24 × 36), starczyłoby na 19 025,8 lat; 10-cioma otworami o łącznej wydajności 5 256 000 m<sup>3</sup> na 1902,5 lat, 100-ma otworami o łącznej wydajności 52 560 000 m<sup>3</sup> na 190 lat.

Dobowe wydobycie z otworu Bańska IG-1, wynoszące 1440 m<sup>3</sup>, odpowiada pod względem kaloryczności 7,2 t. ropy, a więc wartości 1440 dolarów.

Roczne wydobycie wody z otworu Bańska IG-1 wynoszące 525 600 t. odpowiada 2,628 tonom ropy o wartości około 525.600 dolarów.

Po odwierceniu dalszych 10 otworów kosztem wydatkowania ok. 1 mld zł można by wydobywać rocznie: 5.256.000 t. wody, co byłoby równoważne w kaloriach 26.280 t. ropy, a więc 5.256.000 dolarów. Uwzględniając dodatkowo ciepło zawarte w skałach i możliwości odnawiania się energii geotermalnej, zasoby tej energii na Podhalu pokryłyby w całości jego zapotrzebowanie.

Gdybyśmy uwzględnili dodatkowo wody zawarte w utworach mezozoicznych pod niecką podhalańską do głębokości 3.000—3.500 m, to łączna ilość energii wynosiłaby ok. 6 100 000 000 000 000 kcal. (2552,85 × 10<sup>18</sup> J), co odpowiadałoby 610 mln t. ropy naftowej czyli równoważności 122 mld dolarów.

Można by z powodzeniem opracować i zrealizować program całkowitego przestawienia potrzeb energetycznych Podhala na energię geotermalną.

Warunkiem realizacji takiego, a nawet minimalnego, programu wykorzystania wód termalnych Podhala dla celów energetycznych jest zapewnienie powrotu wykorzystanych termicznie wód do zbiornika, z którego zostały wydobyte. Nie można, z uwagi na specyficzną budowę i wyjątkowe znaczenie przyrody Tatr, dopuścić do pomniejszenia zasobów wody w zbiornikach podziemnych Podhala, gdyż w konsekwencji nastąpiłoby odwodnienie Tatr i zniszczenie ich szaty roślinnej. Nie można dopuścić do tego, aby wspaniałe dzieło przyrody i twórczy wysiłek wielu pokoleń geologów uwieńczony odkryciem tak cennego bogactwa, zostały wykorzystane w sposób tylko pozornie oszczędny, polegający na najtańszym wypuszczeniu wód podziemnych do Dunajca i Bałtyku. Zmniejszenie ilości wód podziemnych w tym wspaniałym regionie naszego kraju może spowodować

skutki nie dające się naprawić nie tylko przez nasze, ale także następne pokolenie.

Jak można i należy korzystać z wód termalnych Podhala?

Uwzględniając niektóre przytoczone wyżej przykłady, jako zasadę przyszłej eksploatacji energii geotermalnej na Podhalu musimy przyjąć, że każdy wydobyty ze złoża metr sześcienny wody termalnej, po oddaniu ciepła powinien wrócić do tego samego złoża, tylko w jego bardziej chłodnej i płytszej części. Drobne odstępstwa od tej zasady mogą być brane pod uwagę tylko wówczas, gdy wstępna próbną eksploatacja otworu Bańska IG-1, prowadzona systemem zamkniętym „złoże — odbiorcy — złożo”, wykaże możliwość poprawy zachwianej równowagi hydrogeologicznej w rejonie Zakopanego.

Warunkiem rozpoczęcia próbnej eksploatacji otworu Bańska IG-1 na skalę przemysłową jest wybudowanie rurociągu termicznie izolowanego od otworu Bańska IG-1 do otworu Zakopane-2 oraz urządzeń towarzyszących (głównie pomp), umożliwiających włączanie wody do złoża przez otwór Zakopane-2, po wcześniejszym odbiorze z niej ciepła.

Koszt budowy izolowanego termicznie rurociągu o długości ok. 11 km i średnicy 6" należy traktować jako niezbędny koszt eksperymentu potrzebnego dla opracowania programu optymalnego wykorzystania energii geotermalnej Podhala.

Racjonalność systemu osiągnięta się wówczas, gdy eksploatacja wód nie spowoduje zagrożeń dla przyrody i środowiska ekologicznego. Kompleksowość systemu zostanie osiągnięta wówczas, gdy zostanie wykorzystany cały przedział temperatury wody od 20° do 80°C. Takie wykorzystanie energii geotermalnej będzie możliwe wówczas, gdy woda o wysokiej temperaturze odda najpierw część ciepła odbiorcom dla celów grzewczych, potem ta sama woda, ale już o niższej temperaturze, zostanie wykorzystana do celów balneologicznych, gospodarczych (ogrzewanie obór, podgrzewanie pól, zraszanie gleby), rekreacyjnych (baseny kąpielowe) i hodowli ryb, i ostudzona wróci do tego miejsca złoża, w którym temperatury są podobne do temperatury wody włączanej. W eksperymencie powinny być wypróbowane wszystkie możliwe na Podhalu kierunki wykorzystania energii (a jest ich bardzo dużo) i to w skali laboratoryjnej i półtechnicznej.

Dopiero po uzyskaniu wyników z przeprowadzonego eksperymentu można będzie opracować najbardziej racjonalne kierunki wykorzystania tej energii i przeprowadzić optymalizację rozwiązań technicznych i kosztów.

Dla opracowania takiego programu niezbędne jest uzyskanie z eksperymentu danych dotyczących następujących zagadnień:

- a) zachowania się złoża w czasie jego eksploatacji,
- b) odbioru ciepła przez różnego typu wymienniki,
- c) wytrącanie się substancji mineralnej z wody przy obniżeniu jej ciśnienia i temperatury,
- d) oddziaływanie zawartych w wodzie składników mineralnych na przewody rurowe i urządzenia techniczne związane z eksploatacją wód,
- e) oddziaływanie eksploatacji wód eoceńskich na poziomy wodonośny mezozoiku o znacznie wyższych temperaturach.

Równocześnie z budową rurociągu i prowadzeniem próbnej eksploatacji otworu Bańska IG-1 powinno się opracować i zrealizować projekt badań geologicznych (geofizycznych, geochemicznych, termicznych i wiertniczych) niezbędnych dla szczegółowszego rozpoznania kształtu i formy zbiornika, jego pojemności, warunków przepływu zmian termicznych oraz innych parametrów niezbędnych dla zaprogramowania prawidłowej eksploatacji złoża.

Równoległe z badaniami geologicznymi, zmierzającymi do szczegółowej oceny zasobów energii geotermalnej wszystkich poziomów wodonośnych niecki podhalańskiej, powinny być prowadzone badania technologiczne niezbędne dla pełnego wykorzystania energii zawartej w wodach głębszych Podhala.

Niezbędne jest przygotowanie kadry specjalistów z zakresu: obsługi wierceń geotermalnych i ich eksploatacji, zapobiegania awariom i sposobów ich likwidowania, technologii przesyłu energii geotermalnej, sposobów jej przetwarzania na inne rodzaje energii.

Niezbędne jest również przygotowanie odpowiedniego sprzętu, zaplecza badawczego i techniczno-technologicznego.

Realizacja tych celów wymaga powołania lub wydzielenia w obrębie już istniejących jednostek komórki badawczej oraz przedsiębiorstwa odpowiedzialnego za projektowanie i realizację przedsięwzięć związanych z wykorzystaniem energii geotermalnej na Podhalu.

Przedsiębiorstwo takie stałoby się też miejscem przygotowania kadry specjalistów dla przyszłych przedsiębiorstw odpowiedzialnych za eksploatację energii geotermalnej w innych regionach Polski (np. na Przedsudziu i w Sudetach).

Uświadamiając sobie rangę zagadnienia wyrażającego się możliwością pozyskania na Podhalu energii równoważnej minimum 36-610 mln t. ropy, musimy sobie zdać sprawę z tego, że aby to bogactwo móc racjonalnie wykorzystać, należy się do tego odpowiednio przygotować.

Ta wielka szansa polskiego, pięknego Podhala nie powinna być zmarnowana.





# Genealogia rodów sołtysich na Podhalu \*

„Podhalańskie osadnictwo rodowe” jako dzieło o charakterze popularno-naukowym składa się z siedmiu odrębnych części, które wzajemnie się uzupełniają. Każda z nich zawiera od dwu do czterech tomów. Przewiduje się, że liczba ich wyniesie około 20. Poszczególne tomy liczą od 250—350 stron maszynopisu. Jest to zatem opracowanie obszerne, uwzględniające w sposób kompleksowy procesy osadnicze na Podhalu od zarania dziejów aż po wiek XIX włącznie. Część IV pt. „Podhalańskie rody sołtysie”, obejmująca dwa kolejne tomy (9 i 10) poświęcona jest historii sołectw na Podhalu i rodom, które w świetle nadań królewskich dziedziczyły owe sołectwa. Historię sołectw uzupełniają tablice genealogiczne tych rodów.

Podhale, jak wiadomo, stanowiło za czasów dawnej Rzeczypospolitej dobra królewskie, czyli tzw. królewszczyznę. Dzierżawcami tych dóbr byli dzierżawcy zwani starostami (Ratułdowie, Pieniążkowie, Witowscy, Komorowscy, Zdanowscy i inni). Niektórzy dzierżawcy obok licznych praw i obowiązków posiadali przywilej, czyli prawa, na zakładanie nowych osad kmiecych na „surowym korzeniu” (Pieniążek, Witowski).

W granicach dawnego starostwa nowotarskiego położone były następujące osady: wolne miasto królewskie Nowy Targ oraz wsie: Bańska, Bialka Tatrzańska, Biały Dunajec, Brzegi, Bukowina Tatrzańska, Chochołów, Ciche (Rogoźnik), Czarny Dunajec, Długopole, Dział, Dzianisz, Gliczarów, Groń, Klikuszowa, Kościelisko, Lasek, Leśnica (Sądel), Maruszyna, Międzyczermienne (Godowa), Morawczyzna, Murzasichle, Niwa, Obidowa, Odrowąż, Pieniążkowice (Maciejowice), Podczerwone (Brody), Poronin, Pyzówka, Ratułów, Skrzypne, Stare Bystre, Szaflary, Waksmund, Witów, Wróblówka, Zakopane, Załuczne, Zaskale i Zubsuche. Enklawę stanowiły tu pozostające pod zarządem Cystersów wsi klasztorne: Ludźmierz, Krauszów i Rogoźnik. Razem 43 osady.

W oparciu o nadania i przywileje królewskie i starostów nowotarskich ustalono sołectwa w następujących wsiach: Biały, Białym Dunajcu, Brzegach, Bukowinie, Chochołowie, Cichem, Czarnym Dunajcu, Długopole, Dziale, Dzianisz, Gliczarowie, Groniu, Klikuszowej, Leśnicy, Morawczyźnie, Murze (Murzasichlu), Odrowążu, Pieniążkowicach, Podczerwonym, Pyzówce, Ratułowie, Starym Bystrem, Starym Cle, Szaflarach, Waksmundzie, Wróblówce i Zubie (Zębie) — łącznie 27 osad posiadało sołectwo.

Rody sołtysie Podhala zasługują na szczególne i wnikliwe opracowanie. Sołtysi od zarania swych dziejów pełnili przywódczą rolę wśród rodów kmiecych w walce o wyzwolenie społeczne. Stanowili także najniższy szczebel władzy administracyjnej wsi podhalańskiej. W oparciu o materiały źródłowe stwierdzono liczne zrywy zbrojne przeciw dzierżawcom za ich nadużywanie władzy. Istnieją liczne dowody, że większość tych rodów miała swoje rodowe korzenie zapuszczone i zespolone z rodami szlacheckimi (Niemstowie, Kulowie, Pieniążkowie, Reyowie i inni). Dotyczy to między innymi sołtysów, którzy wywodzą

się z rodu Gallów czyli Kalatów zwanych Szydłami. Obszerne uzasadnienie tego stwierdzenia zawiera materiał źródłowy zamieszczony w części VIII „Podhalańskiego osadnictwa rodowego”. Do Gallów należały w całości polany i hale w Tatrach w XVI w.

Do grupy sołtysów Galskich, zwanych także Kalatami, zaliczyć trzeba:

- a) **Budźów** — z których wywodzili się Nowobilscy, sołtysi białczańscy i bukowińscy — sołtysi w Bukowinie.
- b) **Dudów** — z tych wyszli Bobkowie — sołtysi wróblowińscy, należący do Chraców, dictus Ciepłych (nie mylić z Krózlami).
- c) **Gallów** — z tych początki rodowe wzięli Podczerwińscy (Kistki), sołtysi w Podczerwonym (nie mylić z Lejami d. Waligórskimi), Pietrzykowski (Kistki), — sołtys w Dzianiszu oraz Chochołowscy w Chochołowie (Kluski).
- d) **Kalatów** — z tych wywodzą się Kalatowie, sołtysi w Szaflarach,
- e) **Panków** — zwanych Pańszczykami. Z tych wyszedł cały zastęp rodów sołtysich jak Pawlikowie, alias Pawlikowscy w Białym Dunajcu i Murze, Bafio wie — sołtysi w Gliczarowie, Brzegowscy w Brzegach, Ratułowscy w Ratułowie oraz Waksmundzcy w Waksmundzie.
- f) **Rolów** — jako przodków sołtysów starobystrzańskich, Gadowskich (z Gubałów) oraz cichowiańskich — Miętusów, zwanych także często Czerwińskimi lub Kalatami.
- g) Do grupy Świętków d. Łazarzów — sołtysów Klikuszowskich trzeba zaliczyć:
  - Bielańskich, sołtysów w Odrowążu,
  - Grońskich (Bałazyków) — sołtysów w Groniu,
  - Klikuszowskich d. Czerwińskich — sołtysów w Klikuszowej i Starym Cle.
  - Lejów — sołtysów w Podczerwonym,
  - Pyzowskich (Pyzów) — sołtysów w Pyzówce,
  - Stachów d. Waligórskich — sołtysów w Pieniążkowicach.

Poza wymienionymi rodami sołtysimi pochodzenia szlacheckiego dostrzegamy grupę rodową pochodzenia nieszlacheckiego (c. s. T. 174 p. 2177, 2190, 2195—2203, 2203—2209); byli to sołtysi w Długopole — Długopolscy, w Dziale — Dzielscy, w Leśnicy — Łasiowie, w Morawczyźnie — Morawczyńscy i Króźlowie we Wróblówce. Przedstawiciele tych rodów pełnili często obowiązki wójtowskie i burmistrzowskie (consulowie i subconsulowie) w mieście Nowy Targ. Były to więc mieszczańskie rody wójtowskie, również zamężne jak sołtysie.

Trzecią wielką grupę rodów sołtysich stanowili Słowakowie zwani Holzami czyli Szyjami. Wśród tej grupy rodów są między innymi Bachledowie, Gutowie, Krupowie, Toporowie i inni. Przedstawiciele tych rodów posiadali sołtystwa na terenie dzisiejszego Spisza i Orawy oraz w innych stronach Rzeczypospolitej (zob. część V *Podhalańskie skupiska osadnicze* i VI *Podhalańska emigracja rodowa*).

Polany rozsiane i położone na południu kraju były w licznych przypadkach własnością Polaniarzy. Od Śląska Cieszyńskiego aż po Gorlice, a być może i dalej. Od Tatr na południe i północ można zauważyć liczne osady Podhalań.

Najstarszym sołectwem, które legitymowało się dokumentem królewskim (nadaniem, czyli przywilejem) było sołectwo zwane Antiquum Theloneum (Stare Cło) zwane Mieściskiem. Położone na prawym brzegu rzeki Białego Dunajca. Po dwakroć zniszczone przez Tatarów w 13 stuleciu, jak zapisano w księdze Bractwa Kurkowego parafii św. Katarzyny w Nowym Targu (zapis z końca 16 stulecia). Zapewne w Starym Cłem posiadał sołectwo Czesław Secula (d. Seculus) czyli Kaleta, którego imię i nazwisko zamieszczone jest w najstarszym dokumencie lokacyjnym miasta nazanowego Novum Forum z 1238 r. Sacculus, to oznaczenie trzoska skórzanego na pieniądze, zwanego kaletką. Czyli Czesław nosił nazwisko Kaletka. Stąd można sądzić, że jego ojciec lub dziad zwał się Kaletą (forma niezdrobniła). W 1334 r., dnia 7 miesiąca marca, król Kazimierz Wielki daje przywilej Benedyktowi synowi Henryka, sołtysa ze Starego Cła (Antiquo Theloneo) na założenie wsi, położonej nad wodami Dunajca, która zwać się będzie Waxmunth. Wiemy, że teren, na którym położona była legendarna osada zwana Starym Cłem, zwie się z dawien dawna Czerwonem. Stąd sołtysów z Czerwonego zwano także Czerwińskimi. Wspomniany Benedykt był zapewne wnukiem Czesława Seculusa. Wyprowadził on liczny zastęp sołtysów waksmundzkich, zwanych Kidoniami, czyli Waksmundzkimi. Z nich to wyodrębnił się Kudasowie czyli Kudasikowie, Kurasie i inni. Z sołtysami waksmundzkimi bliskimi niemi pokrewieństwa połączeni byli sołtysi noszący nazwisko Ratułowsy.

Sołtysi z Waksmundu legitymowali się przywilejami swoich monarchów, które w sposób ogólnikowy oznaczały granice sołectwa od dóbr należących do Mszany aż po Tatry. Liczne polany w Gorcach i hale Rostoka i Waksmundzka w Tatrach przynależały do sołectwa waksmundzkiego. W połowie 19 stulecia Waksmundzcy, potomkowie dawnych sołtysów, stanowili najlicniejszą grupę osadniczą w Waksmundzie.

Drugim sołectwem po Waksmundzie, legitymującym się nadaniem króla Kazimierza Wielkiego, było sołectwo szaflarskie. Marcin, sołtys z Szaflar, syn Leopolda, także sołtysa Szaflarskiego, uzyskał przywilej od króla w 1339 r. dnia 14 września, dany w Krakowie. Na ten dokument królewski wiele razy w przyszłości będą się sołtysi Kalatowie powoływać. Jest to dowodem ciągłości rodu. Szaflarscy także byli blisko spokrewnieni (po mieczu) z Czerwińskimi. Świadczą o tym liczne zapisy gruntowe w Nowym Targu i Klikuszowej. Kalatowie mogli się pochwalić, (czyli okazać nadanie) przywilejami nie tylko króla Kazimierza Wielkiego, lecz także Władysława IV (1641), Jana Kazimierza (1652), Jana III Sobieskiego (1676), Augusta II (1697, 1701), Augusta III (1749).

Na podstawie przywilejów królewskich wiemy, że Kalatowie oprócz sołectwa (ról, ogrodów, łąk i lasów około 2 łanów) posiadali polany w Leśnicy, Glejczarowie i Poroninie, a także hale od Doliny Małej Łąki do Doliny Bystrej wraz z górą Giewont, Doliną Strążyką, Kalatówkami, Stawami (hala Gąsienicowa) i Kasprowym. Karczma, młyn i folusz oraz wolne

warzenie piwa i palenie gorzałki wraz z prawem wyszynku uzupełniały dochody sołectwa.

Do sołectwa przypisanych było 4 zagrodników wraz z ich robocizną. Sołtysi z Szaflar prowadzili spór sądowy w połowie 19 stulecia o 3/4 polany Kalatówki, ograniczonej potokiem Bystra Woda i Regłami, z dołu po sam most na Bystrej Wodzie leżący, przez który droga od Bystrego do Kalatówek prowadzi, na której to polanie (Kuznice) śp. Emanuel Homolacz i jego sukcesorowie bezprawnie i bez pozwolenia sołtysów szaflarskich jako prawowitych właścicieli i Zwierzchności Zamkowej piec do topienia rudy, hamry i inne budowle postawili (zob. HGZ-313 p. 72—73). W sporze brało udział kilkunastu współwłaścicieli sołectwa. Niegdyś Hala Gąsienicowa, zwana Stawami, także była własnością sołtysów Szaflarskich. Dziedziczył ją niejaki Antoni Szaflarski rodem z Szaflar, który otrzymał dziedziczną część po swym ojcu Kalecie, sołtysie Szaflarskim, rolę w Czarnym Dunajcu, zwaną Szaflarską i halę Stawy. Tę też halę zamienił z Gąsienicą za Jaworzynę w Dolinie Chochołowskiej. O tych i innych faktach wiemy z testamentu tegoż Antoniego, jaki został sporządzony 24 lipca 1653 r. (zob. Polany Gąsienicowe tom I). Także hale Łuszczakowe, które w 17 stuleciu nabyli Skupniowie, zwane Kopienicami czy też Kopy Królowe i Magóry wraz z Dolinami Jaworzynki, Kasprowej i Goryczkowej, to dobra należące jeszcze w 16 stuleciu do Kalatów.

Tak sołtysi waksmundzcy jak i szaflarscy na przestrzeni stuleci układali swoje stosunki sąsiedzkie z władzami starościńskimi i burmistrzowskimi poprawnie. Nie prowadzili zbrojnych wystąpień, nie o nich nie wiemy z materiałów źródłowych. Urzędowo starali się rozstrzygać liczne spory majątkowe (np. z Homolaczami za pośrednictwem Uznańskich, właścicieli dóbr szaflarskich). Być może o tym zdecydowało bezpośrednio sąsiedztwo z Miastem.

Także sołtysi we wsi Klikuszowej posiadali jedno z najstarszych nadań królewskich. Król Władysław Jagiello utwierdził na sołectwie w tej wsi sołtysa niejakiego Henryka, dając mu sołectwo (za zasługi wojenne dla kraju) wraz z przynależnościami i halami (Smytnia i Ornak). Stało się to w 1389 r. Niejednokrotnie będą się powoływać sołtysi klikuszowscy na to nadanie. Henryk był zapewne potomkiem sołtysów ze Starego Cła. Bowiem o ciągłości rodu świadczy ważność i ciągłość nadań, chociaż sołtysi z tej wsi mieli i nosili na przestrzeni stuleci różne nazwiska: Czerwińscy, Klikuszowscy, Kalatowie, Mientusowie, Piechowie, Puchowie i Zagórdowie; to nazwiska sołtysów klikuszowskich występujące w materiałach źródłowych. Wszystkie te rody miały wspólnych przodków Czerwińskich ze Starego Cła. W 1749 r. król August III zapozwał uczeiwych Wawrzyńca i Jana Czerwińskich, alias Mientusowiczów, przed Sąd Referendarski w sprawie sołectwa klikuszowskiego, do którego pretendowali Soidatymowie (Rusnakowie) (Castr. Sand. 175 s. 1874—1888). Na rozprawie stwierdzono, że „sołtystwo d. wójtostwo w Klikuszowej było fundowane według oryginalnego przywileju danego przez najjaśniejszego króla Władysława Jagiełłę w 1389 r. i na czterech łanach frankońskich zasiadło. Oprócz czterech łanów była karczma, jatki szewskie i rzeźnicze, młyn na rzece Lepietnica, wolne łowienie ryb w tej rzece”. Pod koniec 16 stulecia przyłączono na podstawie przywileju do tegoż so-

lectwa połowę roli Jantalkowskiej i Kubiczowska (Skubiszowska).

O zamożności sołtysów klikuszowskich świadczy sporządzony inwentarz sołectwa w Klikuszowej w 1660 r. (C.S. 132 s. 895—896), który podał Samuel Czerwiński do zapisania w aktach Grodzkich w 12 lat później:

„Budynek, w którym izba z tartego i heblowanego drewna z trzema oknami szklonymi w ołów oprawnymi, w jednym kilka szyb nie masz z okiennicami zasuwany, stół, piec zły, z izby alkierz po schodach, w którym łóżko z pościelą i skrzynia, w której jarcu z pół wiertła. W skrzynce poleć mięsa i sadła. W sieni garniec gorzałczany zlepiony z naczyniem i konwia do zlewania piwa. Piekarnia, w której stół, stolki i kociołków dwa do grzania wody. Kocioł piwny wlepiony w Kotlinie, zaciernica. Ciele jedno, źrebię jedno. W stajni koń jeden, kłacza stara i źrebię we dwóch leciach. Obora, na której krów pięć i jałowego bydła troje po półtora roku, wołów para, drugą parę ze wsi przegnano i tam krów dwie, jedna z cielciem, lecz Jadwiga Woliczka powiada, że to jej, o czym da świadków tamże. Chlewów trzy, na szalacie owce 27, lecz dla choroby odchodzą. W stodole siana potrosze w przychyłku jednym, owsa w snopie kop ze 30. Stodoła druga z przychówkami próżna. Spichlerz za piekarnią po schodach, w którym żyta z półtora wiertła w izbie. Widel żelaznych dwoje, kół wielki żelazny, grzebel dwa do czechrania wełny, zagrodników dwóch, którzy po dniu tylko robią (w tygodniu). Młyn na Lepietnicy zbudował, do którego ma także prawo brat pomnianego Samuela Czerwińskiego”.

Kiedy porównamy późniejsze inwentarze np. Zamku Nowotarskiego z połowy 18 stulecia, to w zabudowie i urządzeniach nie będzie dużej różnicy.

Kultura bytowania promieniowała z Zamków, Grodów i Sołectw do włościan (zwrócić uwagę na szyby, łóżka, stoły, gręple). Jatkki szewskie i rzeźnicze sołtysi klikuszowscy posiadali w mieście Nowym Targu. Z nich wyszły rody Sutorów d. Szewców i Rzeźników d. Szlachciaków czyli Rolów, z których początek biorą Gubałowscy, a z nich Gadowscy, sołtysi starobyrzańscy. Sołtysi klikuszowscy położyli zasługi w obronności kraju. Potwierdzili to monarchowie: Michał Wiśniowiecki, August II, August III (Rel. C.C. t. 179 p. 453—460). Ten ostatni wyraźnie stwierdził, że została przedłożona prośba za uczciwym Samuelem i Szymonem Mientusowiczom alias Czerwińskimi, „których cnota i stateczna ku nam i Rzeczypospolitej wiara, w wojennych okazjach dzielność ich jest nam dobrze znana, zalecano nam i suplikowano, abyśmy owych przy prawie zachowali do wsi Klikuszowej...”

Król Michał w tymże źródle stwierdza zasługi Antecessorów dzisiejszych Czerwińskich, na podstawie listów podpisanych przez wielu rotmistrzów wojskowych w bitwie pod Byczyną 26 stycznia 1588 r., gdzie wstawiał się szczególnie Franciszek Klikuszowski — posesor sołectwa. Przedłożono natenczas królowi Michałowi autentyczne nadania króla Władysława Jagiełły z daty Crac. 1389 oraz Stefana Batorego i Zygmunta III Wazy, co potwierdził własną pieczęcią i podpisem 18 sierpnia 1670 r. w Warszawie.

Ojciec Franciszka Klikuszowskiego, szlachetny Jędrzej Czerwiński sołtys, prowadził rozliczne spory z dzierżawcą nowotarskim szlachetnym Janem Pie-

niążkiem. W 1582 r. szlachetny Jan Klikuszowski, sołtys wsi Klikuszowej, protestował o to, że urodzony Jan Pieniążek zabronił mu mleć zboże ze własnym młynem położonym w Klikuszowej (Rel. Castr. Crac. 8). Także ze szlachetnym Mikołajem Komorowskim, starostą nowotarskim, Czerwińscy prowadzili spory kończące się nawet zbrojnie (Rel. Crac. t. 55).

Podczas lustracji w 1765 r. sołtystwo w Klikuszowej jeszcze istniało w całości. Podzielono je dopiero pod koniec 18 stulecia. Czerwińscy otrzymali wtedy połowę sołtystwa. Druga część należała do Kaletów d. Kaletowiczów, Dziurdzików, Szeligów i Rożenów. Czerwińscy w tym czasie prowadzili długotrwały spór o halę Smytnią i Ornak (Rody Polaniarskie w Kościelisku i Zakopanem). Sołectwo w Starym Bystrem („Wielki Rogoźnik”) należało od jego utworzenia do Gadowskich. Szlachetny Jan Pieniążek, starosta nowotarski, nadał przywilej urodzonemu Jakubowi Rola Gadowskiemu na założenie w lesie surowym nad potokiem Rogoźnikiem, wsi o tej samej nazwie. Działo się to 16 maja 1591 r. w Nowym Targu. W dokumentach czytamy, że Jakub był synem Wojciecha Roli Gadowskiego (Godowo = Międzyzeczewienne), dobrze zasłużonych dla Rzeczypospolitej i Starosty. Dokument określa granicę nowej osady, nazwę, łąn sołtysi, młyn, tracz, karcznię, browar piwa i gorzałki z wolnym szynkowaniem. Także dla ułatwienia zasadzenia wsi naznaczono nowemu sołtysowi tysiąc gotówki, a dla przyspieszenia budowania dodatkowo pięćset złotych. Do sołtystwa dano mu czterech kmieci, którzy robocizną i daniny jemu i jego potomkom świadczyć będą. Ci kmiecie mieli być osadzeni blisko sołtystwa, dwóch z dołu i dwóch z góry. U wierzchu Rogoźnika, alias Bystrego, tamże wolne wyrobienie pól i łąk i używanie lasów. W Tatrach wolne pastwiska były mu przydane dla swobodnego używania. Od daty nadania przez lat 12 osadnicy zwolnieni byli od danin i podatków. Nowy sołtys obligował się do lat 10 osadzić 24 osadników na odrębnych rolach kmiecych (Rel. Crac. t. 152 p. 831). Król Zygmunt III zatwierdził przywilej Jana Pieniążka w 1615 r. (Rel. Castr. 149 p. 1660), określając bliżej dobra w Tatrach leżące: Górę Tomanową, Dolinkę i Smrecizny.

Warto przytoczyć treść testamentu Jędrzeja Gadowskiego, spisane 1 maja 1692 r. (HGZ-281 p. 174—6):

„W imię Ojca i Syna i Ducha św. Amen. Ja Jędrzej Gadowski sołtys Bystrego, będąc chory na ciele, jednak na umyśle moim zdrowy, obawiając się nadejścia niespodziewanie terminu śmierci, poprzedzającej czas ostateczny i wyrokowi boskiemu podległy będąc, takie woli mojej czynię ostatnie rozporządzenie i uwiadomienie. Każdemu z osobna czynię nie omieszkuje. Najprzód Duszę moją Stwórcy Memu i Pannie jego Przenajświętszej ofiaruję, suplikując o miłosierdzie i odpuszczenie grzechów szczerze i zupełnie. Ciało jako z ziemi wyszło, ziemi przy kościele czarnodunajeckim podług obrządku chrześcijańskiego proszę oddać i przystojnie pogrzebać z mszami świętymi i obiadami tak na księży jak i na ubogich sprawić, o to usilnie upraszam, żonę moją Franciszkę jako dziedziczkę całego sołtystwa Bystrzańskiego czynię nic nikomu nie excypując, ani długu żadnego na tym gruncie nie zostawiając. Zupełnie zostawiam i leguję, czyniąc ją zlewam prawa takowe jakie były nam dane od Najjaśniejszych królów Królestwa Polskiego jako i teraźniejszego króla Imci Jana III. Aby podle praw

i przywilejów w zupełności swojej żyła, trwale i spokojnie mieszkała. Tak w sołtystwie Bystrzańskim jako też i w polanach Nowego Bystrego, albo raczej Wierch Nowego Bystrego, które zdawna jest w swym ograniczeniu, jako moi przodkowie trzymali i teraz przez ten testament ponawiam i granicę miejsca krótko wpisać obliługę Wierch Bystrego Nowego. Od Wierchu Batorowa (Tyłki) ciągnie się do Wierchu pod Słodyczkę i tam się na źródle kończy. Na zdłuż zaś między potokiem Bystrym idą z obu stron Wierchy i swoje miedze albo granice prowadząc do granicy wsi Ratułowa co dopiero się zowie Antiqua Wierch Nowego Bystrego, pod którym potok Bystry tak nazwany swoje wyjście ma. Ten tedy Wierch według przywilejów Najjaśniejszych Monarchów, był przodkom moim nadany i obwarowany prawami, które żonie jako dziedzicze i sukcesorce mojego sołtystwa zlecam i daję.

Mając pamięć na synów moich kochanych, których pięciu z łaski Boga pozyskałem. Za tym kochanej małżonki upraszam i przez miłość oną zaklinam, aby dać im ćwiczenia, naukę i sposobność do dalszego życia. Córki trzy, z tych jedna wywianowana. Dwie proszę za mąż przystojnie wydać, wiano i ochędostwo przynależne im opatrzenie wyposażyć obliługę. Ojciem mój nazaczył, abym żonę jego, a macochę moją Katarzynę chcący ze sołtystwa wypłacił, dawszy jej 185 złotych oprócz ruchomości, którą wzięła i wolnym mnie uczyniła..." i tu wyliczenie kilkudziesięciu dłużników...".

Razem u dłużników miał sołtys do odebrania 1326 zł. i groszy 20, płótna półsetków trzy, wołów starych par 9, cielców par 6, baranów 21.

Ciekawie potoczyły się dalsze losy tego sołectwa, które nie sposób omówić w tym miejscu. Zatem odsyłamy czytelników do „Podhalańskiego osadnictwa rodowego”.

## Sołectwo w Czarnym Dunajcu

Sołectwo w Czarnym Dunajcu istniało już na przełomie 15/16 stulecia. W połowie 16 stulecia sołtysem był Tomasz Miętusik s. Miętusa. Wspomniany Tomasz Miętusik alias Miętus był fundatorem kościoła czarnodunajckiego, co odnotowano pod datą 1569 r. Na jego to gruntach postawiono w 38 lat później poświęcony kościół w Czarnym Dunajcu (1608). Kościół ten drewniany uległ zniszczeniu pod koniec 18 stulecia. Na tym samym miejscu wzniesiony został murewany istniejący po dziś dzień. Współ z Tomaszem na kościółłoży znaczne dary Wojciech Łuszczek. Nadmienić trzeba, że kościół stanął na gruntach przynależących do roli Kluskowej. Jest to kolejnym dowodem wspólnego pochodzenia Miętusów i Klusków, z których wyszli sołtysi z Chochołowa zwani Kluskami.

Najstarszy syn Tomasza — Jan Miętus objął sołectwo po swym ojcu, którego na nim utwierdził król Zygmunt III przywilejem danym w Krakowie w 1592 r. dnia 3 miesiąca marca. Drugi syn średni Tomasz, także imieniem Tomasz, został sołtysem cicho-

wiańskim (Rogoźnik). Trzeci syn imieniem Wojciech wstąpił w stan kapłański i nosił nazwisko Mientusowicz. Był obecny przy sporządzaniu testamentu Doroty Pyzowskiej sołtysianki z Pyzówki w 1617 r. (NT-69) jako pleban Rabski.

Po Janie Miętusie sołectwo obejmuje jego syn Klemens Miętus i Sebastian (wnuk Jana). Ostatni z Miętusów Kazimierz (prawuk Tomasza) zwany także Izarnodunajckim, ustąpił z sołtystwa, zwanego Folwarkiem Mientuszowskich, na rzecz Teodora Sulima i Jana Pawęckiego (1669 — przywilej króla Michała Korybuta Wiśniowieckiego). Pawęcki w parę lat później wykupił część folwarczną od Sulimy i stał się dziedzicem całego folwarku. Z czasem folwark przeszedł w posiadanie Dworu Nowotarskiego. Była to jednak jednostka gospodarza nierentowna i jako taka została rozparcelowana i sprzedana. Nabywcami byli w większości kmiecie z Czarnego Dunajca (Castr. Sand. t. 180 str. 1637). Lustratorzy już w 1767 r. wymieniają nabywców tego majątku.

Jak wspomniano potomkowie Tomasza Miętusa z Czarnego Dunajca byli sołtysami Cichowiańskimi. Była to jedna z licznych i ciągłych linii rodów sołtysich na Podhalu. Prężny i liczny to ród po dzień dzisiejszy. Liczne nadania królewskie, pieczędowicie przechowywane przez Miętusów, stanowią o żywej jeszcze tradycji dawnych czasów. Kiedy Rzeczpospolita chyliła się ku upadkowi (lata 50 i 60 — 18 stulecia) sołtysi Cichowiańscy — Miętusowie musieli bronić swego dziedzictwa. Sołectwo usiłowali podstępnie im odebrać Kurdwanowscy. W 1757 r. Kurdwanowscy na mocy fałszywie zdobytego przywileju królewskiego siłą zajęli sołectwo w Cichem. Niemniej, jak to opisał świadek (podanie przez Kurdwanowskich C. S. 174 p. 2134—2138), Mientusowie zdołali odbić swoją ojczynę. Między innymi czytamy w księgach grodzkich... „przywilej czytał po łacinie góral sąsiad co ją umiał, potem zwerbowałszy i całego starostę gromady z różnym orężem, to jest cepami, widłami, pałkami, żerdziami zaciosanymi, z bębniami przeszło na 4000 góralstwa, zwerbowanymi w 8 godzin...”.

Podobnie bronili sołectwa Chochołowscy. Sołtysi z Białki w 1652 r. 3 czerwca dochodzili na drodze zbrojnej swych krzywd. 100 konnych i 200 pieszych pod wodzą sołtysa Wojciecha Nowobilskiego najechało na dwór w Maniowach i uprowadziło 48 krów, wyrównując po części swe krzywdy.

Także powstanie Aleksandra Kostki Napierskiego, jakie miało miejsce w 1651 r. w świetle dostępnych materiałów źródłowych trzeba tłumaczyć nieco inaczej niż się to oficjalnie podaje.

Sołtysi Podhalańscy, a szczególnie Mientusowie i Kalatowie, położyli ogromne zasługi w rozwoju górnictwa i hutnictwa w Tatrach (Dolina Kościeliska i Chochołowska).

Na zakończenie krótkiego wystąpienia poświęconego rodowi sołtysim przepraszam za pominięcie niektórych rodów w tym referacie. Wszystkie one jednak mają należne swe miejsce w odrębnej części „Podhalańskiego osadnictwa rodowego”.

\*) Referat wygłoszony na XXXIV Zjeździe Podhalań.





## W N U K

W tym przypadku słowo „wnuk” trzy razy odmienia się w swoim znaczeniu. Raz jest to potomek brata Jana Krzeptowskiego-Sabały po kądzieli, a więc „późny wnuk” najstawniejszego górala. Drugi raz trzeba to słowo napisać z dużej litery, przydając mu jeszcze arcystawiańskie imię Włodzimierz i w dalszym ciągu niczego już dodawać nie trzeba. Ale jest i trzecia odmiana. „Haw we wnuku mi to siedzi” — mówi Sabała tak, jak Papież, gdy „we wnuku” czyli *in pecto*, *we wnętrzu*, *w sercu*, w serdecznym utajeniu mianuje nowego kardynała. „We wnuku”, a nie — jak się później przyjęło — „wnuku”, skrótowo i bezpotrzebnie.

Nam też we wnuku siedzi Wnuk, Włodzimierz właśnie Wnuk, jako że w maju tego roku ukończył siedemdziesiąty rok życia. Tak więc jeszcze jeden ze znamieniem siódmego krzyżyka spośród Zespołu „Podhalańki” chwali się na tych łamach swoją młodością, bo trudno dać wiarę metryce Jubilata. Mimo lat wojny naznaczonych hitlerowskimi obozami, ten Jeden z nas postawą i młodym obliczem śmieje się do świata, garnie się do ludzi.

Książkami garnie się do nas, książkami z miłością do Podhala i wiedzą o Podhalu. W świat się wypuścił z gniazda na Nawsiu, czyli z samego „wnuka” Zakopanego, z ulicy Kościeliskiej, ze słynnej karczmy Wnuków. Nie, młodzi nasi synowie i wnukowie współcześni, karczma nie zawsze w bogatym pejzażu polskiego życia przywodziła na pamięć wódkę, awantury i zapijanie się na umór. Owszem, to była izba, w której odbywały się spotkania znajomych ze znajomymi i nieznanymi, posiadały miłe i sąsiedzkie, czasem narady i wymiana wieści, myśli, czasem też miejsce zajazdu i noclegu. Związkowa myśl podhalańska rodziła się właśnie na Nawsiu w karczmie u Wnuka w czasie spotkań gazdów, pogwarek i ślebotnych myśli. Nie ma potrzeby — idąc za smutnym zwyczajem teraźniejszego czasu — utożsamiać karczmy z alkoholem.

Godne i miłe, życzliwości pełne a także uśmiechu i góralskiej radości miejsce bywania Włódkowej młodości. Stąd zapewne tyle pogody w jego książkach o górach i góralach i tyle prawdy o dawnym czasie „snurecka” nad Cichą Wodą. Jest Włodzimierz Wnuk znakomitą kronikarzem góralskiej współczesności, tej po obu stronach Wielkiej Wody: tu, u nas, i tam u nich, u naszych w Chicago i całej wielkiej Ameryce. Przypomina nam to na co dzień Jego „Walka podziemna na szczytach”, „Moje Podhale”, „Ku Tatrom”, czy wreszcie książka, bez której trudno się obejść: „Na góralską nutę”. Także niedawno wydane „Obrazki zakopiańskie”. Przypomni nam to w niedługim czasie książka „Górale za Wielką Wodą”.

Za te przede wszystkim owoce Twojej trudnej, rzetelnej pracy, dziękujemy Ci, Włódku. A nasze podhalańskie regały czekają na dalsze tomy Wnuka, które zostaną nam we wnuku, w rozumie i sercu. Ad multos annos, Bracie z życiodajnego Nawsia, albo najlepiej po staroświecku, po naskiemu: witoj-ze ku nom, teroz i wse! (tst)



Włodkowi Wnukowi

## ZIMA W ZAKOPANEM

W kopalni śniegu fedrują potoki,  
Góry do góry nogami żeglują,  
Na maszt Giewontu napięte obłoki  
Na strzępy drą się, prują i pękają.

Wiatr wyostrzony jak fryzjerska brzytwa  
Goli półgębki namydłone szronem.  
Skrzypią na śniegu narcziarskie buciska  
Niczym zawiasy nie naoliwione.

Zajadły podmuch urwał się ze smyczy,  
Kręci ogonem wokół własnej osi,  
Zagląda babom pod rondo spódnicy,  
Błądnym poetom nogawki tarmosi.

Koń dorożkarski sam jeździ na trasie,  
Bo gazdę w knajpie więzi jatoweówka —  
Na podwyższonej taryfie koń zna się:  
Ćwiartka od łebka, a litr od półgłówka.  
Koń ze łba strząsa srebrzyste dzwoneczki  
I sam się pogania własnym ogonem,  
Raz po raz w biegu zagląda do sieczki  
I krzepko prycha na obydwie strony.

Gospoda Wnuka, stojąca na bakier,  
Na przekór zbożnej Kościelnej ulicy,  
Podstawia nogi furmanom i saniom,  
Gazdom i ceprom w kozuchy spowitym.  
Chichoczą owce w Gospodzie u Wnuka,  
Podpity jelen bije rogiem w lustro,  
Ktoś odcisnął na szybie, zamiast kciuka,  
Aż nieprzyzwoicie karminowe usta.

A owce w futrach z foki w „Watrze” siedzą,  
Cap utyłany w śniegu koniak sączy,  
Pingwiny w białych muszkach gości śledzą,  
Noszą zakąski i dania gorące,  
W szklance herbaty hebanowo-złotej  
Zamiast cytryny — kotyże się stońce  
I strzela błyskiem, gdy chmurki przelotne  
Z nieba lusterkiem puszczejają zajęczki.



Pijany góral wziął ścieżkę w ramiona  
I klucząc — miota nią na wszystkie strony,  
Ścieżka się płotem zastania raz po raz,  
A na zakręcie urwiskiem się broni.

Zajęczy ślad się urwał nad potokiem —  
Czyżby więc zajęc pofrunął stąd w górę?  
Zadzierasz głowę i szukasz go wzrokiem:  
Zwisa pod orlim skrzydłem i pazurem.

Wytresowanej ciupagi stal śmiga,  
Błysnęła, zgasła, spłynęła czerwienią,  
Czarny kapelusz, jak wielki teb grzyba,  
Sfrunął na orlim piórku ku kamieniom.  
Śnieg zawiął ślady, noc spuszcza zasłone:  
Kto — gdzie — i kiedy? — Szukaj wiatru w puszczy!  
Nad orlim piórkiem tańczą czarne wrony  
I z kapelusza wydziobują muszle...  
Lawina zwija w siebie jak w naleśnik  
Cepra, co schodził na śnieżną porębę — —  
Pisali o nim, że zginął bez wieści,  
A on tymczasem krukom na konserwę.

Fotograf wiedzie na długim łańcuchu  
Misia, co zwąchał żubrówkę na eksport —  
Bałwan zlepiony ze śnieżnego puchu  
Śmieje się do nich czerwona marchewką.

Zza ciemnej chmury wyjrzał krąg świetlisty  
I nie wiadomo: czy księżyc wychynął,  
Czy też może pan Kornel Makuszyński  
W grzecznym ukłonie odstonił tysinę?



ZOFIA ROJ-MROZICKA (Zakopane)

## PO ŚTYRY

Kielo we wnuku nie licom  
moze być i po styry  
dyć do głowy niyto nie zaziero

A na sobie  
po styry złote obrącki  
po styry w piestrzonkach korole  
po styry złote łańcuski  
po styry pod brodom wole  
po styry koła kulcyki  
bimbajom koło syje  
po styry złote zymby  
nie wiem cy wtoro myje

Jakie tyz to zywobycie  
co ceka widzom  
ino po piestrzonkach

# GAZDOSTWO PODHALAN W CHICAGO

Chicago, liczące około 4 miliony ludności, to kolos przemysłowy świata, miasto gigantycznych budowli oraz małych przyziemnych domów, podzielony bezkresną dałą szachownicy ulic łączących się z arteriami długodystansowych dróg biegnących przez całą Amerykę, którymi przepływają falą rzeki samochodów. Nad ziemią i pod ziemią stukają o szyny pociągi. Wysoko niebem suną grzmiące olbrzymy pasażerskich samolotów, odlatujących i przylatujących co minutę do Chicago, które tonie w zieleni wód wielkiego jeziora Michigan, rzecznych kanałów oraz parków, skwerów i trawników. W takiej to właśnie oprawie, w części południowej miasta — przy ulicy 4808 South Archer Ave, na skrawku ziemi 1400 stóp kwadratowych, stoi okazały budynek o niespotykanej w Chicago formie architektonicznej stylu podhalańskiego. Jak na Podhalu, błyszcząc złotem drewnianych fragmentów obudowy i kamiennym murem, mocno przywarty do betonu ulicznego — jak turnia tatrzańska sterczy ku niebu nad amerykańską ziemią.

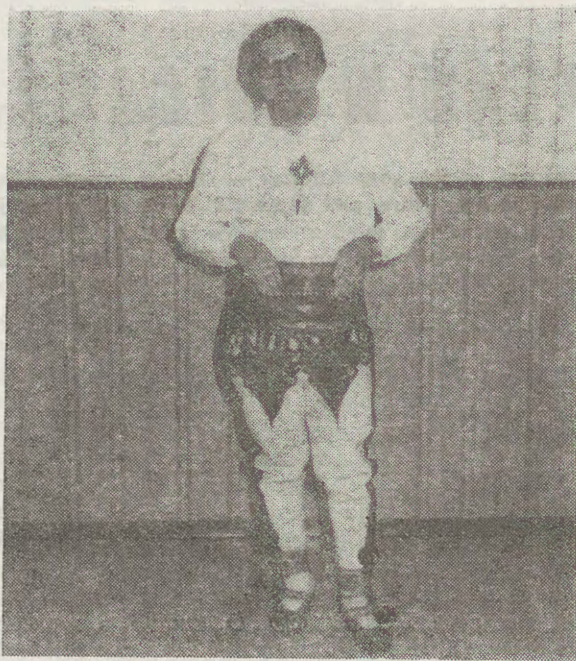
Wnętrze Domu Podhalan, to góralska izba, o jasnych heblowanych deskach z tzw. tradycyjnym sosrębem u sufitu, który łącznie z częścią barową izby — rzeźbami tatrzańskich ornamentów ozdobił art. Stanisław Kukuc. Całość izby jest udekorowana artystycznymi pracami ręcznymi o motywach przyrody Podtatrza. Ptaki, zwierzęta, postacie górali zadziwiają przybysza amerykańskiego nieznanym tutaj pięknem ludowej kultury Podhala. Prócz dobrze wy-

sażonej części gospodarczej — kuchni, magazynów, chłodni oraz biura, pod dachem Domu Podhalan znajdują się: mała sala, mieszcząca od 150—200 osób, oraz sala duża ze sceną; ta ostatnia może pomieścić 800 osób i urządzona została na potrzeby widowisk, bankietów, przyjęć, zebrań i zabaw — z różnych okazji.

Od zewnątrz budynku po schodach przechodzi się do górnej części Domu, tzw. piętra, gdzie mieszczą się dwie sale oraz biblioteka. Do wnętrza Domu Podhalan można zaglądnąć przez niskie, stylowe, typowe podhalańskie okna. Okna te przybrane białą firanek, wyszywanych ręcznie przez członkinie Zw. Podhalan, wprowadzają zagląającego w zupełnie inny świat, który stworzyli sobie polscy Górale z pragnień i tęsknoty do Ziemi Podhalańskiej. Pamięć o niej i miłowanie przywieźli przecież aż za Ocean, gdzie je zachowują poprzez utrzymywanie swych pięknych tradycji w stroju, tańcu i muzyce. Do tej małej krainy Podhalan, którą jest właśnie Dom Podhalański, otwierają się boczne drzwi oraz dwie główne bramy, zmontowane przez znanego stolarza, Hon. Prezesa ZP w PA Józefa Króźla — drzwi artystycznej roboty inż. Jana Jachymiaka, jednego z tych zbójników „co se poseł w daleki świat szukać ślebotnych chodników”. I wraz z inż. Janem Słodyczką, inż. Andrzejem Kotelnickim, Kazimierzem Truchanem, Stanisławem Suheckim i wielu utalentowanymi budowniczymi — na czele z architektem inż. Zygmuntem Lat-



Zarząd Główny Związku Podhalan w Ameryce Północnej na kadencję 1984 do 1987, wybrany na XIX Sejmie Podhalan w Chicago. (Ze zbiorów Zofii Bukowskiej).



Inż. Andrzej Czyszczoń rodem z Rdzawki, Prezes Związku Podhalan w Ameryce Północnej.  
(Ze zbiorów Zofii Bukowskiej).

ką, który podjął się wykonać plany tej osobliwej architektonicznie budowy — rzucili Podhalanie w Amerykę kociołek ze skarbem polskiej ludowej kultury z rodzimego Podhala, w ornamentyce i budownictwie.

Właścicielami Domu Podhalan są członkowie Związku Podhalan w Północnej Ameryce, organizacji istniejącej od ponad 50 lat, wybitnie regionalnej i jedynej z polskich związków, utrzymującej tak żywo swój folklor. Organizacja ta skupia w sobie około 2000 Podhalan i jest kierowana przez Zarząd Główny oraz Dyрекcję, złożoną z przedstawicieli 35-ciu poszczególnych Kół, których nazwy są ściśle związane z Podhalem. Przeważnie noszą one imiona miejscowości podhalańskich lub ludzi zasłużonych dla podhala. Budowę nowego Domu Podhalan planowano już od wielu lat, kiedy to w organizacji zaczęło przybywać Kół. W 1975 r. zorganizowano Komitet Budowy Nowego Domu, w skład którego wchodził: ks. Tadeusz

Wincenciak, gen. sekr. Helena Trunko, Wanda Króżeł, Andrzej Ciszek. Prawie wszyscy z wymienionych, działając organizacyjnie, doczekali się nowego Domu Podhalańskiego, który jest nie tylko obszerny, ale i komfortem dostosowany do potrzeb całej społeczności.

Należy zaznaczyć, iż w sprawie budowy nowego Domu Podhalańskiego w Chicago administracyjnie niewątpliwie duże znaczenie odegrała jedność podjętych decyzji Zarządu Głównego, Dyrekcji i Kół Związku Podhalan w Północnej Ameryce w latach 1981—1984 r. w okresie kadencji od 18 do 19 Sejmu Związku Podhalan, kiedy to skorzystano z nadzwyczajnej oferty fabryki Central Seel, która za stary Dom Podhalański zaoferowała wysoką sumę, bo aż 270 tysięcy dolarów. Fakt ten zadecydował o zakupie obiektu pod nowy Dom Podhalan za cenę 350 tysięcy dolarów. Tak więc do tej niebagatelnej sumy 270 tysięcy dolarów ze sprzedaży starego Domu Podhalańskiego, która wypracowana została przez Podhalan starszego pokolenia, olbrzymi wkład dołożyły Koła Związku Podhalan, ofiarując duże sumy pożyczek oraz bezwrotnych darowizn. Z pomocą spieszyły rodziny podhalańskie i indywidualne osoby. W ciężkich początkowych chwilach górale-handlowcy dawali kredyty, np. Franciszek Bobak gwarantował u kontraktora kredyty na zakup materiałów służących do budowy. Były rozpowszechniane również tzw. cegiełki imienne na cele budowy nowego Domu Podhalańskiego, które Podhalanie spontanicznie wykupowali. Ponadto wielu Podhalan — kobiety, mężczyźni oraz młodzież — wykonywali bezpłatnie różne prace przy budowie. Należy wspomnieć, iż z dużą pomocą finansową dla Podhalan pośpieszyły osoby indywidualne, organizacje oraz właściciele przedsiębiorstw, tak ze środowiska polonijnego, jak również amerykańskiego. Z jakim zapałem Podhalanie budowali swój Dom, świadczy fakt, iż po zakupie w lipcu 1982 r. wielkich hal handlowych po firmie Volkswagen, jesienią 1983 r. obiekt ten był już przebudowany na Dom Podhalan i w jego salach odbyło się pierwsze wesele góralskie. W listopadzie miał miejsce I Folklorystyczny Przegląd Zespołów i Kapel Ludowych, w grudniu br. widowisko góralskie, które na scenie wystawił zespół regionalny „Witowianie” z Polski, przebywający z gościnnymi występami w Ameryce. W maju 1984 r. Związek Podhalan w Północnej Ameryce obchodził uroczystość poświęcenia



Muzyka dziecięca ze Szkółki przy Związku Podhalan w Chicago, 1984 r.  
(Ze zbiorów Zofii Bukowskiej).



i oficjalnego otwarcia nowego Domu, który służy organizacji, wszystkim Podhalanom i całemu społeczeństwu miasta Chicago. Niewątpliwie wielkie zadanie spoczęło na barkach Zarządu Głównego, wybranego w czasie 19 Sejmu Związku Podhalan w PA, polegające na spłaceniu zaległych kosztów budowy i utrzymaniu nowego Domu Podhalan. Na czele z prezesem inż. Andrzejem Czyszczoniem członkowie Zarządu Głównego pracują z oddaniem dla dobra wspólnego majątku tej podhalańskiej organizacji, przekraczającego obecnie 2,5 milionów dolarów.

### Cele i zadania Związku Podhalan w Północnej Ameryce

Zadaniem tej podhalańskiej organizacji jest zachowanie regionalnego charakteru Domu Podhalan oraz jego udostępnienie na potrzeby całego społeczeństwa. Właściwym temu celowi jest powołanie do życia regionalnej imprezy już w pierwszych chwilach działalności Domu Podhalańskiego, bo w roku 1983. Organizowana ona jest jesienią każdego roku pod nazwą Przeglądu Folklorystycznego. Imprezę tę pod nadzorem Zarządu Głównego prowadzi Komitet z Andrzejem Pitoniem — wiceprezesem ZP w PA, jako przewodniczącym na czele. Od 1985 r. Komitet ten pragnie nadać imprezie formę festiwalu na wzór Festiwalu Jesieni Tatrzańskiej na Podhalu w Polsce. Ponadto Komitet organizacyjny pragnie rozpowszechnić tę folklorystyczną imprezę wśród społeczeństwa, zapraszając zespoły regionalne innych narodowości. W gazdostwie Podhalan w czasie trwania festiwalu przez dwa do trzech dni odbywają się wystawy i sprzedaż artystycznych prac: rzeźby, malarstwa, haftu i wszelkich wyrobów rękodzielniczych, łącznie z podhalań-

ską kuchnią i produktami kulinarnymi. Od 19 Sejmu 1984 r. wprowadzone zostały tradycyjne Posiady Góralskie. Od jesieni do późnej wiosny na scenie Domu Podhalańskiego odbywają się przedstawienia i różne widowiska odzwierciedlające w tradycji i obyczaju życie na Podhalu. Przy Kołach ZP w PA działają zespoły: Harnasie, Hyrni, Krywań, Śleboda, a przy Zarządzie Głównym zespół młodzieżowy i dziecięcy oraz szkółki tańca i pieśni. Wielką rolę odgrywają muzykanci; są oni duchem sprawy góralskiej w Ameryce. Wszystkie podane powyżej fakty odbiegają daleko od trybu życia, które prowadzą na co dzień Podhalanie w tym wielkim przemysłowym mieście i innym kraju, pośród zbiorowiska różnych narodowości. Toteż śmiało można napisać, że Podhalanie miłują swoje tradycje regionalnego dziedzictwa, które z dala od krainy tatrzańskich szczytów, są dla nich tą siłą trwania. Dlatego właśnie Podhalanie stworzyli sobie drugie po Polsce za Oceanem amerykańskie Podhale, z własnym gazdostwem, na wskroś góralskim Domem w Chicago przy Związku Podhalan w Północnej Ameryce.



Ks. JÓZEF TISCHNER (Kraków)

# ZWIERCIADŁO ŻYCIA

Zatrzymajmy przez chwilę uwagę przy tym słowie: życie. Jaka treść kryje się poza tym słowem? Jakie krajobrazy przywodzi nam przed oczy? Kolorowe łąki, falujące zbożem pola, ptaki w powietrzu, pasące się na polanach zwierzęta... Życie człowieka na tym świecie zaczyna się jakimś początkiem, urodzinami, biegnie przez lata dziecięce i młodzieńcze, chyli ku starości i kończy śmiercią. Jest dramatem pełnym tajemnic. Stawia ono człowieka przed jednym podstawowym pytaniem: co człowiek ma robić, by swego życia nie zmarnować? Tylko człowiek staje przed tym pytaniem. I dlatego tylko człowiek stwarza kulturę, która odbija życie i w jakiś sposób je usprawiedliwia. Dzięki kulturze człowiek ma możliwość zrozumienia swego życia. Dotyczy to zwłaszcza kultury ludowej, kultury ludzi, którzy przez cały swój sposób bycia są szczególnie bliscy życiu.

Chciałbym dziś spojrzeć na tajemnicę życia poprzez pieśń ludzi gór. Pieśń ta jest bowiem jedną wielką

pieśnią życia. Daje ona sobie właściwe świadectwo temu doświadczeniu życia, które zaistniało gdzieś w tych okolicach. Życie to żywioł, który nie daje się zamknąć płotami zbitymi z abstrakcji. Nie daje się również opisać metodami geografii, obserwującej świat od jego zewnętrznej strony. Jedynie co można i co trzeba, to — wyśpiewać życie. Ale wtedy śpiew, który wyraża życie, sam staje się częścią życia. Z takim zjawiskiem mamy właśnie do czynienia w przypadku góralskiej pieśni.

Odkryli to już dawno S. Goszczyński i K. Tetmajer. Pisał Goszczyński: „Lud prosty wierzy w to, co tworzy, nie igra ze swoim utworem, ze swoją sztuką, nie rozkoszuje się nią, ale skoro wchodzi na jej pole, to z potrzeby poważnej, dla celu poważnego... Jeśli pieśń ludu tęskni, skarży się, narzeka, boleje, cierpi, to był ktoś dotknięty istotnym nieszczęściem, przyćmiony szczerym smutkiem, obarczony cierpieniem, a tak rzeczywiście i silnie, że musiał nadmiar stanu wewnętrznego wylać na zewnątrz w pieśń”. Pisze

K. Tetmajer: „To, co Goszczyński pisze o pieśni ludowej, to czuje każdy, kto ją słyszał, kogo obchodzi ta pieśń. Tam żadne słowo nie jest położone na próżno, bo wszystko było potrzebne u ludzi, którzy nie mają potrzeb zbytkowych!... Lud przechował pieśń w dosłownym tego wyrazu znaczeniu. Nie ma u niego poezji deklamacyjnej, która się nazywa pieśnią, jest tylko pieśń istotna, śpiewana. A pieśń ta, jak to Goszczyński zauważył, łączy się z życiem, jest nim”.  
(*Na Skalnym Podhalu, wstęp*)

Życie ludzkie jest dramatem utkanym z przeżyć granicznych, doświadczeń węzłowych, wydarzeń, które niczym skrzyżowania dróg rozstrzygają o jego biegu. Takie właśnie doświadczenia okazują się szczególnie ważne dla sztuki i całej kultury życia. W nich bowiem ukazuje się, a może nawet i tworzy — prawda człowieka. Jakież są te węzłowe doświadczenia życia, o których śpiewa góralska pieśń? Zwrócę uwagę na następujące: doświadczenie wolności, przywiązanie do rodzinnego gniazda, miłość i śmierć oraz całkiem krótko — przeżycie modlitwy. Pieśń o węzłowych doświadczeniach życia przechowuje swoistą filozofię życia. Wyraża ją w krótkich czterowierszach, w których „żadne słowo nie jest położone na próżno”. Rytm tych pieśni jakby naśladuje rytm życia. Można powiedzieć, że mamy tu do czynienia ze śpiewanymi aforyzmami, co jest o tyle znamienne, że nie kto inny, lecz właśnie sam F. Nietzsche — wielki filozof życia — uznał aforyzm, zwłaszcza śpiewany, za najwłaściwszą formę wysławiania życiowego pulsu, który nie daje się objąć systemem.

I. WOLNOŚĆ. Wiemy, że okolice gór zamieszkiwali od dawna ludzie wolni, bezpośredni poddani króla, którzy nie znali więzów poddaństwa. Poza tym przybywali tu uciekinierzy z rozmaitych stron świata, którzy tych więzów zaznać nie chcieli. Sam zresztą widok górskich przestrzeni nastrajał do wolności. Nic więc dziwnego, że wolność stała się synonimem góralskiego sposobu bycia. Nie mogło to nie znaleźć swego wyrazu w góralskiej pieśni o życiu. Ale, czym jest wolność? Czym jest opiewana ślebo-da? Czy tylko szczęściem, czy może też nieszczęściem człowieka? Posłuchajmy:

*Hej, wolny jo chłopiec wolny,  
Wolny jako ptoszek polny.  
Hej, jo na swobodzie  
Jak rybka we wodzie...*

W tej pieśni, rzecz znamienita, nie mówi się „mam wolność”. Mówi się „Jestem wolny”. Różnica między „być” a „mieć” jest różnicą zasadniczą. To, co się ma, można stracić i można odzyskać, ale tego, kim się jest, ani stracić, ani odzyskać nie można. Aby odebrać wolność temu, kto jest wolny, trzeba go uśmiercić. Ale znaczy to, że ten, kto jest wolny, nie podlega zniewoleniu; zniewalać można jedynie tych, co „mają” wolność. Czy to przypadek, że nieznanemu poecie użył tu słowa „jestem”? Trudno na to pytanie dać dziś odpowiedź. Jest jednak prawda, że mówiąc tak, dał wyraz takiemu samemu doświadczeniu wolności, jakie na gruncie filozofii zawdzięczamy przede wszystkim Heglowi. Hegel pisał: „Musimy powiedzieć, że jak substancją materii jest ciężar, tak substancją, istotą ducha jest wolność;... filozofia uczy, że wszystkie właściwości ducha istnieją tylko dzięki wolności, są tylko środkiem do wolności, wszystkie jej tylko poszukują i ją wytwarzają... jedynym prawdziwym znamieniem ducha jest wolność” (Wykłady

z filozofii dziejów, s. 26). Sprawa ma także polityczny aspekt. Hegel jest głęboko przekonany, że wyzoleniu mogą podlegać jedynie te ludy, które są przekonane, że są wolne, natomiast te, które sądzą, że jedynie mają wolność, nigdy nie będą naprawdę wolne.

Wolność jest wieczna, wolność nigdy nie umiera. I właśnie dlatego, że wolność jest wieczna, wieczna jest pieśń o wolności:

*Zatonie, zatonie, piórecko na wodzie  
Ale nie zaniknie nuta o ślebobdzie*

O wolności opowiadają także pieśni poświęcone Janosikowi. Jedna z nich oplakuje śmierć zbójnika, oddając mu zarazem hołd najgłębszy. Za co ten hołd? Nie za to, że był dobrodziejem ubogich, albo za dokonane czyny męstwa, ale za to, że był żywym znakiem wolności. Wraz ze śmiercią Janosika „gaśnie na górach ślebo-da”.

*Kie Janicka wiedli od Lewoce  
Zapłakały turnie i uboce  
Janicku, zbójnicku!  
Gaśnie na górach ślebo-da!  
A dolinom płynom tzy jak woda.*

Wolność ma również drugie oblicze: jest zagrożeniem dla wierności. Kto jest wolny, może być niewierny. Nie ma takiej siły, która by mogła skrepować jego serce i jego duszę. On wymyka się zarówno przemocy, jak tęsknocie. Gdy dziewczyna płacze nad wolnością tego, kogo wybrało jej serce, to w jej łzach wyraża się zarazem ta druga, tragiczna prawda o wolności. Posłuchajmy:

*On: Ej, kany sie wywine  
Kany sie obróce,  
To jedne pociese  
A drugóm zasmuce*  
*Ona: Kochałaś cie chłopce  
Kochałaś, kochałaś  
Lepiej by mi było  
Cobyk cie nie znała*  
*Razem: Skoda chłopce tobie  
Skoda dziyuwe i mnie  
Co se uradzimy  
Sytko nadarymnie*

Ale sprawa wierności okazuje się głębsza. To prawda, że tylko wolni mogą zdradzać, ale prawdą jest również, że tylko wolni mogą być naprawdę wierni. Wolność jest bowiem zarazem mocą, dzięki której człowiek przyswaja sobie obowiązek. Przychodzi chwila, gdy wolność dopełnia się poczuciem swobodnie przyjętego obowiązku. Piórko od kapelusza znika w skrzyni. Zaczyna się życie rodzinne, do którego wkracza się przez próby najświętszej przysięgi. Jeszcze wczoraj śleobodny człowiek, może teraz powiedzieć: „Zawdy wyrchowol nie bees, ale coś uwyrchowol, to twoje”.

II. GNIAZDO. To jakiś paradoks: śleobodny bohater góralskiej pieśni wykazuje zarazem niezwykle głębokie przywiązanie do miejsca, które jest jego rodzinnym gniazdem. Gniazdem górala są góry. Więz górala z górami wymaga szczególnej uwagi. Posłuchajmy:

*Góry nase góry  
Ckliwo mi za wami  
Bo jo od malučka  
Naucony z wami*

Giewoncie, Giewoncie  
Ej, ty wysoki scygie  
Jo se pod Giewontem  
Skóńcym swoje zycie

Aby uchwycić istotę więzi, o którą nam chodzi, trzeba uwzględnić jeszcze inne słowa:

Jaworze, jaworze  
Liścia syrokiego  
Ni móm do kochania  
Scęścia nijakiego

Smutno kamieniowi  
Co nad wodom wisi  
Smutno cłowiekowi  
Kie poniechać musi

Czym jest jawor dla zasmuczonej dziewczyny? Czym jest kamień nad wodą wiszący dla człowieka, którego prąd życia porywa gdzieś w inne przestrzenie? Jawor i kamień, a więc drzewo i rzecz, są czymś więcej niż drewnem i rzeczą — są powiernikami ich najgłębszych tajemnic. Bohaterowie tych pieśni prowadzą rozmowy z rzeczami, jak z najlepszymi przyjaciółmi. Jawor słucha i kamień słucha. Jawor i kamień potrafią zrozumieć. Gdy jawor przyjmie w siebie smutek człowieka, stanie się coś cudownego — sam zacznie tym smutkiem pobrzmiwać. Gęśle zrobione z takiego jawora będą gęslami z ludzką duszą. Kamień podobnie. Będzie nie tylko znakiem rozstania, ale także drogowskazem zawsze możliwego powrotu.

Jeszcze jeden przykład sprawy powiernictwa — pieśń do Krywania. Jest to wielka pieśń rozpacz. Ale rozpacz nie zabija człowieka. Człowiek pokonując nadzieją rozpacz rośnie w siłę — siłę równą kamieniom Krywania:

Krywaniu, Krywaniu,  
wysoki,  
Idom, płynom nad tobą  
obłoki,  
A mojemu będzie zol kochaniu  
Ej, Krywaniu, wysoki Krywaniu

Krywaniu, Krywaniu,  
wysoki,  
Idom, płynom spod tobie  
potoki  
Tak sie lejom moje istry jak one  
Ej, istry moje, istry nie zaplacone

Nie tylko nieszczęśliwi powierzają swe dusze górcom. Robią to również szczęśliwi. A nawet więcej, robią to wszyscy, którzy związali swe życie z życiem gór. Zawierza górcom pasterz, który wysyła w nie swe stada, zawiera siewca, który rzuci w ziemię drogie nasienie, zawiera każdy spragniony, który zanurza wargi w strumieniach górskich wód. Istnieje cały łańcuch powiernictwa. Zwieńczeniem tego łańcucha jest pieśń.

Aby móc właściwie ocenić zjawisko powiernictwa, trzeba spojrzeć na nie poprzez pryzmat tego, co wnosi w nasze życie techniczna cywilizacja. Najogólniej biorąc, cywilizacja ta polega na wtargnięciu abstrakcji między człowieka a przyrodę. Przyroda zmienia swój pierwotny sens i staje się zwykłym surowcem dla techniki. Wszystko, co w niej jest, jest do przerobienia na jakiś produkt, a produkt jest po to, by zwiększał zysk. Pisze o tym szczególnie wnikliwie M. Heidegger: „Brak ojczyzny staje się losem świata”. Człowiek traci swe korzenie. Traci miejsce pod słońcem.

Może być wszędzie, ale wszędzie znaczy — nigdzie. Ludzie są jak ptaki bez gniazd. „Znakami jesteśmy bez znaczenia” — cytuje Heidegger Hölderlina. Nie znając, na czym polega właściwy stosunek człowieka do ziemi, nie potrafią ratować ziemi. Nie potrafią mieszkać. Zauważa Heidegger: „Ratować ziemię to więcej niż ją eksploatować czy wręcz męczyć. Ratując Ziemię nie władamy nią, nie podporządkowujemy jej sobie — a od władania i podporządkowania sobie tylko krok do bezgranicznego wyzysku.

III. MIŁOŚĆ. O miłości można w nieskończoność. Pieśń góralska zna każde jej poruszenie, każdy wzlot i każde załamanie, niepewność i w uśmiechu mieszkającą nadzieję. Miłość jaśnieje tu wszystkich kolorami dnia i nocy, jest szczęściem i rozpaczą, siłą dającą życie i usprawiedliwiająca śmierć. Nie wie, czym jest miłość ten, komu w jej czas nie towarzyszyły pieśni i taniec gór. Obraz miłości w pieśni góralskiej jest zapewne dlatego tak dramatyczny, że od początku pieśń ta przyznaje, iż idzie tu o miłość między ludźmi wolnymi. Zarazem jednak miłość ta jasno wie, czego chce: chce mieć człowieka. Tutaj słowo „Mieć” jest na właściwym miejscu. Ludzie, którzy są wolni, tylko tacy ludzie, mogą siebie mieć, czyli mogą być sobie wierni. Dlatego: chcę, abys był mój. Dlatego: chcę, abys była moja. Mogę tego chcieć, bo jestem wolny.

Posłuchajmy sześciu pieśni o miłości, w których opowiada się o jej smutnych i radosnych chwilach:

Poznać tyz to poznać  
Wto kogo rod wdzit  
Z daleka sie śmieje  
A z bliska sie wstydzit

Ty mój kochanecku  
O co ci to chodzi,  
Choć sie zachmurato  
To sie ozpogodzi

Wesoto bywata  
Nigdy nie płakata  
Pokiela sie chłopce  
Z tobom nie poznata

Kiebyś ty se chłopce  
Moje myśit wiedzit  
Nie godolbyś do mnie,  
Przy mnie byś posiedzit

Kiebyś miała rozum  
I po tymu zdanie  
To byś mnie kochała  
Za samo śpiewanie

Boze mój, Boze mój  
Zasmucony świat mój  
Bodaj sie nie wrócił  
Kto mi go zasmucit

Powiedział Goszczyński: „...jeśli pieśń ludu tęskni, skarży się, narzeka, boleje, cierpi, to był ktoś dotknięty istotnym nieszczęściem”. Opowieść miłości rozwija się bez zbędnych słów. Jej mowa jest mową istoty. Jest trzeźwa, prosta i piękna. Patrzy na ludzi i potrafi widzieć ich intymne sprawy. Wie dobrze, co znaczy uśmiech z oddali a wstyd z bliska. Potrafi tłumaczyć drugiemu z humorem, który sam przez się przyswaja człowiekowi: „kiebyś miała rozum i po temu zdanie, to byś mnie kochała za samo śpiewanie”. Gdy trzeba, umie zdradzić skrytą tajemnicę serca: „kiebyś ty se chłopce moje myśli wiedzit, nie godolbyś do mnie, przy mnie byś posiedzit”. Ale, gdzie jest miłość, tam jest też płacz: „kochanie, kochanie, bodej nie bywato, bodej na kochanie dziwyce nie piakato”. Przychodzą dni, że trzeba coś wyjaśnić, wytłumaczyć, otworzyć komuś oczy. Jakże inaczej to zrobić, jeśli nie przez pieśń śpiewaną niby całemu światu a naprawdę temu jednemu: „o co ci to chodzi, choć sie zachmurato, to sie ozpogodzi”. Ale, gdzie jest miłość, tam też łatwo o tragedię. W dniach beznadziei pieśń celuje prosto w niebo: „Boze mój, Boze mój, zasmucony świat mój. Bodej sie nie wrócił, kto mi go zasmucit”. Akcent pada tu na „Boze mój”. Właśnie w takich dniach nikt

nie jest tak blisko człowieka, jak Bóg. Wszystko staje się obce, tylko Bóg na niebie mój.

Celem naturalnym miłości jest wierność — więź, jaka może zaistnieć wyłącznie między wolnymi. Idzie o to, by człowiek do człowieka mógł powiedzieć: „mój — moja”. Mówi pieśń weselna: „Cyja jo se cyja, cyja jo se teraz? Twoja chłopce, twoja, nikomu mnie nie dos”. A także: „Prędzaj się ozeńdom góry z dolinami, jako sie ozeńdzie miyłość między nami”. Przyszłi czas obowiązku. Opowiadają o tym obrzędy weselne. Jedno w tym wszystkim jest znamienne: obecność Boga. U podstaw miłości spoczywa niewzruszona wiara, że człowiek jest dla drugiego człowieka darem pochodzącym wprost z ręki Boga. Jak chleb jest darem ziemi, a śleboda darem górskich przestrzeni, tak człowiek jest człowiekowi darem od Boga danym. To nie kto inny, lecz sam Bóg łączy ludzi na dobre i na złe.

Od pieśni miłosnej nie można oczywiście oddzielić tańca. Taniec góralski w szczególności i taniec w ogóle, to sprawa sama dla siebie. Kiedyś taniec przenikał do tego stopnia życie ludzi, że był nawet wyrazem modlitwy, potem stał się wyłącznie zabawą towarzyską, dziś jest wprawdzie rodzajem zabawy, ale coraz mniej towarzyskiej. Rysem znamionym tańca góralskiego, który jest zasadniczo tańcem jednej pary, jest przenikające go od samego wnętrza dążenie do spotkania. Jest to w istocie swej taniec spotkania. Muzyka, rytm i słowa są tu jedynie pretekstem i przygotowaniem do tego wielkiego wydarzenia, jakim jest spotkanie. Spotkanie jest zaś przede wszystkim spotkaniem spojrzeń. Dopiero w spojrzeniu, krótkim jak błyskawica, ale przenikliwym jak dźwięk skrzypiec, w którym oprócz uciechy życia jest jakaś tajemnicza obietnica szczęścia, dopełnia się ostateczny sens tego tańca. Można powiedzieć, że taniec góralski jest syntezą dramatu. Jak każdy dramat, może się skończyć albo szczęściem, albo zupełnym nieszczęściem. Trzeba jednak dodać, że taki taniec tańczy się naprawdę tylko raz w życiu. Potem pozostaje wspomnienie, a przedtem... Przedtem jest nadzieja na taki taniec. Ten taniec wydobywa z ludzi spojrzenia, od których zależy ich przyszły los.

Istnieje dziś cała literatura filozoficzna poświęcona sprawie spotkania człowieka z człowiekiem a także sprawie spojrzenia. Sławny J.-P. Sartre poświęcił temu zagadnieniu rozległe studium. Warto przypomnieć jego ideę. Czym stało się spojrzenie we współczesnym mieszczańskim świecie. Zostało sprowadzone do poziomu podglądania. Człowiek patrzy na drugiego człowieka tak, aby go podglądać. Podgląda i sam jest podglądany. Stąd bierze się zawstydzanie na tym świecie. Patrzymy, aby móc zawstydzać. Nie ma dziś, zdaniem Sartre'a, innego znaku, po którym można by poznać, że patrzy na człowieka inny człowiek, oprócz tego jednego — wstydu, który rośnie w oglądanym. Spojrzenie przestało obiecywać, wzbudzać nadzieję, wyrażać obietnicę szczęścia, przestało stwarzać wydarzenia. Człowiek ma oczy ku widzeniu, ale nie umie już patrzeć. Jego nie-towarzyskie tańce rozgrywają się na poziomie niższym niż oczy, a nawet niższym niż uszy.

Taniec kończy się przyklęknieniem tancerza przed tancerką. Gest ten, pochodzący zapewne z literatury kościelnej, pamięta jednak czasy dworskiego obyczaju czasów średnich. Jak się to stało, że się tu znalazł? Kto go przeniósł? W jaki sposób został przyswojony

przez — jak się niekiedy powtarza — „półdzikich górali”? Nie wiadomo. Wiadomo przynajmniej, co oznacza — oznacza szacunek i wdzięczność.

Życie wciąż płynie. Mija czas ślebody i tańca, przychodzą poważne obowiązki rodzinne. Trzeba budować dom, krzątać się około wiosny i jesieni, myśleć o przyszłości dzieci. Jak ozdobą młodości jest uroda, tak ozdobą siwych włosów jest gospodarska powaga. Nagle przychodzi dzień, w którym przez okno domu zagładnie do wnętrza śmierć.

IV. ŚMIERĆ jest naturalnym końcem życia. Jak powiedział R. M. Rilke: „...a wielka śmierć, którą ma każdy w sobie, to jest ten owoc, o który zabiega wszelki byt...”. Idzie teraz o to, by spojrzeć śmierci prosto w twarz. Jest, jak jest. Zbójeckie prawo krótkie. „Do dziś-kak żył a dziś umrem”. Posłuchajmy:

*Lecom moje lata jak liście z olsyny*

*Weź mnie z tego świata, mój Boże jedyny*

*Coz mi po piniązkach na tym Bozym świecie,*

*Kie mnie ze smentorza ludzie odejdziecie*

*Kie pódziemy stela, to nos będzie skoda*

*Po górach dolinach płakać będzie woda.*

Śmierć jest dla życia czymś naturalnym. Lecą liście z drzewa, lecą również lata człowieka. Ludzie umierają, jak drzewa. Cóż wtedy znaczą pieniądze? I tak mnie, przyjaciele, „ze smentorza odejdziecie”. Ale jest jakaś różnica między śmiercią człowieka i drzewa. Szkoda, że człowiek umiera, zabierając w zaświaty swe piękno i swą dobroć. Dlatego: „Kie pódziemy stela, to nos będzie skoda, po górach dolinach płakać będzie woda”.

V. RELIGIA. Całemu życiu ludu towarzyszy Bóg i religia. Nie było moim zamierzeniem omawianie głębiej tej sprawy, skoro jednak wyłoniła się taka potrzeba, pozwólcie: dwie uwagi na temat religii.

Romantycy zgodnie uznawali, że rysem znamionym ludowej religijności jest wiara w przenikanie się wzajemne świata naturalnego i nadnaturalnego. Bóg jest wszędzie obecny, przy każdej sprawie człowieka. Jeśli pamięta o małym robaczku zamkniętym w środku kamienia, to tym bardziej o sprawach człowieka. Do słusznej uwagi romantyków dołączyłbym chętnie jeszcze jedną: religijność ludowa, w przeciwieństwie do mieszczańskiej, jest religijnością wspólnotową. Dla ludu religia znaczy to, co znaczy, czyli — więź. Dlatego właśnie religijność ludowa dokonała niezwykłego dzieła: stworzyła obyczaj religijny. Obyczaj religijny jest czymś pośrednim między indywidualną i subiektywistyczną religijnością mieszczańską a oficjalną liturgią Kościoła. Obyczaj ten jest wspólnym świętowaniem czasu — czasu pracy i odpoczynku, oczekiwania i wspomnienia, wesela i smutku. Obyczaj religijny to przykład zarazem artystycznej i religijnej twórczości — twórczości wspólnotowej, bezimiennej, wynikającej z rytmu życia.

Nie wyklucza to pojedynczych zjawisk religijności graniczącej z mistycyzmem. Nie ma parafii na Podhalu, w której nie dałoby się znaleźć w przeszłości a może nawet i dziś przykładów takiej religijności. Kim był Klimek Bachleda? Czy jego śmierć była wynikiem przypadku, czy konsekwencją głębokiej wiary religijnej? Z całą pewnością nie był to czysty przypadek. Kim był Gazda Piotr Borowy? Pisz o nim z przejściem ks. Ferdynand Machay. Piotr Borowy pozostawił po sobie niezwykle dokument — doku-

ment, jeśli tak można powiedzieć, samorodnego mistycyzmu, głęboko związanego z życiem na tej ziemi. Kto o tym dziś pamięta? A słynny ruch „sidziniarek”, wywodzący się od ks. Błaszyńskiego. To łatwo źle o tym mówić. Ale, czy nie był to właśnie ruch apostołstwa świeckich zrodzony na tej ziemi i z tej ziemi? Mnie osobiście ujmuje jedno — coś, co wyraziło się w odśpiewanej pieśni: „weź mnie z tego świata, mój Boże jedyny”. Te trzy słowa: „mój — Boże — jedyny”. Kto wie, co w góralskiej mowie znaczą słowa „mój” i „jedyny”, ten wie: tak przemawia do Boga miłość.

Czas kończyć nasze rozważania. Mówiliśmy tutaj o węzłowych doświadczeniach życia i o ich odbiciu w kulturze — o wolności, o przywiązaniu do gniazda, o przeżyciu miłości, o śmierci i o religii. Ograniczyliśmy się jedynie do komentarza do kilkunastu pieśni góralskich, co w oczywisty sposób nie wyczerpuje zagadnienia. Tradycyjna pieśń ludowa daje tym doświadczeniom świadectwo piękne i godne poważnego namysłu. Trzeba uznać, że pieśń ta była, a w znacznym stopniu jeszcze pozostała, ważną propozycją wychowawczą. Raz z powodu treści a drugi raz z powodu formy. Wiemy o tym, że ludzkie uczucia jedynie z trudnością poddają się wychowaniu; nie chcą służyć ani rozumowi, ani woli. Jest jednak jedna siła, której są posłuszne. Siłą tą jest piękno. Dlatego pieśń może wychować bardziej niż wszystko inne.

Czym jest ta pieśń? Rzekłbym, że w swym aforystycznym kształcie jest ona „zbiorem olśnień”, które nieznani autorzy przekazali tym, którzy znajdują się kiedyś w podobnych sytuacjach życiowych i będą potrzebowali światła. Pieśń nie tworzy systemu, mimo

to ukryta w niej mądrość wykazuje znaczny stopień zwartości. Kto więc otworzy uszy i oczy na istotny sens tych pieśni, ten zobaczy, jak jedno olśnienie spleta się z drugim i wiąże w jakiś piękny łańcuch. Odsłoniwszy prawdę o wolności, pieśń ta odniesie w pewnym momencie wolność do obowiązku. Zaprosiwszy człowieka do tańca, nauczy go patrzeć i sportykać. Przypomniawszy śmierć, nie pominię godności. Stałym ośrodkiem jej zainteresowania będzie człowiek i jego rozliczne powiązania. Tym to sposobem pieśń ta, sama nawet o tym nie wiedząc, stawia człowiekowi przed oczy jakiś zarys ideału człowieka — ideału człowieka gór — górala, który między górami ma swą ojczyznę i swe gniazdo. Jasne jest, że ideał ten nie jest wykończony. I jasne jest, że nigdzie nie został urzeczywistniony. Ale na tym właśnie polega istota ideału: trzeba go pragnąć nawet wtedy, gdy nie można go urzeczywistnić.

Wychowawcze wartości kultury ludowej znalazły się dziś w stanie zagrożenia. Wokół nas rośnie pustynia. Czy zwierciadło zostało rozbite, czy znika prawda, którą warto odbijać i uwieczniać? Czyżby umarli już ostatni na tej ziemi wolny człowiek?

Ale, jeśli jakaś ziemia nie będzie bogata ludźmi, to ziemia ta naprawdę nie będzie bogata — będzie to nędzna ziemia. Najgorszą bowiem ze wszystkich nędz jest nędza człowieka.

Gdzie jednak rośnie zagrożenie, tam też pojawia się ratunek. Nielatwo wykraść człowiekowi jego prawdę, jeśli ją tylko człowiek znajdzie. Kultura ludzi gór będzie ocalona przez prawdę, która w niej jest. Nie wierzę w zwycięstwo głupoty. Wierzę w rzeźbiarską moc tej prawdy.

ZOFIA FRYŻLEWICZ (Ludźmierz — Kraków)

## TRADYCJE USTROJU ROLNEGO I WAŻNIEJSZE ZAGADNIENIA SPOSOBU ŻYCIA LUDNOŚCI PARAFII LUDŹMIERSKIEJ W WIEKACH PRZESZŁYCH (cz. II)

Przejdźmy z kolei do opisu warunków, w jakich mieszkali i pracowali dawni parafianie ludźmierscy. Niestety, nie posiadamy również źródeł odnośnie najstarszego budownictwa wsi podhalańskich. Ten opis, który posiadamy, dotyczy charakterystyki chaty góralskiej sprzed trzech i pół wieku<sup>12</sup> i nie uwzględnia istotnego zarysu architektonicznego, ograniczając się tylko do opisu wnętrza mieszkalnego. „Okna były oszklone, chociaż szkło było bardzo drogie — szybka w oknie chłopskim kosztowała 2 złote (tyle co cieliczka — przyp. Z. F.), a nawet 6 szyb w oknie kosztowało 15 zł (tyle, ile dobra krówka). Drzwi do chaty i komory zamykały się już na skoble i kłódki żelazne, albo na żelazne zamki. W izbie były ławy dookoła ścian i stół w kącie, były ładne skrzynie i łózka zasłane pierzynami. W „czarnej izbie” wisiał kocioł używany do warzenia piwa, a w komorze sąsiek na zboże, tudzież różne narzędzia rolnicze”<sup>13</sup>.

Pełny obraz chaty góralskiej daje nam dopiero na początku naszego XX wieku St. Witkiewicz<sup>14</sup>. „Chata góralska od pierwszego spojrzenia wydaje się czymś pełnym charakteru. Sam szkielet budowy jest równie prawie prosty i niezłożony, jak w każdej innej chacie. Cztery ściany, dwa szczyty, dwie pochyłe płaszczyzny dachu z małym zboczeniem od symetrii na jedną stronę, pod którą mieszczą się dodatkowe izby — oto cała chałupa. Przez drzwi wstępuje się do ciemnej sieni, mającej drzwi na lewo i prawo, często i wprost, do izby niższej, umieszczonej między dwiema białymi ścianami pieców, połączonych sklepionym oblakiem. Wchodzącego na lewo uderza narazie ślepiąca białość i czystość pieca obok ścian i powały okopconych, czarnych i brudnej podłogi. Jest to właściwa izba mieszkalna. Tu stoją łózka, wisi na sznurkach wysoko nad ziemią kołyska, ławy szerokie ciągną się dokoła ścian; kąty pełne są wszelkich gra-

<sup>12</sup> S. Udziela, *Podhalanie przed trzystu laty*. Człowiek. „Ziemia”, rok 1927, s. 489—490.

<sup>13</sup> tamże, s. 490.

<sup>14</sup> St. Witkiewicz, *Chata góralska*, „Beskid Zachodni i Podhale (Górale polscy)”. Książnica Atlas. Lwów—Warszawa 1928, s. 12—18.

tów, stągwi, oboniek, naczyń i narzędzi. Po izbie włoży się ciele lub białe jagnięta; tu siedząc na podłodze, gaździna skrobie ziemniaki i dziad kurzy fajkę, grzejąc się u pieca, gazda coś struże i ciosa. — Jest to sypialnia, kuchnia, warsztat, chlewek dla nieletniego statku... Przez całą długość pułapu bieży bal szeroki, sosręb, na którym opiera się belkowanie powały. Każda z tych belek jest wytwornie i czysto obrabiona i zdobna. W środku i miejscu zetknięcia się ze ścianami na sosrębie widać ornamenty, rżnięte w drzewie, składające się z zygzakowato łamanych linijek, tworzących gwiazdy i koła; tutaj też wypisana jest data wystawienia chałupy oraz inicjały imienia i nazwiska jej gazdy. Drzwi wewnętrzne ze świętymi kantami od drzwi, z rysowaniami i znakami religijnymi, jakkolwiek nie są tak bogate jak wchodowe, są jednak wielce ozdobnym szczegółem chałupy. Wszystko zresztą w tej chacie nosi piętno upodobań artystycznych, np. tuż przy drzwiach przybity łyżnik, rżnięty w jaworowym drzewie. Obok półki ze świecącymi się misami polewanymi, wielkie kredensy, stoły i stolki. Każdy statek, każda rzecz powszechnego użytku jest upiększona. Tu wiszą obnieczki do wódki z dębowego drzewa, kute żelaznymi obręczami, obok magiel ręczny a wszystkie pokryte starannym i bogatym rysunkiem. Gwiazdy, parzenice, pazdury, gadzik, mirwa ozdabiają ściany chałupy, drzewne statki, miski, kubki i ubranie górala. Jest on tak zamilowany w tych ozdobach, że nawet swoje chude owcze serki wyciska w ryzowanych formach kaczek, parzenic i oszczypków, (...) Izba na prawo, świetlica albo biała izba jest to salon góralski. Nie ma w niej zwykle pieca. Pułap i ściany świecą czystym, złotawym blaskiem doskonale heblowanego drzewa. Wokoło ścian biegań półki, na których błyszczą połyskami polewy i jaskrawymi kwiatami talerze i miski, pod nimi na kołkach wiszą dzbanki. Cała jedna ściana zawieszona obrazami strasznymi, lecz oryginalnymi, malowanymi na szkle. Stoi tu stół z jaworowym blatem, krzesła, stolki, półki, stoją tu skrzynie stare, toczące się na kołach, malowane zielono i pokryte czerwonymi, obryzowanymi czarnym konturem kwiatami, na których połyskują białe światła. Barwa zielona z czerwoną są zasadniczymi barwami zdobiącymi malowane sprzęty drzewne. Izba biała jest składem ubrań świątecznych i muzeum pamiątek rodzinnych. Tu stoi na półce olbrzymi, dziś prawie zaniedbany pas bacowski, tu za belką tkwi stary, zardzewiały nóż zbójnicki, tu stół jaworowy nosi datę jakiejś uroczystości rodzinnej i rozmaite ozdoby i emblematy. Wewnątrz chata zbudowana z olbrzymich balów, których sześć wystarcza na znaczną stosunkowo wysokość ściany, z dachem ostrym, zakończonym na każdym końcu sterczącym pazurem, często na kalenicy ozdobionym wyciętym w desce, ażurowym ornamentem, biegnącym od końca do końca, ma jeszcze w szczycie wyróżnione słońce, księżyc, gwiazdy, daty i religijne godła”<sup>15</sup>.

W minimalnym stopniu ostało się do naszych czasów tego typu budownictwo mieszkalne, tradycyjny jego wystrój zewnętrzny i wewnętrzne urządzenia. Jeżeli chodzi o rys zewnętrzny, to za jedną z takich pozostałości można uznać chałupę Binkowskich w Ludźmierzu, chociaż i tutaj wprowadzono, widoczne z daleka dysharmonijne zmiany (nowe, pomalowane na białą okna).

<sup>15</sup> tamże, s. 12—18.

Nie zachowały się również żadne informacja, dotyczące najdawniejszej odzieży podhalańskich górali; a te, które posiadamy, odnoszą się do XVII wieku i są bardzo powierzchowne, a nawet podejrzewam, że również i nieścisłe<sup>16</sup>. „Mężczyźni nosili koszule grubsze do roboty i cienkie z płótna pacześniego od święta. Zarzucali na plecy gunie z sukna własnej roboty i zapewne takiego samego kroju, jak dzisiejsze, gdyż krój ten jest bardzo pierwotny. Na nogi zawdziewali kapcie, tak mężczyźni, jak i kobiety. Głowę okrywał góral czapką, w zimie nosił sukienne rękawice. (...) Prawdopodobnie były używane szerokie pasy skórzane, nazywane nabiedrek. Kobiety nosiły koszule cienkie zwykłe w cenie po 3 złote, a jedwabiem szyte po 6 złotych. Był to już zbytek, jeśli za 4 złote można było kupić 20 łokci płótna pacześniego. Do kościoła i na uroczystości weselne wdziewały góralki „suknie” za 15 zł. Był to rodzaj żupanika kobiecego, podbitego barankiem do pasa a pokrytego sukmem. Taka góralka w „sukience” ubierała kosztowną czapkę futrzaną. Kapcie i kierpce mają ozdobniejsze niż mężczyźni. Na ramiona zarzucaly niby szale „prześcieradła z listwami” tj. koronkami (wartości 8 zł). Prawdopodobnie noszenie korałi nie było wtedy w modzie”<sup>17</sup>.

Relacje późniejsze<sup>18</sup> tak charakteryzują XIX-wiecznych górali: „Góral tatrzański ma wzrost mierny, silne kości i mięśnie, jasną, zdrową cerę twarzy i bardzo białe zęby, które zawdzięcza jedzeniu moskola i żuciu żywicy. Góral od dzieciństwa wytrzymały jest na wpływy powietrza, dlatego latem i zimą używa jednakowego odzienia, w największy upał, w jak najcięższe zimno nosi mały okrągły kapelus, ciemną cuchę, białe spodnie — na co sukno sam sobie sporządza — które to oba odzienia nie mają podszewki. Krótka koszula pokrywa mu ledwo pierś, nosi pas i kierpce, z boku zawieszca na ramieniu nabitym guzikami skórzaną torbę, która mu służy za poduszkę i nigdy jej nie zdejmuję z siebie, do niej wkłada krótką fajeczkę, pieńiądze i inne drobiazgi, które znalazł lub też ukradł (...). Góral zwykł od święta głowę (włosy) obficie niż zazwyczaj namaszczać. Koszulę wdziewać krótszą czysćciejszą ozdobniejszą i ozdobną żółtą, mosięzną wielką spoinką, od której zwisają krótkie łańcuszki mosiężne. W półciosa przepasuje się szerokim pasem rzemiennym, nabijanym małymi rozmaitej barwy guzikami. Mały, okrągły czarny kapelus otacza pasek z czerwonej wstążki, za którym zatknięta wiązanka z kwiatów góralskich lub też z cisu. Na nogi wdziewa nowe białe spodnie i kierpce, opatrzone białymi onuckami. To jest cały strój górala odświętnie ubranego do kościoła lub na inne uroczystości. Szyję i uszy nosi góral zawsze odkryte, dla uszu stanowią ochronę od zimna gęste, spadające włosy.

Kobiety i dziewczęta noszą białe kozuchy baranie, wytrzymują jednak zimno jeszcze lepiej niż mężczyźni; często się zdarza, że w śnieg i mrozy boso idą do kościoła niosąc w rękę buty, które przyszedłszy na miejsce wdziewają, a do domu wracając znowu zdejmują”<sup>19</sup>.

<sup>16</sup> S. Udziela, op. cit., s. 490—491.

<sup>17</sup> tamże, s. 491.

<sup>18</sup> St. Elias-Radzikowski, *Polscy górale tatrzańscy czyli Podhalanie i Tatry na początku wieku XIX*. „Lud”, t. III, 1897, s. 225—273. Praca oparta na rękopisie Fr. Kleina (odnalezionym w Bibliotece Jagiellońskiej) — leśniczego z Bukowiny Tatr. „za kamery, czyli za czasów posiadania królewskich polskich dobr starostwa nowotarskiego przez skarbu austriacki”. Rękopis powstał w roku 1827.

<sup>19</sup> tamże, s. 229.

W charakterze sposobu gospodarowania i życia ludności parafii ludzmierskiej nie sposób pominąć tak ważnej sfery, jaką jest odżywianie się rodziny. Posłużyć się w tym miejscu opisem sporządzonym w roku 1914 przez W. Staszla<sup>20</sup>. Wprawdzie W. Staszel nie wspomina, jakiego terenu Podhala opis ten dotyczy ale na podstawie długoletnich obserwacji i autopsji autorki niniejszego opracowania można wnosić, że ten model konsumpcji obowiązywał również w omawianych wsiach i do dzisiaj jeszcze zachowało się dużo jego specyficznych cech.

Odżywianie się ludności góralskiej było na miar warunków, w jakich przyszło jej żyć; surowe środowisko naturalne pochłaniało zbyt wiele prac dla za pewnienia podstawowej egzystencji, aby można było wygospodarować odpowiednią ilość czasu na urozmaicanie i wzbogacanie posiłków. Stąd „Nadzwyczaj ubogą jest spiżarnia gospodyni góralki na naszym Podhalu. Ziemniaki, kapusta, owies swojej uprawy, kukurydza, jęczmień, ryż nabyty, niezbyt przyczyniają się do urozmaicenia zastawy. Gdy dodamy do naturalnego ubóstwa jeszcze i niski poziom kultury, brak jakiegokolwiek umiejętności w przyrządzaniu potraw i przy patrzeniu się ich codziennemu żywnieniu się tak w porze zimowej, jak i na przednówku, w dni wesela jak i postu, spostrzeżemy, że pożywienie to jest zaiste po spartańsku jednostronne. Nie ma tu żadnej systematyczności i porządku w następstwie potraw a w braku wyboru potraw taki sam niemal jest obiad, o ile jest, jakie było śniadanie, a tym podobna wieczerza. I tak jadło, bez różnicy pory dnia i roku, tak ubożego, jak i dostatniejszego górala składa się zazwyczaj z mleka z plackiem z kukurydzy i z mąki owsianej, albo też z chleba u plackarzy nabytego. Ten sposób śniadania nie jest pierwotny, jest od gości przyjęty. Pierwotny bowiem polega na spożywaniu ziemniaków, klusek (mamałygi) z omastą, jak masło, słonina — lub z mlekiem kwaśnym, rzadziej ze słodkim. Jesienią w czasie kopania ziemniaków w polu, z dala od domu i w zimie, podczas dni krótkich punkt ciężkości niejako starań gospodyni góralki około dziennego pożywienia spoczywa na śniadaniu (—), przy wczesnym rannym ognisku sporządza się naprędce na ten cel jakąś potrawę na obiad, jak kapustę, która może stać ciepłą przez kilka godzin w garnku, z grzelnami ugotowanymi lecz nie potłuczonymi, kaszę jęczmienną, ryż omaszczony lub na mleku, jagły, czasem dodatkowo karpiele, z potłuczonymi ziemniakami zmieszane”<sup>21</sup>. Większa różnorodność spożywanych pokarmów na śniadanie jest w okresie mięsopustnym, kiedy to najczęściej górale zabijają wieprzka. Wtedy to przez pewien czas na śniadanie przygotowuje się rosół lub kwaśnicę z wieprzowiną, spożywane z grzelnami, a często również biały barszcz. Takie śniadanie zastępowało zazwyczaj obiad.

Góralskie gospodynie — zdaniem cytowanego autora — nie miały pojęcia o zróżnicowaniu gatunkowym mięsa poszczególnych części tuszki wieprzowej czy wołowej oraz sposobów ich przyrządzania. Podobnie przyrządzano również gęsinę. Cielęciny gotowało się na wodzie, a przed końcem gotowania dodawano trochę mleka słodkiego. Mięso jednak było rzadkim gościem w rodzinie góralskiej, najczęściej późną jesienią i w okresie świąt. „Gdy jesienią nagodzi Pan Bóg obfitości grul, co się czasem trafia, to z przyjemnością zjada się potrawę zwaną „kluskami szczykanymi”, omaszczoną słoniną lub słodkim mlekiem”<sup>22</sup>. Z tartych ziemniaków piekło się również moskole, „które się je na podwieczorek (lub częstuje gościa, sąsiada) z masłem o ile jest, lub zaopatruje gazdę wybierającego się na robotę całodzienną do lasu. (—). Jaj górale mało używają (choć ich kurniki ich dużo produkują) jako drogiego obecnie artykułu spożywczego, które wolą za dobre pieniądze sprzedać. Czasem tylko, w jakie znaczne święto, lub też w braku mięsa, na przyjęcie jakiegoś „przekłanego” gościa, górala przyrządzi jajecznicę. Jaj na twardo mało używają, na miękko nigdy”<sup>23</sup>. Właściciele owiec mieli jeszcze na lato i jesień „brzędę”, ale ograniczano się również w jej spożyciu, ponieważ ser owczy był produktem popłaconym, więc w większej części z mleka owczego wytwarzano oscypki z przeznaczeniem na sprzedaż. Bryndzę jadało się z moskolem lub chlebem, a także dodawano do klusek i używano do zaprażki.

Jarzyn — z wyjątkiem kapusty i karpiele — nie używano.

Mieszkańcy Podhala ściśle przestrzegali postów i nie korzystali z żadnych dyspens. Jedni robili to z pobożności, inni z ubóstwa czyli konieczności. W czasie postu góral „żywi się jak asceta, je potrawy bez nabiału, jałowe grule ze solą, kluski z kwaśnicą na suszonych grzybach. Dobrze, jeżeli jest olej lniany, którym się krasi wtedy potrawy”<sup>24</sup>. Bogatsi gazdowie dawali po parę korcy owsa do browaru w Witowie w celu nawarzenia cienkiego piwa owsianego, którym zastępowano mleko w okresie postnym<sup>25</sup>.

(Te długie cytaty, które pozwoliłam sobie zamieścić przy charakterystyce żywienia się ludności góralskiej przed 70-ma laty, były zamierzeniem celowym. Ograniczenie się bowiem tylko do samej treści przekazu z pominięciem barwnego staropolskiego stylu, pomieszanego z melodią góralskiej mowy dałoby opis bardzo ubogi, bez pożądanego działania na wyobraźnię czytelnika.

Uwaga ta odnosi się również do wcześniejszych kwestii (budownictwo, strój), których plastyczność obrazu w ważącym stopniu zależy od barwności coraz bardziej obcej językowi współczesnemu).

<sup>20</sup> W. Staszel, *Jak się żywi miejscowa ludność na Podhalu*. „Rocznik Podhalański”, t. 2, Zakopane 1979, s. 179–181.

<sup>21</sup> tamże, s. 179.

<sup>22</sup> tamże, s. 180.

<sup>23</sup> tamże, s. 180.

<sup>24</sup> tamże, s. 180.

<sup>25</sup> tamże, s. 181.



# Jako to Jaśka Gąsienice-Roja roz strasyło

Kiek był w skolnym wieku jesce, jesieniom posełek owce, swoje i sąsiodów. Wtedy należało oganiać otawiny przeznaczone do kosynio. Mając duzo wolnego casu, wymyślelek różne figle, niehrube, ale po trosze desperackie.

Umyślelek, coby Rojowi cosi zdesperować. W potoku Rojowym urządzielk na wodny napęd kółko wodne na folus abo na trocyk, ale było dość duzo roboty z tym. A miolelek taki blasiany, orawski i głośny zwonek lo krowy. Wyniozek ten zwonek na cienkiego, wysokiego smreka co rósł blisko koło tego kółka wodnego i hań we wierchowcu umocowolek go podobnie jako wisł do dziś we zwonicy Wacóniowej w Dzianisu, wtory za pociągnięciem linki zazwoni, kiedy trza. Od niego zwisała niehrubo, a mocno i lekko nitka. Dolny jej koniec przywiozolek do kórbki, zrobionej z gwoździa. Kiedyk puściel wodę na to kółko, kóiko sie zwyrtało, a zwonek sarpany niciom som zwonieł piykanie, miarowo, wysoko na smreku.

Uruchomielek go po zachodzie słońka i posełek na posiaady do Rojów. Prawie wtej wieczerali. Roja ozgrzoł rosolek barani i godo: psiokość jakosi mi gorąco; otworzył jedno okno, siod i je mięso baranie. Rojka i mnie pocęstowała jakosi stuciom: nolezy sie, bo ta ty ik posujes... A Roj godo: Słys Kunda... A co mom slyseć? — spytała sie. Dyć slychno krówski kłapac, jak zwoni. Pewnie Kije pasom po ómoku krowy za potokiem na nasej otawinie! No wieraześci, slychno zwonek krówski, ale jakoz to?... Jakby paśli po naszym wiecór, to nie ze zwonkiem, ba po cichu.

A jo ci godom, że to óni pasom, kie tu sie przyredykali z Magury, no i bedom po ludzkim paść. E, psiokość, idem jo wyżyć. — Niezadlugo sie wróciel wystrasony.

Nei, wtoz hań pasie? — spytała sie jego baba. Wies, Kunda, nic-jek nie widziol. Strasne rzecyl Zwonienie slychno jak i tu stela, ale o krowak ani slychu. Kiek seł, zdawało sie mi, ze zwoni za potokiem, kiedyk tam zaseł, to zwonienie przesło na drugom stróne potoka. Nareście mnie wzion strak i lecem ku chałpie, a zwonienie jakby za mnom leciało. Nei tu stela slychno, jak zwoni.

E, to jo idem w chałupe, powiedziol. Udołek, ze sie tyz bojem i posełek.

W domu sie mnie pytajom Ociec i Matka: Nie wies, chłopce, wto ta kany po ómoku pasie? Slychno zwonek...

Slysolek. Haw Roj dopiero wyzierał za potok, cy po jego mlące wto nie pasie. Nic nie widziol; wróciel sie wystrasony. Uznoł, ze to wtosi strasy; cheba duk jaki.

A ty byś nie wyżroł, chłopce? Nie, nika nie pódem, tyz sie bojem.

Nei, całom noc strasyło, nawet rano jesce. I kiedy my śniotali, naroz zwonienie ucichło. Jo obocył i bierem sie w pole. Wypatrzołek, jak chłopcysko małe gnało od potoka polami. Jo chyboj przed niego, zabiógel mu dróge. A ten prasnon zwonek i som pognoł ku swojej chałupie. A Roj, jego baba i nasi w chałpie nigdy sie nie dowiedzieli, co ik strasyło, bo bych na pewno pucówke dostol, haj dostol.

## Zaczęło się w 1904 roku...

W minionym 1984 roku przypadło 80-lecie zorganizowania się braci góralskiej z dziedzin skalnopodhalańskich w Związek Górali Tatrzańskich. Zebranie organizacyjne odbyło się wtedy w dniu 4 marca 1904 roku „U Wnuka” przy ulicy Kościeliskiej w Zakopanem. Stąd miejscowy Oddział Związku Podhalań dla przypomnienia i uświetnienia tej ważnej dla górali daty programem obchodów objął cały rok, od marca 84 do marca 85 r.

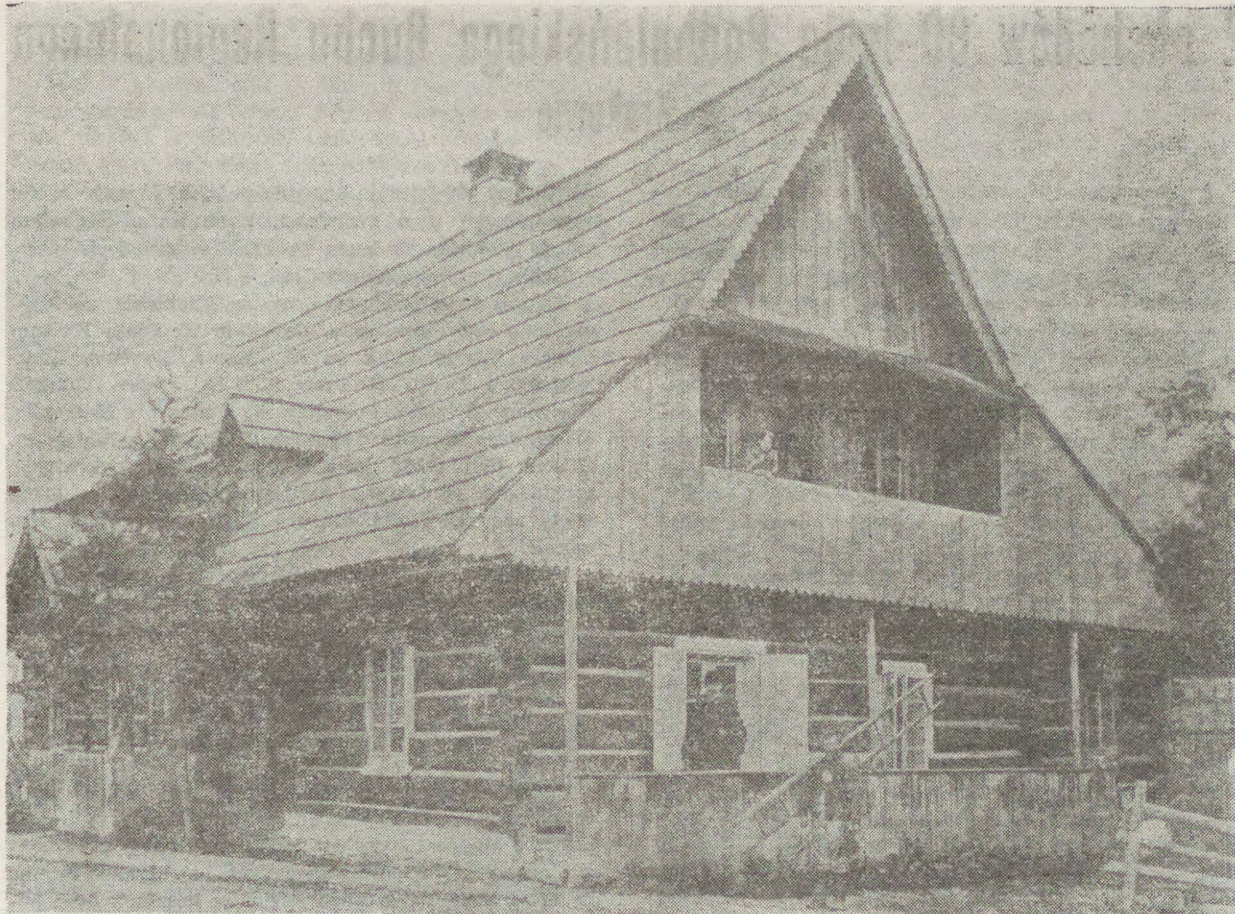
Rozpoczęcie obchodów nastąpiło w dniu 3 marca w „Swarnej”. W ten sobotni wieczór odbyły się posiaady gwarowe przygotowane przez działającą przy Zarządzie Oddziału w ramach Komisji Kultury Sekcje Chłopskiej Kultury Gwarowej pod przewodnictwem Andrzeja Gąsienicy-Makowskiego. Posiaady te były imprezą tak udaną, że na stałe weszły do programu pracy Oddziału i w sezonie turystycznym odbywają się w każdą pierwszą sobotę miesiąca.

W dniu 4 marca odprawione zostały msze święte w intencji zmarłych członków Związku (w Starym

Kościele, u XX. Pallotynów na Skibówkach oraz na Olczy), po których na posiadach ogniskowych mówiono o początkach naszego ruchu regionalnego. Tego samego dnia odbyła się I Góniacka na skijach czyli narcjarskie biegi sztafetowe zespołów góralskich. Zawody zorganizowane w tym roku powtórnie i rozszerzone o wyścigi kumoterek i skijöring (jazda na nartach za koniem) przyciągnęły w te marcowe niedziele w tamtym i w tym roku sporo ludzi z całego Podhala.

We wtorek 6 marca delegacja zakopiańskiego Oddziału Związku Podhalań z prezesem Franciszkiem Bachledą-Księdzulem na czele, przebywając w Rzymie z pielgrzymką z Parafii Św. Rodziny, prowadzoną przez Księdza Prałata Władysława Curzydę, została przyjęta przez Ojca Świętego Jana Pawła II na audiencji prywatnej. Na powitanie wręczono Ojcu Świętemu wierną kopię Giewontowego krzyża, wykonaną przez Władysława Gąsienicę-Makowskiego w skali 1:30 wraz z gałązką kosodrzewiny przybraną ośmioma kocielapkami (szarotkami) z ogrodu SS. Alberty-





Dom Krzeptowskiego przy ul. Kościeliskiej w Zakopanem ok. 1890 r. (dziś „Dom Wnuka”). (Fot. Stanisław Eliasz Radzi-  
kowski, repr. Ryszard Bukowski. Ze zbiorów Witolda H. Paryskiego).

nek na Kalatówkach. Ojciec Święty udzielił wszystkim członkom Oddziału specjalnego błogosławieństwa z okolicznościowym adresem.

W ramach 80-lecia odbyły się trzykrotnie posiady na szalasię: 24 czerwca — posiady świętojańskie na Polanie Chochołowskiej, 22 lipca — na Polanie Kalatówki z występami zespołów: „Klimka Bachledy” i „Giewontu” z Olczy, 19 sierpnia — na Rusinowej Polanie po Mszy świętej w kaplicy Królowej Tatr — Matki Boskiej Jaworzyńskiej na Wiktorówkach. Akcenty 80-lecia pojawiły się także podczas imprez organizowanych w czasie Jesieni Tatrzańskiej, to jest w pierwszych dniach września oraz w dniu 30 listopada podczas uroczystego wręczenia Nagród im. Oskara Kolberga.

W dniu 9 grudnia odbyła się uroczystość upamiętniająca 175 rocznicę urodzin i 90 rocznicę śmierci

Jana Krzeptowskiego-Sabały. Najpierw była Msza święta, którą odprawili Księża Kapelani Związku z kazaniem Księdza prof. Józefa Tischnera, następnie na Pęksowym Brzyzku złożono wieniec na grobie „Homera Tatr” i wiązanki kwiatów na mogiłach ludzi zasłużonych dla Podhala. W południe odbyło się w Białej Izbie — siedzibie Związku Podhalań w Zakopanem — uroczyste posiedzenie Zarządu Głównego z referatem dr Andrzeja Jazowskiego.

Imprezą zamykającą obchody 80-lecia były posiady odbyte w dniu 5 marca b. r. w kawiarni „U Wnuka” z przepięknym słowem Włodzimierza Wnuka pt. „Zaczęło się u Wnuka”. Salę wypełnili przedstawiciele wielu zasłużonych dla Związku rodzin góralskich.

F. B., Red.



# Z obchodów 80-lecia Podhalańskiego Ruchu Regionalnego w Krakowie

Z inicjatywy i staraniem Zarządu Oddziału Krakowskiego Związku Podhalan w dniach od 16 do 25 października 1984 r. odbyło się w Krakowie szereg imprez związanych z 80-leciem Podhalańskiego Ruchu Regionalnego. Współorganizatorem był Krakowski Dom Kultury „Pałac pod Baranami”, a cenne wsparcie udzielił także Zarząd Główny Związku Podhalan.

Obchody rozpoczęto konferencją prasową 16 października 1984 r. Przybyli na nią redaktorzy czasopism: Podhalanki, Echa Krakowa, Gazety Krakowskiej, Dziennika Polskiego, Wieści, Życia Literackiego i Dunajca, a także przedstawiciele radia i telewizji. W tymże dniu odbyło się otwarcie zorganizowanej w salach Krakowskiego Domu Kultury wystawy: „Sztuka i rękodzieło Podhala”. Wielu twórców i rzemieślników prezentowało swe wyroby z dziedziny malarstwa, rzeźby, kowalstwa, haftu, metaloplastyki, ceramiki, kaletnictwa, lutnictwa, ludwisarstwa. Po otwarciu wystawy odbyły się posiedzenia na temat twórczości regionalnej. Prelekcję wygłosił red. Tadeusz Staich, a obecni wystawcy zapoznali „posiadników” z charakterem i specyfiką swej twórczości.

W czasie otwarcia wystawy oraz na posiadach przygrywała połączona muzyka góralska „Hamernika” i „Skalnych”. Wystawa cieszyła się dużym powodzeniem wśród krakowian i przebywających w mieście turystów.

W dniach 20 i 21 października 1984 r. na dziedzińcu Krakowskiego Domu Kultury miał miejsce „Kiermasz Podhalański”, w którym brało udział kilkunastu wytwórców. Również ta impreza cieszyła się dużym powodzeniem. Na kiermaszu miała stoisko księgarnia „Pod Wierchami”, obok którego swoje książki podpisywali: Włodzimierz Wnuk, Janusz Zdeb- ski i Janusz Kamocki.

W tych dniach Kraków był dosłownie zawojowany przez górali, bowiem koncertowały zespoły „Harnasie” z Poronina, Grupa Śpiewacza z Kamesznicy, „Orawa” z Lipnicy Wielkiej, „Skalni” z Krakowa, „Mali Podhalanie” z Ludźmierza, „Klimki” z Zakopanego, „Spiszczacy” z Łapsz Niżnich, „Swarni” z Nowego Targu oraz „Hamernik” z Nowej Huty.

Koncerty odbywające się w Teatrze „Bagatela” spotkały się z gorącym aplauzem licznej publiczności. Występy zespołów zapowiadał Jan Jędról, który też na te dni zapewnił słoneczną pogodę. Koncerty były poprzedzone ulicznym korowodem na trasie od Krakowskiego Domu Kultury wokół Rynku Głównego do Teatru „Bagatela”, co dodało dodatkowego splendoru widowisku i ściągnęło sporo widzów.

W niedzielę imprezy były poprzedzone Mszą Św. w kościele Św. Piotra i Pawła. W powitalnych słowach Ks. Prof. Józef Tischner mówił o góralach — ludziach prawdy, a Ks. Dr Bendyk w wygłoszonej homilii przypomniał życie i dzieło Ks. Stolarczyka, pierwszego proboszcza Zakopanego i jednego z pionierów podhalańskiego ruchu regionalnego. W czasie nabożeństwa przygrywała muzyka „Swarnych”.

W niedzielę 21 października 1984 r. w Sali Drewnianej Krakowskiego Domu Kultury odbyły się uroczyste posiedzenia. Redaktor Włodzimierz Wnuk mówił

na temat 80-letniej historii podhalańskiego ruchu regionalnego, a o związkach Krakowa z Podhalem mówił redaktor Tadeusz Staich. Na posiadach przygrywała muzyka „Hamernika”.

Uroczystości organizowane w Krakowie zaszczylicili swą obecnością m.in. Dyrektor Wydziału Kultury Urzędu Miasta Krakowa M. Sapeta, Dyrektor Krakowskiego Domu Kultury Z. Leś, Prezes Zarządu Głównego Związku Podhalan A. Kudasik z Małżonką, Wiceprezes Zarządu Głównego J. Staszal z Małżonką. Obecni byli także prezesi lub inni przedstawiciele niektórych Oddziałów Związku Podhalan, a także wielu zacnych Gości, których trudno wszystkich wymienić.

Uczestników wystawy i kiermaszu, a także zespoły regionalne i osoby uczestniczące w obchodach, Zarząd Oddziału Krakowskiego Związku Podhalan uhonorował okolicznościowymi dyplomami.

O organizowanych imprezach informowała krakowska i nowosądecka prasa, a także Polskie Radio i Telewizja, które nadawały okolicznościowe programy i wywiady.

Całość zorganizowanych imprez ocenić należy wielce pozytywnie. Na powodzenie złożyła się społeczna praca członków Związku Podhalan. Szczególne uznanie należy się współorganizatorowi, tj. Krakowskiemu Domowi Kultury, którego udział w kosztach oraz pomoc organizacyjno-techniczna były wprost nieocenione dla powodzenia całej imprezy. Partnerska współpraca i nabyte w niej doświadczenia niewątpliwie jeszcze nieraz zaowocują we wspólnej działalności Krakowskiego Domu Kultury i Związku Podhalan.

Słowa uznania i podziękowania należą się także wszystkim uczestnikom obchodów 80-lecia Podhalańskiego Ruchu Regionalnego w Krakowie.

(Z.P. Oddz. Kr.)



BARBARA PALUCH (Krempachy)

## ŚPISU MÓJ

*Śpisu mój — górsko krajino  
tu popod jedty sumi wiater holny  
i nuci Tobie Janosikowe piosnecki  
znane nom syćkim  
To Tobie Ziymio Moja  
kłaniajóm sie  
wysokó stycrónce Loryncowe Skołki  
świycóm prómyniście Cyrwóne Skały  
grajóm Basy i Gynśle  
sumi Białka rzyka zimno i siumno  
W Kramnicy cichuńko stukajóm diabliki  
i feum odstrasyc tyf  
có Tobóm Ziymio Moja poniywyirajóm  
niscóm twe piykno i urode*

Kontynuujemy problematykę wypasu owiec w Tatrach. W grudniu 1980 r. Związek Podhalańców wystąpił z memoriałem do Sejmu PRL w sprawie realizowania ochrony krajobrazu, zaniechania procesu urbanizacji całego Podtatrza, wypasu bydła i owiec na halach tatrzańskich i innych pasm górskich otaczających Podtatrze, a także ostatecznego wycofania się z budowy zapory na Dunajcu w Czorsztynie. Memoriał ten pomieściliśmy w 6 numerze „Podhalańki”. W numerze 9 ogłosiliśmy artykuł pt. „Owieczki na

halach”, w 12 numerze podejmujemy sprawy poruszone w tym artykule. W niniejszym zeszycie „Podhalańki” zapoznajemy Czytelników z treścią pisma mieszkańców wsi Podczerwone, dotyczącej ich własności leśnej i polaniarskiej w Dolinie Lejowej w Tatrach Zachodnich.

Żywimy nadzieję, że pismo to ukaże złożoność problemu a także głębię boleści, jaką ogarnięte są serca i umysły Górali Podhalańskich. (Red. FB)

ODPIS

Podczerwone, 24. 04. 1985 r.

## S K A R G A

Zarząd lasów Sołtysów Podczerwińskich w Podczerwonym stawia do rozpatrzenia przez Międzyresortową Komisję Roboczą d/s stosunków Tatrzańskiego Parku Narodowego ze społecznością góralską sprawę przymusowego wywłaszczenia naszej współposiadłości w Tatrach Zachodnich w oparciu o Uchwałę Nr 415/60 Rady Ministrów z dnia 8 grudnia 1960 roku.

Uważamy, że spotkała nas ogromna niesprawiedliwość, w wyniku której utraciliśmy 115 ha lasów i 38 ha łąk i pastwisk w sposób jaskrawo sprzeczny z duchem i literą wymienionej wyżej Uchwały. Oto nasz dowód w tej sprawie.

### I

Sołtysi Podczerwińscy otrzymali nadania polan i pastwisk w Dolinie Lejowej z rąk Króla Jana Kazimierza na wieczystą własność oraz prawo paszy i poboru drzewa do opału, poprawę wałów i budulca na poprawę szałasów z lasów królewskich. W 1770 roku starostwo nowotarskie weszło w skład węgierskich dóbr koronnych, ale w 1773 roku, w wyniku rozbiórów, włączono je do austriackich dóbr kameralnych, przy czym ostatniego starostę nowotarskiego Franciszka Rychtera pozostawiono na urzędzie do jego śmierci w 1783 r. Odtąd na skarb zajęte i przez Prefekturę Kameralną administrowane było.

W 1811 roku rząd austriacki postanowił sprzedać nowotarskie dobra kameralne i w ten sposób Współwłasność Sołtysów Podczerwińskich weszła w skład Państwa Czarny Dunajec.

W dniu 9 września 1870 roku należne Sołtysom Podczerwińskim, w dawnych lasach królewskich, służebności zostały zniesione w myśl § 38 najwyższego cesarskiego patentu z dnia 5 lipca 1853 roku. W zamian za to w dniu 10 sierpnia 1872 roku Komisja Krajowa przyznała i oddała w fizyczne posiadanie uprawnionych Sołtysów z Podczerwonego ekwiwalent o 96 morgach 1333 kw. sążniach lasu, na co Sołtysi otrzymali dokument we Lwowie dnia 9 marca 1873 roku, który do dzisiaj został zachowany przez ich następców.

Wymienione bardzo dokładnie (mapy) w dokumentach lasy przylegają do polan (Huty Lejowe, Lachna I,

## Międzyresortowa Komisja Robocza d/s stosunków Tatrzańskiego Parku Narodowego ze społecznością góralską na ręce przewodniczącego Komisji Pana Zbigniewa Nocznickiego

Lachna II, Jaworzyna, Kucza, Siodełko i Kupka) współposiadaczy — Sołtysów z Podczerwonego. Zatem, jak z dokumentu jasno wynika, współwłasność na polanach została w 1872 roku rozszerzona na wydzielone jako ekwiwalent lasy, gdzie również użytkowanie prowadzono wspólnie a nad prawidłowością gospodarowania czuwał Zarząd z pełnomocnikiem na czele, zaś uzyskane korzyści dzielone były pomiędzy **prawie dwustu współwłaścicieli** według posiadanych udziałów.

Dokument o wydzieleniu ekwiwalentu otrzymał w 1873 roku pełnomocnik Jan Leja.

Obeorny skład Zarządu przedstawia się następująco:

1. Władysław Bienias, Podczerwone 124 — pełnomocnik
2. Józef Leja-Jasionek, Podczerwone 2 — z-ca pełnomocnika
3. Stanisław Leja, Podczerwone 22
4. Józef Jarończyk, Podczerwone 32
5. Józef Szczypta, Podczerwone 3
6. Józef Podczerwiński, Podczerwone.

### II

Powyższy Zarząd Spółki uczynił dużo na rzecz dobrego zagospodarowania swoich terenów leśnych.

Stosownie do obowiązujących przepisów w tym względzie opracował Uproszczony plan urzędzenia gospodarstwa leśnego dla lasu współwłasności „Jaworzyna Lejowa” oraz „Budulec i Kopka” należące do Sołtysów Podczerwińskich, a położonego na terenie Tatrzańskiego Parku Narodowego.

Plan ten został opracowany na koszt Spółki, zaś nad właściwością jego realizacji czuwał gajowy w całości opłacany i utrzymywany przez współwłaścicieli. Opracowując plan oparto się na obowiązujących zasadach hodowlanych z uwzględnieniem potrzeb ochrony przyrody po myśli Rozporządzenia Rady Ministrów z dnia 30 X 1954 roku, w sprawie utworzenia Tatrzańskiego Parku Narodowego, który to Park sprawował nadzór techniczny nad gospodarstwem i kiedy po przeprowadzeniu badania wydał w dniu 20 lutego 1966 roku wniosek zatwierdzenia planu.

Ostatecznie plan został zatwierdzony Decyzją Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Krakowie Wydział Rolnictwa i Leśnictwa z dnia 11 maja 1966 r. znak: RL, Lś — 811/P/10/66. Plan ten ze względu na położenie lasów na terenie TPN i zaliczenie ich do kategorii lasów ochronnych zakładał wysuniętą przez Dyрекcję Parku przebudowę tychże lasów z wprowadzeniem jodły i buka. Odnowień lasu dokonywali sami współwłaściciele, a sadzonki pobierane były z TPN-u. Obszar przypadający na jednego współwłaściciela przekraczał 1/2 ha lasu, zaś przeciętny przyrost roczny był większy niż 1 m<sup>3</sup>. Świadczy to o dużej staranności gospodarzy wokół swojego gospodarstwa oraz o niezłym stanie składających się nań lasów. Sołtysi Podczerwińscy do współpracy z TPN-em podchodzili właściwie, a nawet o wiele staranniej niż można się było tego spodziewać. Fakt, że umożliwili Dyrekcji Parku poprowadzenie drogi z Białego Potoku na Polanę Rogoźniczańską przez swoje lasy jest najlepszym tego dowodem.

Ten sam Zarząd czuwał nad prawidłowością wypasu owiec, gdyż plan zabraniał użytkowania lasu pod wypas. Stosując się do wymagań ochrony przyrody stawianych przez Tatrzański Park Narodowy, (które to zostały uwzględnione w Planie urządzenia gospodarstwa), każdego roku dopuszczano do wypasu jedynie 100—120 sztuk owiec.

### III

Zarząd Lasów Sołtysów Podczerwińskich w Podczerwonym nie otrzymał żadnego pisma w sprawie rozpoczęcia procesu wywłaszczeniowego, ani też nie został powiadomiony o przeprowadzeniu pomiaru lasów poprzedzającego wywłaszczenie. Przeciwnie, na kilka lat przed wywłaszczeniem przedstawiciele Zarządu wspólnie z geodetą ze strony Tatrzańskiego Parku Narodowego przeprowadzili odnowienie granicy pomiędzy współwłasnością Sołtysów a TPN-em od Lejewca na Kopkę i w Krytej.

Pełnym zaskoczeniem był fakt ogłoszenia w 1976 roku listy wywłaszczeniowej z kwotą pieniężną przypadającą na każdego współwłaściciela za wywłączoną część lasu z zagrożeniem odesłania, w przypadku nie pobrania pieniędzy, do depozytu. Ze względu na fakt noszenia tych samych nazwisk przez różne osoby we wsi zaistniały przypadki pobierania pieniędzy przez osoby nieupoważnione, co zburzyło jedność Spółki. Dowodem na to było zwracanie pieniędzy przez Ob. Władysławę Leję, która zabrała pieniądze za trzech współwłaścicieli. Ponadto są przypadki uzasadnionych pretensji za nieprawne, bo niezgodne z testamentem, pobranie pieniędzy.

Część pieniędzy została przesłana na adres współwłaścicieli przekazami pocztowymi jeszcze w 1981 roku, kiedy to obradowała już Międzyresortowa Komisja Robocza, oczywiście bez notatki za co są te pieniądze.

Osobną rolę w procesie wywłaszczeniowym odegrała pracownica Parku Ob. Danuta Rapacz, która zajmowała się prowadzeniem dokumentacji wywłaszczeniowej. Straszyla ona ludzi, że pieniądze im przypadną. To właśnie ona namawiała do pobierania za inne osoby i wskazywała adwokata, który miał sfinalizować „transakcję”. Korzyść miała być dzielona po połowie. Świadcowie tego haniebnego procederu do dziś żyją.

Nie była to więc dobrowolna sprzedaż, jak to dziś widnieje na kwitach potwierdzających odbiór pieniędzy, lecz szantaż prowadzony z ogromną konsekwencją przez wiele zainteresowanych zyskiem osób.

Mimo to dwudziestu pięciu współwłaścicieli nie pobrało pieniędzy za lasy. **Za polany o obszarze 38 ha nikt nie pobrał pieniędzy.**

**Podsumowanie** — Wstęp do Uchwały 415/60 Rady Ministrów mówi, że: „Nie zorganizowany oraz nadmierny wypas owiec oraz innych zwierząt gospodarskich na terenie Tatrzańskiego Parku Narodowego prowadzi do stopniowego wyniszczenia tatrzańskiej roślinności i zubożenia krajobrazu. Wypas wiąże się z istnieniem licznej i rozdrobnionej własności prywatnej na terenie Tatr i wykonaniem uprawnień służebnościowych. (...)” zaś w §§ 1 i 2 czytamy:

#### § 1.

1. Zobowiązuje się Ministra Leśnictwa i Przemysłu Drzewnego do zorganizowania akcji wykupu lub wymiany na terenie Tatrzańskiego Parku Narodowego nieruchomości i związanych z nimi uprawnień służebnych, stanowiących własność indywidualną, według planu stanowiącego załącznik Nr 1 do uchwały.
2. Wykup lub wymiana powinny być przeprowadzone w trybie przepisów ustawy z dnia 12 marca 1950 r. o zasadach i trybie wywłaszczania nieruchomości (Dz. U. Nr 17, poz. 70) w terminie do dnia 31 grudnia 1965 r.

#### § 2.

1. 1. Zobowiązuje się Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Krakowie i Ministra Spraw Wewnętrznych do roztoczenia nadzoru nad prawidłowym i terminowym załatwianiem spraw związanych z wywłaszczeniem nieruchomości oraz uprawnień służebnościowych wymienionych w § 1”.

Podane wyżej fragmenty Uchwały 415/60 dowodzą, że nie mogła ona być stosowana do naszej spółki, gdyż:

**po pierwsze** — wypas owiec na naszych pastwiskach był zorganizowany i liczebnie zredukowany do potrzeb ochrony przyrody. Według umów i stanu faktycznego w latach sześćdziesiątych wypasalo się na 38 ha 120 owiec; była to ilość mniejsza niż 6 szt./ha jak to zostało wprowadzone od 1981 roku w tzw. wypasie kulturowym,

**po drugie** — nasze tereny leśne i pastwiskowe nie są własnością indywidualną, prywatną ani uprawnieniami służebnościowymi, lecz Spółką o kilkusetletnich tradycjach,

**po trzecie** — jeżeli nawet przedłużono w 1965 roku moc prawną Uchwały, zaś nad prawidłowym i terminowym załatwianiem spraw czuwało m. in. Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Krakowie, to decyzja tegoż Prezydium o przyjęciu Uproszczonego planu urządzenia gospodarstwa leśnego dla terenów własności Sołtysów z Podczerwonego w obszar TPN-u wchodzących z dnia 11 maja 1966 roku (potwierdzająca i uznająca na odwrócić rodzaj własności wspólnotowej a nie indywidualnej) winna być w stosunku do naszych lasów **decyzją jedynie słuszną i ostateczną.**

Dlatego więc i na mocy jakiego dodatkowego przepisu prawnego, po zmianie podziału administracyjnego kraju i przejściu naszych lasów w obszar Województwa Nowosądeckiego w 1976 roku, podstępnie

i z zastosowaniem najohydniejszych sposobów wywłaszczone nasze lasy bez możliwości obrony ze strony Zarządu, bez jakiegokolwiek zawiadomienia, tak przy wycenie naszych lasów jak i podczas wywłaszczenia?

Biorąc powyższe pod uwagę stwierdzamy, że:

**Spółka Lasy Sołtysów Podczerwińskich została bezprawnie wywłaszczona w jaskrawo jawnej niezgodzie z duchem i literą Uchwały 415/60 Rady Ministrów z dnia 8 grudnia 1960 roku.**

#### IV

Od 1980 roku staramy się o uznanie słuszności naszych roszczeń przez Międzyresortową Komisję Roboczą.

Z każdym rokiem bowiem coraz bardziej nam doskwiera brak drewna, które przy gospodarstwie rolnym na naszych terenach jest wprost niezbędne. Wpływa to w wielkim stopniu na poziom naszego gospodarowania. Zanika także, zwłaszcza wśród młodego pokolenia, emocjonalny związek z Tatrami — macierzą naszej kultury. Młodzież myśli tylko o wyjeździe do Stanów Zjednoczonych, twierdząc, że w państwie, które zabrało im ojcowiznę nie mają żadnych perspektyw życiowych.

Pokolenie starsze, które dokonywało jeszcze odnowień w naszych lasach, nigdy nie pogodziło się z faktem bezprawnej utraty lasów wyrosłych ich staraniem, ich krwawicą i potem.

Z ogromnym bólem patrzyli i patrzy, jak te piękne niegdyś lasy są przez Tatrzański Park wyrąbywane. Bowiem z dawnych przestojów leśnych pozostało obecnie, t.j. po dziesięciu latach, tylko około 10%. Ludzie nie mogą zrozumieć, że w lasach ochronnych Parku Narodowego może być prowadzona wprost rabunkowa gospodarka. Pracownicy leśni TPN-u w oczy nam się śmieją pytając, po co szanowaliśmy lasy.

Po Powstaniu Warszawskim przyjęliśmy wiele rodzin z dziećmi na wyżywienie i wychowanie. Bezpośrednio po zakończeniu II wojny światowej duża ilość drewna z naszych lasów spontanicznie była wysyłana na odbudowę stolicy.

Przez nasz las pozwoliliśmy TPN-owi poprowadzić drogę do Polany Rogoźniczańskiej.

Czym sobie zasłużyliśmy na taką niewdzięczność ze strony państwa ludowego?

#### V

**Oto nasza propozycja rozwiązania tej sprawy:**

1. Lasy Sołtysów Podczerwińskich z powrotem będą nam oddane, a pieniądze, które zostały pobrane zostaną przez nas zwrócone wg stanu lasów w roku bieżącym.
2. Uznajemy nadzór techniczny TPN-u nad naszymi lasami, bowiem uznaliśmy go już przy realizacji Uproszczonego planu.
3. Uznamy porozumienie TPN-u ze Wspólnotą Witowską pod warunkiem zwrotu naszych współwłasności w Dolinie Lejowej i w Krytej.
4. Doprowadzimy do końca rozpoczętą niegdyś sprawę rejestracji naszej Spółki z uprzednim przyjęciem jej statutu, a nad stanem gospodarczym naszych lasów czuwać będzie Zarząd i tak — jak to było do niedawna — gajowy.
5. Tereny polan i pastwisk wchodzących w obszar Spółki, objęte wypasem kulturowym, oddajemy

pod ten wypas pod warunkiem zabrania przez bacę 100 owiec współwłaścicieli, zaś po wygaśnięciu umowy TPN-u z bacą Józefem Słodyczką, chcemy wybierać bacę w drugi dzień Świąt Wielkanocnych, bo taka jest nasza tradycja i takie momenty winny naszym zdaniem składać się na termin: wypas kulturowy.

Wnosimy naszą sprawę pod obrady Międzyresortowej Komisji Roboczej ufając, że nasze uwagi w niniejszym piśmie zawarte zostaną wszechstronnie omówione, a ustalenia przesłane do zatwierdzenia przez Rząd Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej.

Jednocześnie prosimy, aby obecny przewodniczący Zarządu Lasów Sołtysów Podczerwińskich Ob. Władysław Bienias wspólnie z członkiem Zarządu Ob. Józefem Podczerwińskim przedstawili dokumenty w naszej sprawie w czasie obrad Międzyresortowej Komisji w dniu dzisiejszym.

1. Władysław Bienias
2. Józef Leja-Jasionek
3. Stanisław Leja
4. Józef Jarończyk
5. Józef Szczypa
6. Józef Podczerwiński

Otrzymują:

- 1 × adresat
- 1 × MGK ZSL Zakopane
- 1 × ZG Związku Podhalań
- 1 × Naczelnik m. Z-ne i GT
- 1 × Tatrzański Park Narodowy



**BARBARA PALUCH (Krempachy)**

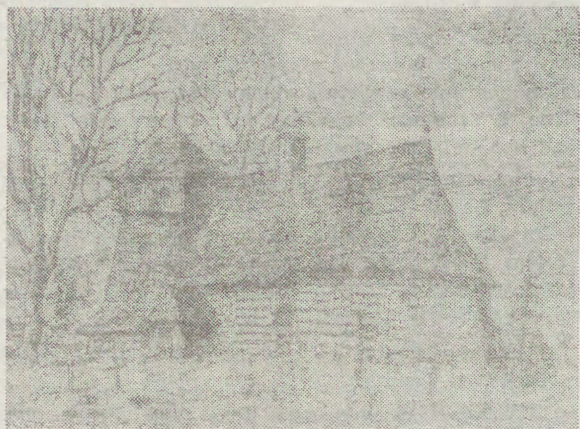
## MOJA ZIYMIA

*To Tobie śpisko zymio moja  
te wiyrsycki pisane spod samyj Kramnicy  
składóm w ofjerze  
Dzie požres — bydnie oderwać ocy od twego*

*piykna i urody*

*Nad Białkóm cichučko selescóm jedlicki  
gwarzóm fryško stare skfyrki  
rozpycho sie wsyndy woda na syćkie stróny  
coby być blizyj ciebie  
Z wysokiego nieba przyświyco słońcecko  
wtore przeziyro sie w Białce  
potym leci fryško ku Cyrwónyj Skale  
ku Jurgowskim salasom  
we wtoryf tyle piykna i urody  
Pożryj wsyndy  
dokola skały i skołki  
wtore jako ziańdary pilnujóm cie zymio moja  
Moja zymio — tyś mi nomilso na świecie  
tyś moja a nie nicyja  
tu sie rodzymy i tu umiyromy  
ty nos zywis jakoś downijj zywiła nasyf ojców  
i praocjów  
Tobie fata po vse casy!  
Moja jedyno — Śpisko Zymio Moja!*

# Drewniany kościółek w Trybszu i jego polichromia



Pierwotny widok kościółka w Trybszu. Rys. J. Pieniążek. (Fot. ze zbiorów Autora).

Na północno-zachodnim krańcu Zamagurza, dotykając niemal prawego brzegu Białki, leży Trybsz, niewielka wieś spiska, początkami swymi sięgająca XVI w. Należał on do sięgających aż po Tatry posiadłości zamku w Niedzicy, zwanych (od nazwy zamku — Dunajec) „państwem dunajekim”. Wieś była dawniej ważnym ośrodkiem spiskiego folkloru, wyróżniając się charakterystycznym strojem. Przed kilkudziesięciu laty wielki pożar zniszczył znaczną część starej zabudowy Trybsza. Na szczęście ocalał wówczas najcenniejszy jego zabytek, stary drewniany kościółek kryjący w swym wnętrzu bogatą polichromię.

Świątynia ta zbudowana została prawdopodobnie w 1567 r. (data ta miała być dawniej umieszczona na antepedium głównego ołtarza) jako filialny kościół parafii we Frydmanie. Z początkiem obecnego stulecia wystawiono obok nowy, mурowany kościół i od tego czasu zabytek ten, nieużywany i zaniedbany zaczął popadać w stopniową ruinę. W roku 1922 prof. Tadeusz Szydłowski, późniejszy zasłużony inwentaryzator zabytków Podhala, relacjonując swe badania nad kościółkiem w Trybszu na posiedzeniu Komisji Historii Sztuki PAU w Krakowie wyraził opinię, „że niepodobna go uratować”. Szczęśliwie skończyło się jednak tylko na rozbiórce wieży i zakrystii w 1924 r; w latach 1936—37 pozostałą część budowli zabezpieczono, przewidując wykorzystanie jej na muzeum spiskie. Gruntowne prace restauracyjne podjęte zostały w latach 1953—56. Niestety, mimo starannej konserwacji polichromii, szereg scen, zniszczonych przez zaciekającą wodę, jest dziś mało czytelnych.

Kościół konstrukcji zrębowej, orientowany (rozplanowany na osi wschód-zachód) zbudowany został z modrzewia i — jak podaje w swym przewodniku Mieczysław Orłowicz — bez użycia gwoździ. Jest to budowla jednonawowa z nawą krótszą od trójbocznie zamkniętego i nieco węższego prezbiterium. Dach o jednej kalenicy i ściany kryte są gontem, tak samo pokryta jest baniasta kopułka wieżyczki na sygnaturkę. Niezbyt wysoka, dostawiona od zachodu i nie związana konstrukcyjnie z kościołem, wieża miała pochylone ściany okolone u podstawy występującym

przed ich lico fartuchem, u góry zaś — nadwieszoną izbicę przykrytą dachem namiotowym o małym nachyleniu. Od północy przylegała do prezbiterium zakrystia, po której pozostał prowadzący do niej portal z nadprożem wyciętym w tzw. ośli grzbiet. Do nawy przytyka od południa mała kruchtą. Obecnie wejście do kościoła prowadzi przez drzwi umieszczone w ścianie zamykającej nawę od zachodu. Dzięki opuszczeniu bocznych partii stropu nawy w postaci tzw. zaskrzyńnięć, wewnątrz kościoła nakryte jest jednolitym pułapem. Tak więc zabytek ten reprezentuje typowe cechy konstrukcyjne małopolskich kościołów drewnianych z okresu gotyku. Charakterystyczne są tu małe wymiary świątyni (całkowita długość wraz z wieżą była równa ok. 23 m — dziś ok. 15 m, szerokość nawy wynosi ponad 8 m), odpowiednie bardziej dla kaplicy niż kościoła.

Jak już wspomniano, pułap i ściany pokryte zostały w całości polichromią, okoliczności powstania której opisane są na karcie papierowej naklejonej pierwotnie nad amboną, a dziś przechowywanej w Muzeum Uniwersytetu Jagiellońskiego. Warto przytoczyć w całości przetłumaczony z łaciny tekst napisany na tej karcie, choćby ze względu na styl stosowny do epoki, w której powstał: „Od narodzenia Chrystusa Pana rok tysięczny, dwakroć trzechsetny i dziewięć pięćdziesiąt i siedem, dwa razy zima więzi lodem fale w rzekach, kiedy to błyszczącym kolorem w tym



Widok kościoła od strony południowo-zachodniej. Stan obecny. (Ze zbiorów Autora).

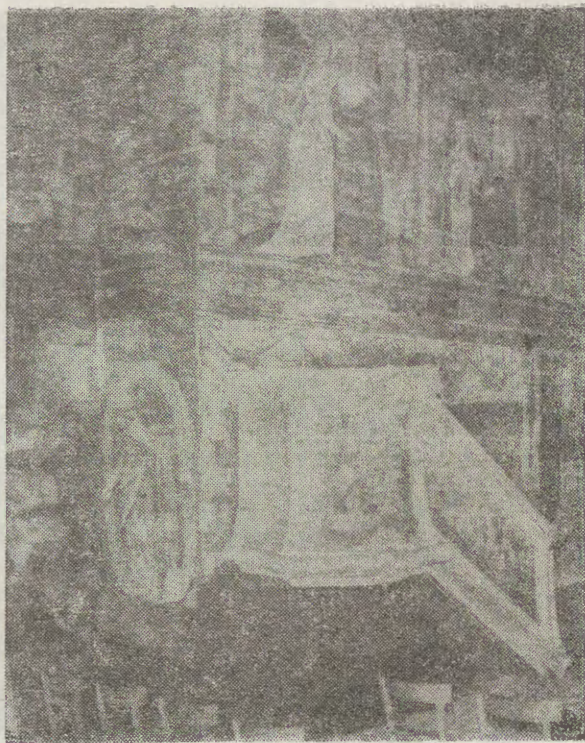
Domu Bożym, nieuczonemu ludowi pod dyktando proboszcza Jana Ratułowskiego przedstawione zostają święte dogmaty Nieba. To jest kościół ten wymalowany został przez magistra Jana Ratułowskiego podówczas proboszcza tego i frydmańskiego kościoła, roku pańskiego 1647”.

A więc autorem programu ikonograficznego, ogólnej kompozycji malowideł i łacińskich podpisów pod nimi umieszczonych był ksiądz Jan Ratułowski. Urodzony w Ratułowie, wykształcony w Krakowie, doktor i profesor tutejszego Uniwersytetu, od roku 1640 był proboszczem parafii we Frydmanie. Treść malowideł wiąże się ściśle z wydarzeniami historycznymi opisywanych czasów. Około połowy XVI w. reformacja opanowała prawie cały Spisz. Na protestantyzm przechodzą również właściciele klucza niedzickiego Horwathowie-Palocsaye. Z chwilą ich powrotu do wiary katolickiej w r. 1639 rozpoczyna się na Zamagurzu akcja rekatalizacyjna, w której m. in. bierze udział ks. Ratułowski. Stąd też w polichromii trybszańskie kościółka, powstałej w kilka lat po odebraniu go z rąk innowierców, dominują treści doby kontrreformacji z wątkiem Maryjnym na czele.

Polichromia jest jedną z najwcześniejszych realizacji barokowego malarstwa ściennego w Polsce południowej. Jej wykonawca, do dziś nieznany, zerwał częściowo z obowiązującymi dotąd zasadami kompozycji, rozwijając na całej przestrzeni stropu wielkie, wypełnione krajobrazem sceny. Natomiast na ścianach poszczególne przedstawienia zachowują jeszcze tradycyjny układ kwater, choć obramowanych elementami barokowej architektury — kolumnami o bogato zdobionych kapitelach, belkowaniem, na tle których umieszczono napisy i pięknym fryzem ornamentacyjnym obiegającym ściany prezbiterium tuż pod pułapem.

Kolorystyka malowideł jest żywa i intensywna, barwne duże płaszczyzny cieniowane są brązami i czernią. Polichromia wykonana została temperą wprost na belkach ścian względnie deskach pułapowych, przy czym szpary zaklejone zostały paskami z płótna.

Stosunkowo najlepiej zachowała się dekoracja prezbiterium. Górne pola absydy wypełniają postacie Mojżesza i Aarona — na ścianie czołowej i stojące figury patronki kościoła św. Elżbiety oraz św. św. Stanisława, Jana Kantego i Piotra — na ściankach bocznych. Warto w tym miejscu zwrócić uwagę na postać Jana Kantego. Przedstawiony został w gronie świętych na wiele lat przed oficjalnym uznaniem przez Kościół, bowiem beatyfikowany został dopiero w roku 1680 (kanonizowany w 1767 r.). Świadczy to z jednej strony o wielkiej czci, jakiej doznawał ten przyszły święty, którego kult zaczął szerzyć się w XVII wieku, z drugiej zaś — o tym jak bliska musiała być postać tego profesora Jagiellońskiej Wszechnicy osobie fundatora. Zresztą nie pozostawia w tej mierze żadnej wątpliwości podpis zaczynający się od słów: „CAN-TIUM HIC EST PATRIARHA AKADEMIA GAUDET...” (dalsza część podpisu jest niestety nieczytelna). Na dole lewej bocznej ścianki umieszczona została scena trudna do zinterpretowania, bo pozbawiona objaśniającego napisu. Jest to najprawdopodobniej ilustracja biblijnego wydarzenia, kiedy to Pan w towarzystwie dwu mężów ukazał się Abrahamowi zapowiadając mu urodziny syna Izaaka. Przyglądając się bliżej tej scenie, warto zwrócić uwagę na stółek góralski z pięknie wycinanym oparciem. Z kolei dół prawej bocznej ściany

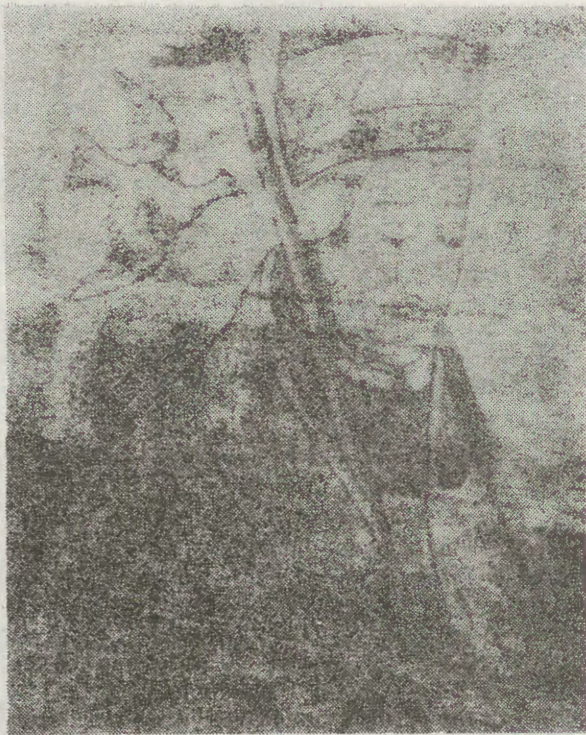


Polichromia na południowej ścianie prezbiterium.  
(Ze zbiorów Autora).

zajmuje półpostaciowe ujęcie św. Augustyna, wielkiego Doktora Kościoła. Dalsi Doktorzy, o indywidualizowanych twarzach, św. św. Hieronim, Grzegorz i Ambroży namalowani zostali na południowej ścianie prezbiterium. Do tych malowideł szczególnie odnieść można słowa historyków sztuki M. Walickiego i J. Starzyńskiego, którzy styl polichromii nazywają drzeworytniczym, ze względu „na widoczne w nim silne podkreślenie wartości linearnych”. Ponad nimi malarz umieścił figury apostołów, których szereg przedłużył się aż na ścianę nawy.

Północna ściana prezbiterium, nie przeparta otworami okiennymi, przeznaczona została na wielkie kompozycje. Pierwsza z nich wyobraża Matkę Boską Niepokalaną Poczetą, której postać stojąca na smoku zamknięta została w jak gdyby owalnej, bogato zdobionej i pełnej symbolicznych treści, ramie. Dalsze obrazy to Zwiastowanie i Nawiedzenie rozgrywające się na tle wnętrza i architektury. Niezwykle interesująca scena namalowana została ponad drzwiami do zakrystii. Przedstawia Chrystusa siedzącego na rydwanie z wielkanocną chorągwią w rękę, wiozącego krzyż i narzędzia swej męki. Obok rydwanu ciągniętego przez owieczki kroczy śmierć. Sens tej, przejrzystej zresztą, pełnej prostoty i nieco naiwnej alegorii objaśnia napis „IESUS TRIUMPHANS”. Pod tymi scenami namalowane zostały zwisające girlandy kwiatowe.

Na ścianach tęczy widnieje z lewej strony św. Jerzy walczący ze smokiem, po prawej zaś — św. Marcin odcinający mieczem poję płaszcz, by ofiarować ją leżącemu na ziemi żebrakowi. Ten ostatni święty był szczególnie bliski ludowi wiejskiemu, jako patron pasterzy, trzód i domowego ptactwa. Z uroczystością św. Marcina (przypadającą na dzień 11 listopada) wiązał się czas zakończenia prac rolniczych i nastania pory zimowej.



Fragment polichromii z postacią św. Grzegorza.  
(Ze zbiorów Autora).

W znacznie gorszym stanie, w porównaniu do malowideł w prezbiterium, zachowała się polichromia na ścianach nawy. Górną część północnej ściany tej części kościoła zajmują trzy sceny. Dwie z nich przedstawiają (idąc od ściany tęczowej) Boże Narodzenie i Pokłon Trzech Króli. Trzecia scena jest w 1/3 zniszczona: widnieje w niej Maria siedząca przed otwartą księgą i odwracająca twarz w kierunku niezbyt już widocznej postaci. Można przyjąć, że jest to ukazywanie się Chrystusa po Zmartwychwstaniu swej Matce, (być może poprzedzone w rozważanym przedstawieniu wysłaniem zwiastuna — Gabriela). Scena ta, zwana Chrystofanią Marii, była częstym tematem w sztuce i literaturze, w tym jako ilustracja żywotów Jezusa Chrystusa i Marii, wydawanych w XVI i XVII w. w krakowskich drukarniach. W ten sposób omawiane obrazy łączyłyby się ze scenami w prezbiterium w jeden ciąg będący ilustracją Siedmiu Radości Marii, znajdując swą kulminację w malowidle na stropie przedstawiającym Wniebowzięcie i Koronację NMP.

Dolną część północnej ściany prezbiterium zajmuje dużych rozmiarów przedstawienie tzw. Sądu Krwi. Obrazuje ono sąd nad Chrystusem w pałacu arcykapłana Kajfasza. Pokazani zostali tu członkowie Sanhedrynu, najwyższego żydowskiego trybunału, z tablicami, na których znajdują się ich imiona i wydane przez nich orzeczenia. Apokryficzne ewangelie podawały bowiem skład Wielkiej Rady i znały ferowane przez jej członków wyroki. Nie ulega wątpliwości, że artysta malując tę scenę wzorował się na obrazie o takim samym temacie, wykonanym w r. 1626 przez Łukasza Porębiusa (Porębskiego) dla kościoła Bożego Ciała w Krakowie. Wysznuć by można stąd wniosek, że twórca polichromii wywodził się ze środowiska malarzy krakowskich.

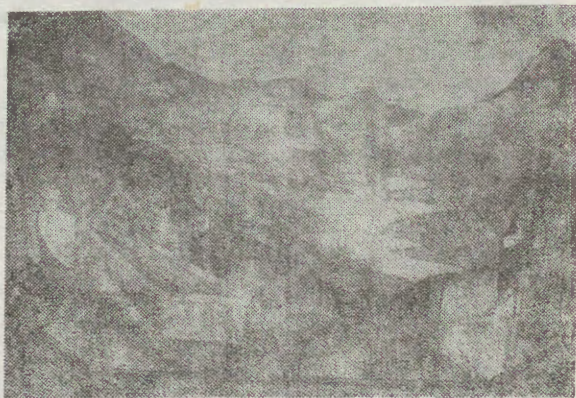
Poludniową, podobnie jak i północną, ścianę nawy zajmuje również scena pasyjna. Dziś jest ona w prze-

ważającej części zniszczona; rozpoznać można tylko kłęczącą postać Jezusa, Arma Christi — narzędzia Męki Pańskiej i heraldycznie potraktowane wydarzenia do niej się odnoszące (np. kogut przypominający zaparcie się Chrystusa przez św. Piotra). Odczytać dają się także słowa SALVATOR MUNDI, będące być może fragmentem dłuższej inskrypcji.

Zachodnia ściana nawy pokryta była również polichromią, z której pozostały nieczytelne fragmenty i szczątki napisów. Malowidła od podpisów rozdziela chór muzyczny — rodzi się zatem pytanie, czy nie został on zbudowany w późniejszym okresie. Jeśli to przypuszczenie byłoby słuszne, wówczas zachowana w nieznaczonej części polichromia na balustradzie chóru, obrazująca siedem grzechów głównych, byłaby dziełem innego malarza. Grzechy wyobrażone są przez postacie ludzkie i zwierzęta. I tak paw symbolizuje pychę, a mężczyzna z workami wypełnionymi pieniędzmi — chciwość. Warto dodać, że poszczególne grzechy objaśnione zostały polskimi podpisami.

Malowidłami pokryte były także zaskrzynienia. Na ich pionowych płaszczyznach zachował się fryz złożony z głowic kolumn, maskaronów i motywów roślinnych. Sceny figuralne, o istnieniu których mówią dawniejsze opisy i fotografie, uległy zniszczeniu wraz z deskami tworzącymi podbicie zaskrzynień.

Jak już wspomniano, najbardziej nowatorsko rozwiązana została dekoracja pułapu kościoła. Na dużej płaszczyźnie malarz rozmieścił trójstrefową plenerową kompozycję. W prezbiterium, ponad ołtarzem znajduje się scena Wniebowzięcia NMP. Matka Boska unosi się w górę w otoczeniu aniołków muzykujących na różnych instrumentach. U dołu, wokół pustego grobu, zgromadzili się apostołowie. Tłem tej sceny jest krajobraz z łagodnymi wzgórzami, wijącą się między nimi rzeką i zamkami na pierwszym planie oraz górskimi szczytami na horyzoncie. Tło to od dawna budzi zainteresowanie znawców, którzy rozpoznają w nim, przetworzony fantazją malarza, krajobraz pieniński z zamkami w Czorszynie i Niedzicy oraz panoramę Tatr Bielskich. Byłaby to więc pierwsza panorama Tatr od strony północnej (na następną, zresztą daleką od doskonałości, sporządzoną przez Baltazara Hacqueta, profesora Uniwersytetu Lwowskiego trzeba było czekać prawie do końca XVIII w.) i najstarsza ze wszystkich do dziś zachowanych panoram tatrzańskich (wobec zniszczenia polichromii z XV w. w kościele św. Idziego w słowackim Popra-



Krajobraz górski na tle sceny Wniebowzięcia NMP.  
(Ze zbiorów Autora).



dzie, mającej w tle sceny Sądu Ostatecznego widok Tatr Wysokich).

Srodkowa, dość wąska partia kompozycji, zajmująca także strop prezbiterium, przedstawia Koronację NMP przez Trójkę Świętą w asyście licznych chórów anielskich.

Na stropie nawy malarz wyobrazil scenę Sądu Ostatecznego. Centralną postacią jest tu Chrystus Sędzia otoczony wstawiającymi się za ludzkością Matką Boską, św. Janem Chrzcicielem i grupami świętych. Nad Chrystusem symboliczne atrybuty — lilia miłosierdzia i miecz kary. Na głos trąb anielskich umarli wstają z grobów, grupy zbawionych prowadzone przez aniołów zdążają do bram raju, zaś potępieni porywani są przez diabły w czeluście piekieł. I w tej scenie na horyzoncie rysują się górskie szczyty, których zarysy oddają trafnie charakter tatrzańskich wierchów.

Na koniec wspomnieć należy o malowidłach pokrywających ambonę, choć ta, bez wątpienia, znalazła się w kościele już po wykonaniu polichromii jego wnętrza. Przedstawiają one w pastelowych kolorach drobne, subtelne sceny, a to: Chrystusa z Samarytanką przy studni oraz Miłosiernego Samarytanina. Zaplecek ambony z Przemienieniem na górze Tabor przeniesiony został do nowego kościoła.

Ogarniając więc wzrokiem wnętrze świątyni nie można znaleźć miejsca wolnego od dekoracji malarzkiej, zgodnie z barokową zasadą „horror vacui” — obawy przed pustką.

Ten z konieczności niepełny opis świadczy o tym, że polichromia kościołka w Trybszu jest dziełem ma-

larza niepośledniej miary. Odwołajmy się raz jeszcze do słów prof. Szydłowskiego, którzy przed 60 laty pisał: „Szczegóły jeszcze widoczne świadczą o bujnej fantazji plastycznej, kształtującej z łatwością trudne pomysły i kreślącej ze swobodą tak figury jak i architektury wnętrza, pejzaż itp.” Dziś, kiedy zabytkowi przywrócono, na miarę możliwości, dawną świetność, opinia ta potwierdza się w całej rozciągłości. Warto więc zaglądnąć do stojącego tuż przy głównej drodze kościołka i złożyć swój podpis w księdze pamiątkowej wyłożonej przez obecnych jego opiekunów, gospodarzy parafii, Ojców Cystersów z Mogiły.

#### Ważniejsza literatura

Gotkiewicz M.: *Dzieje Zamagurza Spiskiego* (do połowy XIX wieku), Ziemia, nr 9 i 10, 1957.

Orłowicz M.: *Ilustrowany przewodnik po Spiszu, Orawie, Liptowie i Czadeckim*. Lwów—Kraków 1921.

Pieniżek J.: *Krajobraz i zabytki polskiego Spisza*, Ziemia nr 5, 1934.

Pieńkowska H., Staich T.: *Drogami skalnej ziemi*. Kraków 1956.

Szaflarski J.: *Poznanie Tatr*. Warszawa 1972.

Szydłowski T.: *O kościółku drewnianym w Trybsie i jego polichromii*. Prace KHS t. III, z. I. Kraków 1923.

Szydłowski T.: *Zabytki sztuki w Polsce. Inwentarz topograficzny. Powiat nowotarski*. Warszawa 1938.

Szymański S.: *Wystroje malarzkie kościołów drewnianych*. Warszawa 1970.

Walicki M., Starzyński J.: *Dzieje sztuki polskiej*. Warszawa 1936.



Julian Reimschüssel. (Ze zbiorów Wincentego Galicy).

WINCENTY GALICA (Zakopane)

## PAMIĘCI JULIANA REIMSCHÜSSLA

W dniu 30 marca 1984 r. odszedł od nas nasz serdeczny przyjaciel śp. prof. Julian Reimschüssel, z urodzenia syn bratniej ziemi żywieckiej, a z własnego wyboru syn Skalnego Podhala, nauczyciel z zawodu, a z potrzeby ducha niestrudzony działacz społeczny, twórca wielu wspaniałych widowisk teatralnych, szczególnie o charakterze regionalnym.

Urodził się 27 września 1908 r. w Sporyszu obok Żywca. W 1932 r. ukończył Wydział Pedagogiczny Wyższego Studium Handlowego w Krakowie. Początkowo pracował na stanowisku referendarza Urzędu Skarbowego w Żywcu. W 1936 r. wstępuje w związek małżeński z Zofią Jakubówną i rozpoczyna pracę w swoim zawodzie jako nauczyciel przedmiotów komercyjnych w Miejskiej Szkole Przysposobienia Kupieckiego w Żywcu.

W 1939 r. bierze udział w kampanii wrześniowej i zostaje ranny. Pod koniec kwietnia 1940 r. areszt-

wany przez gestapo za udział w Ruchu Oporu zostaje zesłany do obozu koncentracyjnego w Dachau, a następnie w Mauthausen-Gusen.

Po zakończeniu wojny organizuje Miejskie Gimnazjum Koedukacyjne i Liceum Handlowe w Żywcu i od 1945—1950 r. kieruje tymi szkołami na stanowisku dyrektora. Niezależnie od pracy zawodowej włącza się z Jemu właściwą energią w nurt życia społecznego. W maju 1945 r. był inicjatorem i współzałożycielem Spółdzielni Spożywców „Zespól”. Jako radny został wybrany na członka Prezydium Miejskiej i Powiatowej Rady Narodowej w Żywcu. Od 1947—1950 r. pełni funkcję prezesa Związku b. Więźniów Obozów Koncentracyjnych. W 1950 r. zostaje służbowo przeniesiony do Zakopanego na stanowisko dyrektora Państwowego Gimnazjum i Liceum Handlowego. Po zlikwidowaniu tegoż organizuje Zasadniczą Szkołę Gastronomiczną i Technikum Gastronomiczne. Następnie pracuje w Technikum Ekonomicznym w Nowym Targu. W marcu 1968 r. przechodzi na emeryturę i na stałe osiada w Zakopanem.

Od wczesnej młodości pasjonuje Go muzyka, śpiew, taniec, obyczaje i zwyczaje górali żywieckich. Pasją Jego życia było organizowanie teatrów i pisanie sztuk scenicznych. Już w 1928 r. zostaje kierownikiem i reżyserem zespołu teatralnego przy fabryce śrub w Sporyszu. W latach 1930—1939 organizuje i prowadzi Amatorski Teatr Związku Młodzieży Akademickiej, a po wojnie od 1946—1950 r. Młodzieżowy Teatr Regionalny. Po przybyciu do Zakopanego zakłada Teatr Szkolny przy Liceum Handlowym. Był jednym ze współzałożycieli Zespołu Regionalnego im. Klimka Bachledy. Uwzględniono Jego propozycję nadania takiego patrona dla Zespołu. Stopniowo traci kontakt z ukochaną ziemią żywiecką, zostaje zafascynowany kulturą ludu podhalańskiego. Współpracując z zespo-

łami regionalnymi Oddziału Związku Podhalan w Zakopanem, zaczyna pisać dla nich widowiska sceniczne i sztuki teatralne w gwarze i w duchu podhalańskim, równocześnie sam osobiście reżyseruje te widowiska. Ciekawostką jest, że Reimschüssel w swoich utworach teatralnych pisze poszczególne role w dostosowaniu do możliwości konkretnych aktorów, którym zamierzał powierzyć odtworzenie na scenie tych ról. Wystawiane na scenach jego utwory teatralne cieszą się ogromnym powodzeniem i nic też dziwnego, że zajmują zawsze czołowe miejsca na konkursach teatralnych.

A tych sztuk i widowisk napisanych tak w języku literackim, jak i w gwarze górali żywieckich i podhalańskich uzbierało się kilkadziesiąt, jak na przykład: „Baśń leśna”, „Przyjaciele”, „Renesans kobiet”, „Stryjaszek”, „Szopka góralska”, „Kram towarów mieszanych”, „Zaloty góralskie”, „Kwiat paproci”, „Ojcowe gęśle”, „Zew gór”, „Ostatni Harnaś”, „Sabała”, „Jeden z wielu”, „Szkolne lata”, „Klimek Bachleda”, „Diabeł na Podhalu”, „Piekielnica”, „Wcora a dziś”, „Jadwisia spod Regli”, „Sąd nad Janosikiem”, „Wesoła nowina”, „Orły Tatr”, „Malowanki na szkle”, „Ach, to Zakopane”, „Na skalnej ziemi”, „Harnasiowy świat”, „Powracająca fala”, „Góralskie śpasy”.

Dorobek twórczy Juliana Reimschüssla wniósł do kultury ludowej wiele nowych wartości, służy i będzie służył następnym pokoleniom w podtrzymywaniu i rozwijaniu naszych wspaniałych i bogatych tradycji. Wszystko, co uczynił dla naszej kultury, robił zawsze z potrzeby ducha.

Górale Ziemi Żywieckiej i Podhala składają śp. Julianowi wyrazy najwyższego uznania i z głębi serc płynące podziękowanie za ten ogromny wkład pracy dla dobra i rozwoju kultury tych przepięknych bratnich regionów naszej Ojczyzny.

MIECZYSLAW KRÓL-ŁĘGOWSKI (Zakopane)

## MALOWANKI NA SYBIE

*Kiedy mie kotysali  
w kotysce u powały,  
same sie malowanki  
na sybie uklodaly.*

*Na polu mnie mama w chuście  
kotysata u zyrdki,  
widziotek skrowecek swiata —  
zdawot sie coroz inksy..*

*Ocka lotaly po kwiotkach  
smioty sie do nich licka,  
na wtore promycek stonka  
puscala we dnie mamicka.*

*Kie sie cekato na wiecerze  
dudniaty drewniane tyzecki  
w jednej glinianej misecce  
miesali mie farbecki.*

*W dlugie zimowe wiecory  
kiek ni mogt usnac, bak brojel,  
utedy zek cut jak ociec  
romecka do nich robiel.*

*Dziadek snul opowiestki  
jako to drzewiej bywalo —  
ze biednych Janosik wspierot  
kiedy im cego chybiato.*

*Temu to gorolsko matura  
jest tako cuto na krase —  
maluje, rzezbi, wygrywo  
cym zyty zmysla nase.*



# KRONIKA ZWIĄZKU PODHALAN

(1. 01. 1985 — 31. 05. 1985)

2 stycznia 1985 r.

Spotkanie członków Prezydium Zarządu Głównego z Honorowym Prezesem Związku Podhalan w Ameryce Północnej — Józefem Gilem.

6 stycznia 1985 r.

Oplątek w Ludźmierzu — tradycyjna już, noworoczna impreza Związku Podhalan, w której brało udział ponad 400 osób. Po mszy św., odprawionej przez Kapelanów ks. prof. Józefa Tischnera i ks. Władysława Zązła, uczestnicy oświetlili występ zespołu kolędniczego „Mali Szaflaranie”, wysłuchali życzeń Prezesa Andrzeja Kudasika, a następnie dzieliли się opłatkiem i śpiewali kolędy. Atmosfera prawdziwie rodzinna.

Podobnie udane opłatki zorganizowane zostały przez Zarząd Oddziałów:

8. 01. — w Krakowie i Nowym Targu,
12. 01. — w Łopusznej,
19. 01. — w Bukowinie Tatrzańskiej,
20. 01. — w Ludźmierzu,
27. 01. — w Szczawnicy i Szaflarach,
2. 02. — w Zakopanem.

12 stycznia 1985 r.

100 rocznica urodzin Feliksa Gwiżdża, czołowego organizatora i działacza podhalańskiego ruchu regionalnego, poety, nowelisty i dramaturga, autora słynnych audycji radiowych „Zwyrtalowa bacówka”. Kwiaty na jego grobie w Warszawie złożyła delegacja Stołecznego Ogniska Związku Podhalan; w Nowym Targu, Zakopanem i Krakowie odbyły się uroczyste Posiady, na których o życiu, działalności i twórczości Feliksa Gwiżdża mówił Włodzimierz Wnuk; Bukowina Tatrzańska uczciła rocznicę wystawieniem sztuki pt. „Gody”.

20 stycznia 1985 r.

Zebranie sprawozdawcze Oddziału w Ludźmierzu.

27 stycznia 1985 r.

Zebranie założycielskie Związku Podhalan w Brzegach. Prezesem wybrano Andrzeja Karinafla.

2 lutego 1985 r.

Zebranie sprawozdawczo-wyborcze w Łapszach Niżnich. Stanowisko Prezesa piastuje nadal Władysław Kowalczyk.

10 lutego 1985 r.

VI Zawody Narciarskie o Puchar Związku Podhalan w Nowym Targu na Długiej Polanie. Bardzo dobra organizacja. Startowało 124 zawodników m. in. Andrzej Bachleda Curuś, Czesław Rypel, Franciszek Fatla, Józef Różański. I m. zdobyła drużyna reprezentująca Oddział w Nowym Targu, przed drużynami z Kościeliska, Czarnego Dunajca, Rabki, Łopusznej, Poronina, Zakopanego, Gronia i Lublina.

17 lutego 1985 r.

Zebranie sprawozdawczo-wyborcze w Pyzówce. Prezesem został Jan Hajnos.

23 lutego 1985 r.

Odsłonięcie tablicy pamiątkowej na domu Antoniny Zachary Wnękowej w Rabce i uroczyste posiady w I rocznicę śmierci poetki.

23 marca 1985 r.

Posiedzenie Plenarne Zarządu Głównego w Nowym Targu:

— powołanie Rady Naukowej Związku Podhalan w składzie: mgr Aleksandra Bogucka, dr Jan Bujak, doc. dr Andrzej Drożdż, mgr Eugeniusz Halicki, dr Andrzej Jazowski, prof. dr hab. Jacek Kolbuszewski, dr Emil Kowalczyk, doc. dr Józefa Kobylńska, dr Rafał Linkowski, dr Maciej Pinkwart, prof. dr hab. inż. Julian Sokołowski, mgr Tadeusz Staich, red. Włodzimierz Wnuk, doc. dr hab. inż. arch. Stefan Żychoń,

— utworzenie Oficyny Wydawniczej Związku Podhalan i Kolegium Wydawniczego: Przewodniczący mgr Tadeusz Staich, członkowie: mgr Władysław Hajnos, dr Emil Kowalczyk, mgr Jan Kapłon, red. Włodzimierz Wnuk. Obowiązki Redaktora Naczelnego przyjął Mieczysław Mączka.

24 marca 1985 r.

Zebrania sprawozdawczo-wyborcze w Bukowinie Tatrzańskiej, Kościelisku i Szczawnicy (na stanowiskach prezesów nie zaszły zmiany personalne).

26 marca 1985 r.

Zebranie sprawozdawczo-wyborcze w Krakowie. Prezesem nadal inż. Kazimierz Lasak.

27 marca 1985 r.

Nadanie tytułu doktora honoris causa na Uniwersytecie im. Marii Skłodowskiej Curie w Lublinie wybitnemu uczonemu, a jednocześnie działaczowi Związku Podhalan prof. Andrzejowi Waksmundzklemu.

11 kwietnia 1985 r.

Pogrzeb Marii Stoch — nauczycielki, działaczki Związku Podhalan, klerowniczkii zespołu regionalnego „Zbójniczek” w Żebie.

14 kwietnia 1985 r.

X Konkurs Kapel Podhalańskich w Nowym Targu. Uczestniczyły w nim 22 muzyki. Grand Prix przyznano „Podhalanom” z Ludźmierza, a I miejsce zajęły muzyki zespołów: „Holny” z Zakopanego, „Podhale” z Bukowiny i „Swarni” (kat. młodzieżowa) z Nowego Targu.

19 kwietnia 1985 r.

W Liceum Ogólnokształcącym im. Seweryna Goszczyńskiego w Nowym Targu sesja popularno-naukowa z okazji 80-lecia tegoż Gimnazjum/Liceum.

21 kwietnia 1985 r.

Zebranie sprawozdawczo-wyborcze w Zakopanem. Zaakceptowany został projekt połączenia oddziałów w Zakopanem, Stasikówce, Małem Cichem i Działaniszu w Oddział Tatrzański Związku Podhalan. Na wniosek Komisji Rewizyjnej Walne Zgromadzenie Oddziału przedłużyło kadencję dotychczasowego zarządu z Prezesem mgr Franciszkiem Bachledą-Księdziorzem na następne dwa lata.

8 maja 1985 r.

Otwarcie wystawy zorganizowanej przez Ognisko Związku Podhalan w Lublinie pt. „Góry w lubelskiej fotografii”. Jest to już piąta, od czasu założenia Ogniska, wystawa tego typu.

11—12 maja 1985 r.

IV Przednówek na Polanach. Uczestniczyły w nim zespoły z Białki, Brzegów, Gronia-Leśnicy, Poronina, Ludźmierza, Stasikówki, Starego Bystrego, Zakopanego i Kościeliska. Konkurs śpiewu i recytacji poezji gwarowej, przegląd muzyk i występy grup rodzinnych oceniał jury pod przewodnictwem mgr Aleksandry Boguckiej. Sasiękiem nagrodzono rodzinę Nowobilskich z Białki, kołyska powędrowała do rodziny Jana Jędroła z Poronina, a kijań zdobyła rodzina Sojków z Ludźmierza.

15 maja 1985 r.

70 rocznica urodzin red. Włodzimierza Wnuka — Honorowego Członka Związku Podhalan, poety, literata, publicysty, autora tak dennyh pozycji jak: „Walka podziemna na szczytach”, „Moje Podhale”, „Ku Tatrom”, „Na góralską nutę”, „Obrazki zakopiańskie”.

18 maja 1985 r.

Zebranie sprawozdawczo-wyborcze w Rabce. Obowiązki Prezesa przyjął Józef Dobrzański.

Odnosić także należy:

- powstanie zespołów regionalnych: „Mali Homernicy” w Krakowie, „Zowaternik”, „Honielnik” i „Slebodni” w Groniu — Leśnicy, „Skalcanie” w Starem Bystrem i „Pyzowanie” w Pyzówce,
  - organizację tradycyjnych Posiadów góralskich przez Oddziały w Zakopanem (co tydzień), Nowym Targu, Rabce i Krakowie (raz w miesiącu),
  - kontynuowanie starań o przeniesienie prochów Kazimierza Przerwy Tetmajera z Warszawy na Stary Cmentarz w Zakopanem
  - udział zespołów Związku Podhalan w różnych imprezach regionalnych, jak: Karnawał góralski w Bukowinie, Wojewódzki Przegląd Teatrów Wiejskich w Czarnym Dunajcu (III m. „Podhalan” z Ludźmierza), Konkurs „Ludowe obrzędy i zwyczaje w Rzeszowie” (II m. zespołu „Śwarni” z Nowego Targu), „Prucki” w Krempachach.
- Przedstawiciele Zarządu Głównego uczestniczyli w:
- zebraniu założycielskim Komitetu Ochrony Zabytków w Zakopanem (Wincenty Galica),
  - posiedzeniu Rady Naukowej TPN (Andrzej Kudasik),
  - III Zjeździe Krakowskiego Oddziału Towarzystwa „Polonia” (Stanisław Bafia i Andrzej Kudasik),
  - posiedzeniu Rady Towarzystw Regionalnych we Wrocławiu (Józef Staszek),
  - zebraniu Komitetu Organizacyjnego MFFZG w Zakopanem (Andrzej Kudasik i Franciszek Bachleda Księdzulec).

## KRONIKA ZMARŁYCH

Podajemy daty zgonu zasłużonych działaczy podhalańskich:

- 9. 04. 1985 — Maria Stoch, Żab
- 7. 05. 1985 — Jerzy Młodziejowski, Poznań
- 26. 06. 1985 — Andrzej Krzeptowski, Zakopane

**WYDAWCA:** Związek Podhalan Oddział w Ludźmierzu, Dom Podhalański im. Kazimierza Przerwy-Tetmajera i Władysława Orkana.

**ADRES:** 34-471 LUDŹMIERZ, — Związek Podhalan, Dom Podhalański im. Kazimierza Przerwy-Tetmajera i Władysława Orkana.

**REDAGUJE KOLEGIUM:** Tadeusz STAICH — redaktor naczelny, Franciszek BACHLEDA-KSIĘDZULORZ, Michał BALARA, Wincenty GALICA, Jan KAPŁON, Stanisław KRUPA, Andrzej KUDASIK, Rafał LINKOWSKI, Tadeusz TRAJDOS, Stanisław WAŁACH, Włodzimierz WNUK.

**SZATA GRAFICZNA:** Motywy regionalne — Stanisław DOBROWOLSKI, Kasina Wielka i Władysław TREBUNIA, Biały Dunajec.

**UWAGA:** Materiały zamieszczane w „Podhalance” nie są odpłatne; stanowią one wkład Autorów w rozwój kultury regionu. Materiałów nadesłanych nie zwracamy, zatrzymując je do ewentualnego późniejszego całościowego lub częściowego wykorzystania w druku.

**REDAKCJA** zastrzega sobie skróty i poprawki w nadsyłanych materiałach.

ANTONINA ZIARKIEWICZ (Myślenice)

## ZAWSZE TAK JAKOŚ NA WIOSNĘ

*W uśmiechnięty śnieg  
i spocony strumień  
w zgrzane góry  
i pociąg rozpleciony tańcuszkiem wagonów  
wierzę spokojnie  
w chlebowe skórki pól  
które kaczęce rzeką ciepła rozchlapują  
w uwolnione z błękitu gałęzi słońce  
wierzę spokojnie  
zawsze tak jakoś na wiosnę  
kiedy zieleń w drzewach wyrasta  
i w sadzie  
wszystko chce być na biało  
koniecznie, kwietniowo, uparcie*



**DO CZASU** ustalenia i przyjęcia przez Redakcję zasad pisowni gwarowej utwory gwarowe zamieszczamy zgodnie z pisownią stosowaną przez poszczególnych autorów.

Za artykuły, wiersze i inne materiały przekazane nam do obecnego, a także do następnych numerów „Podhalanki”, składamy wszystkim Autorom serdeczne podziękowanie.

W związku z niewielkim nakładem czasopisma nie przyjmujemy zgłoszeń na prenumeratę „Podhalanki”. Czasopismo kolportowane jest przez Związek Podhalan w Ludźmierzu, a także przekazywane do sprzedaży w niektórych księgarniach Domu Książki i kioskach „Ruchu” na terenie statutowej działalności Związku Podhalan.

ZARZĄD ODDZIAŁU ZWIĄZKU PODHALAN  
W LUDŹMIERZU I KOLEGIUM REDAKCYJNE

ISSN 0209-3677

Cena 150.— zł